

Szkice i obrazki

Bolesław Prus



calibre 0.9.43

SZKICE I OBRAZKI

Tom pierwszy

Bolesław Prus

NOWY ROK.

Onegdaj był wielki ruch w Warszawie, że nie powiem w całej Europie. Gdyby wizyty, listy i bilety wizytowe notowano na giełdzie, mielibyśmy przykład wartości, która w dniu 1-go stycznia każdego roku podskakuje przynajmniej o tysiąc procentów. Później spada do zera.

W dniu tym stosunkowo najwięcej niszczy się kaloszy, zawiasów u drzwi, farby na podłogach, rączek od dzwonek i śliny. Każdy ma kogoś do odwiedzenia. Przytem nikt na cudze słowa nie zwraca uwagi i ani innym, ani sobie nie wierzy.

Krótko mówiąc, tworzy się zamęt, podczas którego rej wodzą: nogi, języki, puste karety, litografowane kartki i posłańcy. Za to w sercach jest zupełnie cicho, a w głowach ciemno.

Chaos ten nazywa się: składaniem życzeń noworocznych. Tylko dzieci, którym ofiarowano nieoczekiwane podarunki, patrzą na podobne widowisko z dobrą wiarą. Dorośli są w usposobieniu dość pesymistycznym. Przyjmujący odwiedziny tłumią ziewania, goście pracują nad tem, aby nie wzruszać ramionami, wypłacający kolendę nie mają humoru i ledwie obdarowani doświadczają nieco żywszych uczuć, klnąc albo wyśmiewając ofiarodawców.

Niektórzy, aby uwolnić się od szczerych i błogosławieństwo ściągających życzeń, uciekają z domów, albo okładają się dobrowolnym podatkiem dla ubogich. Na widok rubryki "W miejsce składania powinszowań noworocznych" mimo woli chce się zapytać: czy 10 rs. pana X. albo 25 rs. pana Y. są dowodem jego współczucia dla biednych, czy też nienawiści dla przyjaciół i znajomych?

Cóż to za siła przemiana w owym dniu ludzi, na wędrowną szarańczę? Stary obyczaj — mówiono, i przez jakiś czas zadawalniano się tem objaśnieniem.

Dziś wyraz "obyczaj" stał się tak bezbarwny i pozbawiony treści, jak sama rzecz, którą ma pretensję objaśnić. Z tego powodu uczony mój przyjaciel, dr. Ochorowicz, wynalazł inny termin, a mianowicie "szczątkowe zjawisko w rozwoju życia społecznego".

Termin ten wzięty został z dziedziny zoologii i anatomii. W naukach tych "organem szczątkowym" nazywa się taki organ, który niegdyś pewnemu gatunkowi zwierząt oddawał usługi rzeczywiste, lecz obecnie nie oddaje żadnych.

Organami szczątkowymi są naprzykład dwa tylne palce, niedostające do ziemi — pewnego gatunku zwierząt gruboskórnych, albo skrzydła u bezłotka i strusia, które to ptaki latać już nie umieją. Włosy na ciele ludzkim są organem szczątkowym, z owej epoki kiedy przodkowie nasi uważali odzież za przesadę, kontentując się własną sierścią. Włosy na głowie u człowieka dorosłego nie mają również wartości praktycznej, tylko wywołują zbyteczne koszta, podczas gdy w wieku pacholęcym były one tym organem użytecznym, za pomocą którego światli nauczyciele wlewali w serca i umysły nasze idee — prawdy, piękna i dobra.

Z tego powodu ludzie mądrzy łysieją, ponieważ im włosy już bezwzględnie na nic się nie zdały.

Wreszcie nasz uroczysty frak, bez którego niepodobna być dobrze widzianym w towarzystwie, jest organem szczątkowym z tej epoki, kiedy ród ludzki począł wstydzie się ogonów i zasłaniał je za pomocą trzech ćwierci łokcia tkanin.

Zrozumiawszy co jest "organem szczątkowym," łatwo już pojmiemy, co znaczy ochorowiczowskie "szczątkowe zjawisko w rozwoju społecznym".

I tak.

Dlaczego służący chodzi za swoim panem?

Oto dlatego, że w epoce wojen wszystkich przeciw wszystkim, rycerz zaatakowany od frontu mógł się sam obronić, ale oficyny musiał ubezpieczać za pomocą służby. Wówczas taki tryb

chodzenia miał rację bytu, dziś jest — "zjawiskiem szczątkowym".

Dlaczego mężczyzna podaje kobiecie prawą rękę?

W czasach barbarzyńskich mężowie niekiedy bijali żony. Gdy więc który z nich chciał okazać swej połowie usposobienie przychylnie, wsuwał jej prawą rękę pod ramię, jakby mówiąc: "Widzisz przecież, że ci teraz nic nie zrobię".

Dlaczego kochanek klęka przed ubóstwioną?

Dawniej penitent skazany na ucięcie głowy klękał, aby swemu oprawcy zrobić wygodę. W czasach liberalnych kochankowie zużytkowali to na własną korzyść, dając do zrozumienia pannom, że już dla nich całkiem stracili głowy.

A dlaczego gospodarz wychodzi *za* gośćmi?

Jest to znowu zjawisko szczątkowe, jasno dowodzące, że ongi gospodarze wobec przyjaciół byli mniej pewni swoich naczyń i garderoby w przedpokoju.

Widzimy więc, że były epoki, w których dzisiejsze "zjawiska szczątkowe" posiadały treść pełną życia. Zdaje się, że i wiele dzisiejszych treściwych faktów staną się kiedyś tylko szczątkowami. Umysły wyższe przewidują tę ewentualność i z tego powodu mamy ludzi, którzy już w naszych czasach płacenie — na przykład weksli *w terminie* — uważają za zjawisko szczątkowe.

Najmniej domyślny czytelnik odgadnie teraz, że powinszowania noworoczne należą do zjawisk szczątkowych i są tylko odbłaskiem wypadków, przy których Judzie wypowiadali słowa: "Bóg ci daj szczęście"! z pulsem przyspieszonym, temperaturą podniesioną, okiem iskrzącem się, pod wpływem wezbranego uczucia.

Ale jakie to były wypadki, jacy ludzie, jakie uczucia?... Kto dziś wie! Gdyby można zebrać ich rozsypane popioły, ocucić zastygłe życie i zapytać... Usłyszelibyśmy może niejedną ciekawą historię, niejedną pożyteczną naukę.

Jeżeli kiedy, czytelniczko, napotkasz młodego człowieka, którego twoje oczki, twoje dołki na twarzy, twój zresztą biust — przyprawią o lekki zawrot głowy i inne chorobliwe przypadłości... Jeżeli znajdziecie się kiedy sami w altance... Jeżeli on zacznie mówić zwięźle, krótko i bez sensu...

Wówczas pozwól, aby cię wziął za rączkę i zapytaj go, niech ci wyjaśni: w jakim to dniu wszelakie życzenia miały cechę szczerości?

Później zapisz sobie ten dzień, abys wiedziała i w zgrzybiałej starości wnukom twoim objaśnić potrafiła: kiedy się to zaczął nowy rok dla świata. Nie ten nowy rok, który zasuszeni astronomowie oznaczają za pomocą lunet południkowych i zegarów wybijających sekundy, ale ten, w którym można było wierzyć słówkom, choćby przesadnie życzliwym.

Trwa to bardzo krótko. Optyczna oś południkowej lunety i noworoczna gwiazda ledwie przez mgnienie oka formują jedną linię prostą, ale pamięta sio takie rzeczy, ach! jak długo. Dzięki właśnie temu — ludzie posiadają kalendarz.

Nim jednak dla ciebie, nadejdzie nowy rok, zechciej tymczasem posłuchać niżej przytoczonego wyjaśnienia życzeń.

Twój zakochany zrobiłby to niezawodnie dokładniej, no — ale co on, to nie ja...

Najdawniejszym bogaczem świata był Ofir. Ziemię jego na tydzień drogi ciągnęły się wzdłuż Tygru. Miał 2. 000 niewolników, nad nimi 100 ekonomów i włóдарzy i wielką moc bydła.

Działo się to wkrótce po wygnaniu człowieka z raju. Słońce, które z orszakiem planet uchodzi około sześćdziesięciu milionów mil rocznie, biegnąc wciąż naprzód, nie zdążyło jeszcze wyjść za obręb przestrzeni pierwotnej. Nie widzieli już ludzie ówczesni tego miejsca, skąd przylatują i dokąd odlatują dusze i wielu z nich przestało wierzyć w życie wiekuiste, a także w nagrody i kary. Miejsce to skryło się już za gwiazdami. Ale przy dniu pogodnym jeszcze można było widzieć w niebie

Jehowę, siedzącego na tronie złotym z jaspisowemi kolumnami. Dokoła — wyżej i niżej (tak się zdawało patrzącym z ziemi) wisiały wagi zasług ludzkich. Gdy kto umierał, wagi jego znikaly. Gdy się kto rodził, wagi jego zawieszono, a wtedy talerz, na którym leżały *skarby doczesne* i ten, na którym były *skarby wieczne* — stał w równej mierze. Dopiero z biegiem życia jeden albo drugi talerz przeważał.

Ponieważ jednak życie wiekuiste stracono z oczu, a życie doczesne w owych czasach było piękne, więc każdy modlił się o skarby znikome i tem więcej był rad, im bardziej szala jego na stronę doczesną przeważała. Tylko ubodzy, którzy ani jednej palmy nie posiadali na własność i niewolnicy, których bito, widzieli na niebie wielką obfitość skarbów wiecznych — i — płakali nad sobą.

Waga Ofira co rok mocniej pochylała się w stronę majątku doczesnego i wszyscy mu zazdrościli, a Ofir sam był kontent.

Jednego dnia (miał Ofir już lat 120 i chodząc opierać się musiał na prawnukach), ekonomowie i włodarze jego złożyli mu rachunki ostatnich zbiorów.

Było 20, 000 owiec, 10, 000 bydła, 4, 000 wielbłądów, 3, 000 niewolników, 500 osłów, 100, 000 miar ryżu, 10, 000 miar oliwy i nieprzebrane mnóstwo innych rzeczy. Każdy sykl wypożyczony przynosił bogaczowi sto syklów, a kto procentu nie płacił, stawał się jego niewolnikiem.

Kupcy z zachodu, którzy u Ofira kupowali ryż, deski cedrowe i szerść zwierząt, zeznali pod przysięgą, że takiego jak on bogacza nie było jeszcze na ziemi.

I Ofir cieszył się. A gdy słońce zaszło, wsparty na dwu prawnukach poszedł spać do izby, która zamiast dachu miała szkarłatny namiot nad sobą.

Był to dla Ofira dzień wielki, lecz dla niewolników taki jak inne.

Gdy powiał gorący wiatr od południa i rozsunał makaty, bogacz widział zdaleka ognie zapalone przy młynach, które stu mocno okutych niewolników obracało. A jeżeli który ustał, albo chciał wody zaczerpnąć z kałuży dla zmoczenia warg spiekłych, włodarze siekli go tęgimi batami od stóp do głów. I całą noc słyhać było w tamtej stronie turkot młynów, szczęk łańcuchów, chlustanie batami i wycie niewolników. Czasem tylko młyn nagle stawał, co było znakiem, że jakiś niewolnik wyzionął ducha, a wtedy jego wagi zdjęto z nieba.

Gdy powiał chłodniejszy wiatr od północy i rozsunał makaty, bogacz widział w tamtej stronie długi szereg jaskiń, gdzie spali niewolnicy. Stamtąd dolatywały go chrapania znudzonych pracą, płacz matek i kwilenie niemowląt. Czasem który człowiek przywalony innym bo było ciasno w jaskiniach, zrywał się ze snu i wydobywał na wierzch, a wtedy klęli go i potracali inni, że im spać nie daje. Czasem spadał który w obrzydłą wilgoć i — topiąc się — ryczał. Innym złe robactwo zasnąć nie pozwalało i ci, siedząc, rozmawiali między sobą o lepszych czasach.

Niekiedy na niebie ukazywały się nowe wagi, na których skarby wieczne i skarby doczesne stały w równej mierze. Wtedy Ofir wiedział, że mu przybywa jeden niewolnik. Rozpamiętując zaś co widział i słyhał, rzekł do siebie, że wszystko jest dobrze.

Chciał się modlić za tyle dobrodziejstw i podniósł oczy ku niebu. Tam na złotym tronie z jaspisowemi kolumnami siedział wielki Jehowa, z obliczem spokojnem i patrzył daleko, daleko, aż gdzie błyskawice spojrzeń jego stwarzały nowe piętra nieskończoności i światy przeogromne.

Wtedy pomyślał Ofir.

— Co będzie, jeżeli pan na mnie spojrzy? Czy pod jego wzrokiem nie rozpadłaby się w proch ziemia cała?

Wtedy zobaczył nad głową Wszechmocnego wagi z napisem: *Wagi Ofira*. Jeden ich talerz ze "skarbami wiecznymi" był tak lekki, że unosił się w górę aż tam, gdzie już nic nie było. Drugi talerz ze "skarbami doczesnymi" zdawał się wciąż pochylać nad zamyślonem czołem Stwórcy. Ile razy

który niewolnik jęknął, albo bat chlustnął, albo kobieta zapłakała, — tyle razy talerz "skarbów doczesnych" pochylał się mocniej, aż gięła się belka wagi.

Jeszcze chwila a wagi ofirowe potrąca Przedwiecznego...

Bogacz struchlał i uczul straszny ból. Zdawało mu się, że najmocniej poraniony niewolnik, przysypany w swojej kałuży mrowiskiem robactwa — jest szczęśliwszy od niego.

A tymczasem młyn turkotał, dzwoniły łańcuchy, wyli ludzie i wagi ofirowe spadały wciąż niżej.

Na wschodzie ukazał się biały rąbek. Słońce nie mogło wejść nad ziemię, z obawy, aby nie zobaczyć jak Pana potrąca wagi bogacza. Drzewa stuliły liście, ptactwo upadło na ziemię, a dzikie zwierzęta kryły oblicza swoje w piasku pustyni.

Cały świat czekał na jakieś wielkie nieszczęście.

Wtedy Ofir szepnął zsiniałymi ustami:

— Całoroczny dochód mój oddaję niewolnikom!...

Na niebie waga drgnęła i talerz skarbów doczesnych poszedł nieco w górę, choć daleko ma było do skarbów wiecznych. Świat odetchnął i pokazał się skrawek słońca.

Ofir zwołał ekonomów i kazał wszystkie roboty na dzień dzisiejszy wstrzymać, a potem sprowadzić niewolników przed siebie.

Waga podniosła się znowu w górę.

Gdy przyszli zdziwieni i zatrwożeni niewolnicy, Ofir rzekł do nich:

— Będziecie wykąpani dziś w wodzie czystej, a rany wasze zostaną wytarte oliwą...

Wagi szły w górę.

Zamiast świńskiej żołądki jeść będziecie mąkę. Łańcuchy zdejmą z was i bić przestaną. Dostaniecie płótna dla siebie i żon waszych i po dwa sykle pieniędzy.

Wagi szły w górę.

Niewolnicy z początku milczeli z bojaźni: czy ich pan nie zwarzjował? Ale gdy poczęto rozdawać im: mąkę, oliwę, płótno i po dwa sykle pieniędzy, rozległ się okrzyk trzech tysięcy poranionych ludzi:

— Niech cię *Bóg* błogosławi!... Niech ci da szczęście!...

— Wagi wciąż szły do równej miary i już widać było talerz "skarbów wiecznych" — choć jeszcze bardzo wysoko.

Niewolnicy rozbiegli się do blizkiego miasteczka i poczęli kupować zabawki dla dzieci. Ten chwycił batożek, inny świstawkę glinianą, inny papierowego kozaka albo grzechotkę.

Gdy zaś wrócili do swoich jaskiń, usłyszano rzecz niezwykłą. Oto zamiast płaczu niewiast i kwilenia niemowląt rozległy się śmiechy, krzyki, świstania, strzelania z batożków i grzechotanie.

Waga Ofira spadła nagle do równej miary i bogacz stał się jak dziecko, które przychodząc na świat tyle posiada skarbów doczesnych ile wiecznych.

Aż Jehowa, którego uszu dolatywały tylko płacz i skargi, usłyszawszy w ziemi Ofira śmiechy, błogosławieństwa, świstanie i grzechotanie dzieci, — zadziwił się.

I oderwawszy wszechmocny wzrok swój od nieskończoności, w którą, był zapatrzony, — spojrzał na Ofira.

Starzec padł jakby w niego sto gromów uderzyło i już nie podniósł się. Dusze jego, niewinną jak dziecko, porwał wichur nadziemski i odniósł w odległą krainę. Gdzie Adam z Ewą zażywają wiekuistej młodości i gdzie litościwy Abel tuli na własnej piersi łzami zalanego bratobójcę Kaina.

Przygoda Ofira stała się sławną na cały świat i przez długi czas panowała po nim na ziemi bojaźń boska.

Na pamiątkę zaś, synowie, wnuki i prawnuki Ofira, każdego roku po zbiorach i rachunkach,

dawali niewolnikom swoim dzień wypoczynku i obsypywali ich darami, przyjmując w zamian modlitwy, błogosławieństwa i życzenia wszelkiej pomyślności.

Ale słońce z orszakiem planet biegnie wciąż naprzód z prędkością sześćdziesięciu milionów mil rocznie, skutkiem tego ludzie stracili z oczu miejsce, skąd przychodzą i dokąd wracają dusze, ale co gorzej — nie widzą już Jehowy i onych wag ze skarbami doczesnymi i wiecznymi.

Więść o przygodzie Ofira, biegnąc przez tysiące pokoleń, ucichła. Jego zaś dary dla niewolników z miłości ku Jehowie rozdane, stały się później "zjawiskiem szczątkowem w życia społeczeństw."

Bogaci gratyfikują. i dziś na nowy rok, odtrąciwszy poprzednio właściwą sumę z zarobków. Niewolnicy i dziś błogosławiają ich, w duszy przeklinając.

A jak się tam dzieje z wagami na niebie, który talerz mocniej przeważa? Kto to wie!...

Wszechmocny też, do którego uszu dolatuje mało okrzyków radosnych, lecz dużo klątw i płaczu, nie spogląda już na ziemię. Dał przecie światu prawa niezawodny ludziom przebiegły rozum i współczucie, — czegoż więc chcieć od Niego?

Siejcie na ziemi co wam lepiej do smaku przypadnie, pamiętając o przyszłych zbiorach. Mieście jednak tyle rozsądku i wstydu, ażeby nie dziwić się kiedyś owocom własnej pracy i pożądań.

ŻYWY TELEGRAF.

Pani hrabina, podczas wizyty w zakładzie sierot, spostrzegła na korytarzu niezwykłą scenę: czterech chłopców wydzierało sobie podartą książkę, dość żwawo okładając się kułakami.

— Zdaje mi się, dzieci, że się bijecie?... — zawołała przestraszona dama. — Za to żaden nie dostanie pierniczka i jeszcze pójdzie klęczyć.

— Bo, proszę pani, on mi zabrał Robinsona! — tłumaczył sio jeden chłopiec.

— Nieprawda, bo to on!... — zaprzeczył drugi.

— Widzisz, jak kłamiesz! — zawołał trzeci. To ty odebrałaś mi Robinsona.

Zakonnica objaśniła damę, że mimo pilnego dozoru, podobne wypadki trafiają się dosyć często: dzieci bowiem łakną czytania a książek zakład nie posiada.

W sercu pani hrabiny zatliła się jakaś iskra. Ponieważ jednak nużyło ją myślenie, więc starała się zapomnieć o tem. Dopiero w salonie radcy, gdzie wypadło mówić o rzeczach pobożnych i dobroczynnych, opisała wypadek w zakładzie, wraz z objaśnieniem zakonnicy.

Radca słuchając, doznał też niezwykłego uczucia i, jako biegły w sztuce myślenia, zawnioskował, że należałoby wysłać książki dla sierot. Przypomniał sobie nawet, że w szafie czy w kufrze, posiada cały stos butwiejących druków, które niegdyś kupował dla swych dzieci; lecz — za ciężki już był do grzebania w rupieciach.

Wieczorem radca znalazł się u pana Z., któremu całe życie upływało na oddawaniu drobnych usług ludzkości zawartej między VII-mą a III-cią klasą urzędowej hierarchii. Chcąc mu zrobić przyjemność, radca opowiedział panu Z. to, co hrabina widziała w zakładzie i słyszała od zakonnicy, dodając ze swej strony, że — wypada postarać się o książki dla sierot.

— Nic prostszego! — wykrzyknął pan Z. Wstąpię jutro do redakcyi *Kuryera* i wpłynę na nich, ażeby zrobili ogłoszenie.

Na drugi dzień pan Z. wbiegł zadyszany do *Kuryera*, na wszystkie świętości błagając redakcyę ażeby wezwała ogół do składania książek dla sierot.

Trafił szczęśliwie, ponieważ brakowało do numeru kilkuwierszowej wiadomości sensacyjnej. Jakoż referent wydziału uczuciowego siadł i napisał:

"Gromadka dzieci zostających pod opieką publiczną cierpi na brak książek.

Małeństwo tęskni.

Pamiętajcie o duszach głodnych!"

Potem gwizdząc wyszedł na obiad.

W parę dni później — w niedzielę — przed zamkniętymi drzwiami redakcyi spotkałem ubogo odzianego człowieka z rękoma czarnymi jak u kominiarza, a wraz z nim szczupłą dziewczynkę, niosącą pakę starych książek.

— Czego pan sobie życzy?

Ufarbowany człowiek uchylił czapki i odparł nieśmiało.

Przynieśliśmy, proszę pana, kilka książek dla tych "głodnych" co panowie pisali...

A szczupła dziewczynka dygnęła, rumieniąc się o ile jej na to pozwalały początki blednicy.

Wziąłem od niej książki i oddałem redakcyjnemu chłopcu.

— Jakże się pan nazywa? — spytałem.

— Proszę pana — a na co to? odparł zmięszany.

— Musimy przecież wydrukować, kto dał książki.

— O! to nie potrzeba, proszę pana; ja przecie jestem ubogi człowiek, z fabryki kapeluszy... To niepotrzeba...

I odszedł wraz z mizerną córeczką.

Obok mnie stał uczony profesor fizyki i zapewne skutkiem tego przyszedł mi na myśl — telegraf nowej konstrukcyi.

Główną stacyą był zakład sierot, boczną — robotnik z fabryki kapeluszy; gdy jeden zasygnalizował "baczość" drugi natychmiast odpowiedział. Gdy jeden zażądał, drugi przyniósł.

My inni spełniliśmy funkcyę słupów telegraficznych.

NA WAKACYACH.

Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do mnie mój szkolny kolega. Mieszkaliśmy obaj na wsi, o kilka wiorst od siebie i widywaliśmy się prawie co dzień. Był to przystojny blondyn, którego łagodne oczy mogły rozmarzyć niejedne kobietę. Mnie pociągał jego niewzruszony spokój i trzeźwość umysłu.

Tego dnia spostrzegłem, że mu coś dolega; patrzył w ziemię i gorączkowo uderzał się po nogach szpicrutą. Nie uważałem za stosowne pytać go o powód widocznego zakłopotania, ale on sam zaczął.

— Wiesz — odezwał się — miałem dziś głupi wypadek.

Zdziwiłem się; było rzeczką prawie niepodobną, ażeby "głupi wypadek" mógł się zdarzyć tak panującemu nad sobą człowiekowi.

— Mieliśmy — mówił dalej — zrana we wsi pożar. Spaliła się chałupa...

— A tyś może skoczył w ogień?... — przerwałem mu trochę drwiącym tonem.

Wzruszył ramionami i zdawało mi się, że się lekko zarumienił; zresztą może mu padł na twarz blask zachodzącego słońca.

— Zapaliły się — ciągnął po przerwie — konopie na strychu u chłopca, a w kilka minut później strzecha. Czytałem w tej chwili jakiś zajmujący rozdział Say'a, ale na widok kłębow czarnego dymu i płomyków wydobywających się ze szczelin przy kominie, opanowała mnie flisterska ciekawość i powlokłem się na miejsce. Ludzie byli przy robocie, więc zastałem zaledwie kilka osób: dwie baby lamentujące nad nieszczęściem, organiścinę, która obrazem Ś-go Floryana zażegnywała pożar i chłopca, który medytował, trzymając w obu rękach pustą konewkę. Od nich usłyszałem, że chałupa zamknięta, bo gospodarz z kobietą wyszli w pole.

— Oto nasz system budowania!... — pomyślałem. Dom płonie, jakby go prochem nabito...

Istotnie w ciągu paru minut cały dach stał w płomieniu: dym gryzł w oczy, a ogień tak mocno przypiekał, że z obawy o żakietę musiałem cofnąć się o parę kroków.

Tymczasem nadbiegło więcej ludzi 7. osękami, siekierami i wodą; jedni poczęli wywracać płot, któremu nic nie groziło, inni leli wodę z konewek w taki sposób, że nie tknąwszy ognia, przemoczyli do nitki zgromadzonych, a jedną babę wywrócili na ziemię. Nie robiłem im żadnych uwag, wiedząc, że nic nie grozi dalszym budynkom; chata zaś była nie do uratowania.

Nagle ktoś krzyknął: "tam jest dziecko, ten mały Stasiek!... " "Gdzie?... " spytano. "W chałupie, spi w nieckach pod oknem... Ino który wybij szybę, a jeszcze wyciągniesz żywego... "

Nikt się jednak nie ruszył. Słoma na dachu już spłonęła, a krokwie żarzyły się, jak rozpalone druty.

Wyznaję, że, gdym to usłyszał, serce drgnęło mi w niezwykły sposób.

"Jeżeli nikt nie idzie — pomyślałem — więc ja pójdę... Na uratowanie chłopca wystarczy pół minuty. Czasu aż nadto, ale — jakież piekielne gorąco!.. ?

"No, rusz-że się który! wołały baby. O wy. psie dusze, nie warcista nazywać się chłopami!... " "To leż sama w ogień, kiedyś taka mądra, ofuknął ktoś z tłumu. Tam pewna śmierć, a dziecko, słabe, jak kurczę i tak już nie żyje... "

"Ładnie! — pomyślałem — nikt nie idzie a ja jeszcze się waham! Chociaż — szepnęła mi rozwaga — jakie лихо ciągnie mnie do bezcelowej awantury?... Czy ja wiem, gdzie leży dzieciak?... "

"Może wypadł z niecek?... "

Belki już były zwęglone i z głuchym trzaskiem zaczęły się wyginać.

"Ale trzeba w końcu wdrzeć się tam — myślałem — każda sekunda jest droga. Dzieciak przecie nie może spalić się, jak robak. " "Lecz jeżeli jaż nie żyje?... odpowiedziało zastanowienie, w takim razie szkoda nawet surduta... "

Zdaleka odezwał się straszny krzyk kobiety: "Ratujcie dziecko!... " "Trzymajcie ją!... — zawołano w odpowiedzi. — Skoczy w ogień i zginie... "

Usłyszałem za sobą jakieś szamotanie i ten sam krzyk: "Puszczajcie!... to moje dziecko!... " "Ciągnij ją wpół!... " odpowiedziano.

Nie mogłem wytrzymać i rzuciłem się naprzód. Owionął mnie żar, dym, dach zatrzeszczał, jakby go rozdarło, z komina posypały się cegły. Poczulem, że mi się tlą włosy i — cofnąłem się rozgniewany: "Co za głupi sentymentalizm — pomyślałem — dla garstki ludzkich popiołów robić ze siebie straszdyło?... Jeszcze powiedzą, że tanim kosztem chciałem pozostać bohaterem!... "

Wtem potrafiła mnie jakaś młoda dziewczyna, biegnąca do chaty. Usłyszałem brzęk wybitych szyb, a gdy nagły wiatr odgarnął tuman dymu, zobaczyłem ją w oknie tak silnie pochyloną do wnętrza izby, że widać było jej nieumyte nogi.

"Co ty robisz, waryatko? krzyknąłem — tam już jest trup, nie dziecko... " "Jagna! chodzi tu... " zawołano z tłumu.

Pułap zapadł się, aż iskry sypnęły do nieba. Dziewczyna znikła w dymie, a mnie pociemniało w oczach.

"Ja — gna!... " powtórzył lamentujący głos.

"Zara!... zara!... " odpowiedziała dziewczyna, przebiegając koło mnie z powrotem. Z wysiłkiem dźwigała w rękach chłopca, który, obudziwszy się, wrzeszczał w niebogłosy.

— "Więc dziecko żyje? spytałem.

— Jak najzdrowsze.

— A dziewczyna — czy to jego siostra?

— Gdzież tam — odparł — zupełnie obca; nawet służy u innego gospodarza i ma najwyżej piętnaście lat.

— I nic się jej nie stało?

— Opaliła sobie chustkę i trochę włosów. Idąc tu, widziałem ją; skrobała przed sienią kartofle i coś sobie nuciła fałszywym głosem. Chciałem jej wyrazić moje uznanie, nagle jednak przyszły mi na myśl jej dziki zapach i mój rozsądny takt wobec cudzego nieszczęścia i — taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do niej przemówić ani wyrazu.

— My już tacy!... dodał i począł szpicróżgą ścinać rosnące przy drodze badyle.

Na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy i chłodny wiatr przyniósł od stawu rechotanie żab i kwilenie zabierających się do snu ptaków wodnych. Zwykle o tej porze obaj układaliśmy projekty na przyszłość, lecz dziś, żaden ust nie otworzył. Za to zdawało mi się, że dokoła nas szepczą krzaki: — Wy już tacy!...

KOCHA - NIE KOCHA ?!...

Pewnej nocy spotkałem na ewangelickim placu mego przyjaciela, Karola. Wałęsał się tam i napowrót z zadartą głową, w dziwnie bezładny sposób. Biegał w zygzak, stawał, cofał się, zbaczał, deptając przytem trawniki i potracając się o młode drzewka.

Zdawało mi się, że ma spieczone usta, a na twarzy niezdrowy rumieniec.

Nieodrazu mnie poznał i zaczął mówić z gorączkowym pośpiechem:

— Siniejesz się? wiem, uważasz mnie za warjata. Swoją drogą nie oddałbym mego obłędu za twój doktrynerski spokój. Co mnie tam wasze wielkie kwestye!... Miłość — to kwestya...

— Wyglądasz kogoś? - spytałem.

— A naturalnie! - odparł tonem bez potrzeby zuchwałym - Myślisz, że się będę zapierał? Wcale nie. Powiem ci więcej: trawię tu na czekaniu całe wieczory i jestem szczęśliwy, gdy po tygodniowej włóczędze spotkam i popatrzę na *nią* — choćby przez kilka minut.

— W każdym razie jest to dosyć jednostajne zajęcie.

— Urozmaicam je, niekiedy myśląc - że mnie już kocha, a niekiedy odgadując - czy mnie kocha? Czasami wynajduję sobie zabawę losową i przechodząc z jednego końca placu na drugi, liczę kroki: "kocha" - "nie kocha" - "kocha" - "nie kocha"... Ale dziś wymyśliłem grę, która mi lepiej przypadła do usposobienia. Oto wybieram na niebie jakąś gwiazdę, a potem na placu wyszukuję taki punkt, z którego mógłbym spostrzedz ją na szczycie kościelnej kopuły. Gdy znajdę podobne miejsce odrazu, a moja gwiazda błysnie tuż nad krzyżem, to znaczy "kocha"...

— A często trafiasz?

— Dosyć... i to mi sprawia nieopisaną rozkosz.

— No - dobranoc - rzekłem.

— Och! — szepnął, targając mnie za rękę — dziwi cię to, iż znalazł się człowiek, który ma odwagę mówić głośno, że kocha i jak kocha?...

Odszedłszy kilkanaście kroków stanąłem przy chodniku, a mój przyjaciel na nowo zaczął praktykę, taczając się jak pijany.

Na skrócie jednej ze ścieżek placu, tuż około zakochanego, mignęły dwa cienie. Para i samotnik nie spostrzegli się nawzajem; on bowiem był wciąż zatopiony w gwiazdach, a oni w rozmowie. Szli pod rękę, zwolna i tak blisko siebie, że zdawali się tworzyć jedną całość. Dama pochyliła głowę na ramię mężczyzny, a on, zdaje się, że ścisnął jej rączkę.

Gdy zbliżyli się do chodnika, padło na nich światło latarni. Damą była *ona*, mężczyzną — drugi mój przyjaciel, pan Józef.

Przywitali się ze mną krótko, aby zbyć. Tylko *ona* nerwowo ścisnęła mnie za rękę i, topiąc zamglone oczy w moich okularach, rzekła półgłosem:

— Spodziewam się, że Karol nie będzie wiedział o tem, ani słówka...

I odeszli, lecz *ona*, jeszcze raz odwróciwszy się, pogroziła mi, i, głosem, podobnym do szmeru gołębic skrzydeł, dodała:

— Bo będę się bardzo gniewać!...

Jestem pewny, że w tej chwili mój przyjaciel Karol widział gwiazdę nad szczytem kopuły.

KATARYNKA

Na ulicy Miodowej, codziennie, około południa można było spotkać jegomościa w pewnym wieku, który chodzi! z placu Krasińskich ku ulicy Senatorskiej. Latem, nosił on wykwinne, ciemno-granatowe palto, popielate spodnie od pierwszorzędnego krawca, buty połyskujące jak zwierciadła — i — nieco wyszarzany cylinder.

Jegomość miał twarz rumianą, szpakowate faworyty i siwe, łagodne oczy. Chodził pochylony, trzymając ręce w kieszeniach. W dzień pogodny nosił pod pachą laskę; w pochmurny - dźwigał jedwabny parasol angielski.

Był zawsze głęboko zamyślony i posuwał się zwolna. Około Kapucynów dotykał pobożnie ręką kapelusza i przechodził na drugą stronę ulicy, ażeby zobaczyć u Pika: jak stoi barometr i termometr? potem znowu zawracał na prawy chodnik, zatrzymywał się przed wystawą Mieczkowskiego, oglądał fotografie Modrzejewskiej — i szedł dalej.

W drodze ustępował każdemu, a potracony, uśmiechał się życzliwie.

Jeżeli kiedy spostrzegał ładną kobietę, zakładał binokle, aby przypatrzeć się jej. Ale że robił to flegmatycznie, więc zwykle spotykał go zawód.

Ten jegomość był to — pan Tomasz.

Pan Tomasz trzydzieści lat chodził ulicą Miodową i nieraz myślał, że się na niej wiele rzeczy zmieniło. Toż samo ulica Miodowa pomyślećby mogła o nim.

Gdy był jeszcze obrońcą, biegał tak prędko, że nie uciekłyby przed nim żadna szwaczka, wracająca z magazynu do domu. Był wesoły, rozmowny, trzymał się prosto, miał czuprynę i nosił wąsy zakręcone ostro do góry. Już wówczas sztuki piękne robiły na nim wrażenie, ale czasu im nie poświęcał, bo szalał — za kobietami. Co prawda, miał do nich szczęście i nieustannie był swatany. Ale cóż z tego, kiedy pan Tomasz nie mógł nigdy znaleźć ani jednej chwili na oświadczyzny, będąc zajęty, jeżeli nie praktyką, to — schadzkami. Od Frani szedł do sądu, z sądu biegł do Zosi, którą nad wieczorem opuszczał, ażeby z Józia i Filką zjeść kolację.

Gdy został mecenasem, czoło, skutkiem natężonej pracy umysłowej, urosło mu aż do ciemienia, a na wąsach pokazało się kilka srebrnych włosów.

Pan Tomasz pozbył się już wówczas młodzieńczej gorączki, miał majątek i ustaloną opinię znawcy sztuk pięknych. A że kobiety wciąż kochał, więc począł myśleć o małżeństwie. Najął nawet mieszkanie z sześciu pokojów złożone, urządził w niem na własny koszt posadzkę, sprawił obicia, piękne meble — i — szukał żony.

Ale człowiekowi dojrzałemu trudno zrobić wybór. Ta była za młoda, a tamtą uwielbiał już zbyt długo. Trzecia miała wdzięki i wiek właściwy, ale nieodpowiedni temperament, a czwarta posiadała wdzięki, wiek i temperament należyty, ale... nie czekając na oświadczyzny mecenasa, wyszła za doktora...

Pan Tomasz jednak nie martwił się, ponieważ panien nie brakło. Ekwipował się powoli, coraz usilniej dbając o to, ażeby każdy szczegół jego mieszkania posiadał wartość artystyczną. Zmieniał meble, przestawiał zwierciadła, kupował obrazy.

Nareszcie porządki jego stały się sławne. Sam nie wiedząc kiedy, stworzył u siebie galerię sztuk pięknych, którą coraz liczniej odwiedzali ciekawi. Że zaś był gościnny, przyjęcia robił świetne i utrzymywał stosunki z muzykami, więc nieznacznie zorganizowały się u niego wieczory koncertowe, które nawet damy zaszczycały swoją obecnością.

Pan Tomasz był wszystkim rad, a widząc w zwierciadłach, że czoło przerosło mu już ciemię i

sięga w tył do białego jak śnieg kołnierzyka, coraz częściej przypominał sobie, że bądź co bądź trzeba się ożenić. Tembardziej, że dla kobiet wciąż czuł życzliwość.

Raz, kiedy przyjmował liczniejsze niż zwykle towarzystwo, jedna z młodych pań, rozejrzawszy się po salonach, zawołała:

— Co za obrazy... A jakie gładkie posadzki!... Żona pana mecenasa będzie bardzo szczęśliwa.

— Jeżeli do szczęścia wystarczą jej gładkie posadzki, — odezwał się na to półgłosem serdeczny przyjaciel mecenasa.

W salonie zrobiło się bardzo wesoło. Pan Tomasz także uśmiechnął się, ale od tej pory, gdy mu kto wspomniał o małżeństwie, machał niedbale ręką, mówiąc:

— I i i!...

W tych czasach ogolił wąsy i zapuścił faworyty.

O kobietach wyrażał się zawsze z szacunkiem, a dla ich wad okazywał dużą wyrozumiałość".

Nie spodziewając się niczego od świata, bo już i praktykę porzucił, mecenas całe, spokojne uczucie swoje skierował do sztuki. Piękny obraz, dobry koncert, nowe przedstawienie teatralne, były jakby wiorstowemi słupami na drodze jego życia. Nie zapalał się on, nie unosił, ale — smakował.

Na koncertach wybierał miejsca odległe od estrady, ażeby słuchać muzyki, nie słysząc hałasów i nie widząc artystów. Gdy szedł do teatru, obeznawał się wprzód z utworem dramatycznym, ażeby bez gorączkowej ciekawości śledzić grę aktorów. Obrazy oglądał wówczas, gdy było najmniej widzów i spędzał w galeryi całe godziny.

Jeżeli podobało mu się coś, mówił:

— Wiecie państwo, że to jest wcale ładne. Należał do tych niewielu, którzy najpierwej poznają się na talencie. Ale utworów miernych nigdy nie potępiał.

— Czekajcie, może się jeszcze wyrobi! — mówił, gdy inni ganili artystę.

I tak zawsze był pobłażliwy dla niedoskonałości ludzkiej, a o występkach nie rozmawiał.

Na nieszczęście — żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto — nienawidził kataryniarzy i katarynek.

Gdy mecenas usłyszał na ulicy katarynkę, przyśpieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny — zapalał się, jak był cichy — krzyczał, a jak był łagodny — wpadał w gniew, na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Z tej swojej słabości nie robił przed nikim tajemnicy, nawet tłumaczył się:

— Muzyka — mówił wzburzony — stanowi najsubtelniejsze ciało ducha, w katarynce zaś duch ten przeradza się w funkcję maszyny i narzędzie rozboju. Bo kataryniarze są po prostu rabusie!

Zresztą — dodawał — katarynka rozdrażnia mnie, a ja mam tylko jedno życie, którego mi nie wypada trwonić na słuchanie obrzydliwej muzyki.

Ktoś złośliwy, wiedząc o wstręcie mecenasa do grających machin, wymyślił niesmaczny żart — i — wysłał *ma* pod okna dwu kataryniarzy. Pan Tomasz zachorował z gniewu, a następnie odkrywszy sprawcę, wyzwał go na pojedynek.

Aż sąd honorowy trzeba było zwoływać dla zapobieżenia rozlewowi krwi, o rzecz tak małą na pozór.

Dom, w którym mecenas mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższyć wszystkim komorne, a najpierwej panu Tomaszowi. Mecenas z rezygnacją płacił podwyżkę, ale pod tym warunkiem, wyraźnie zapisanym w umowie, że: katarynki grywać w domu nie będą.

Niezależnie od kontraktowanych zestrzeżeń, pan Tomasz wzywał do siebie każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę:

— Słuchajno, kochanku... A jak ci na imię?...

— Kazimierz., proszę pana.

— Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz?...

— Rozumiem, wielmożny panie.

— A oprócz tego będziesz brał odemnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co ?...

— Nie mogę wiedzieć, jaśnie panie — odpowiedział wzruszony stróż.

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek. Rozumiesz?...

— Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.

Lokal mecenasa składał się z dwu części. Cztery większe pokoje miały okna na ulicy, dwa mniejsze — od podwórza. Paradna połowa mieszkania przeznaczana była dla gości. W niej odbywały się rauty, przyjmowani byli interesanci i stawali krewni albo znajomi mecenasa, ze wsi. Sam pan Tomasz ukazywał się tu rzadko i tylko dla sprawdzenia: czy wywoskowano posadzki, czy starto kurz i nie uszkodzono mebli?

Całe zaś dni, o ile nie przepędzał ich za domem, przesiadywał w gabinecie od podwórza. Tam czytywał książki, pisywał listy, albo przeglądał dokumenty znajomych, którzy prosili go o radę. A gdy nie chciał forsować wzroku, siadał na fotelu naprzeciw okna i zapaliwszy cygaro, zatapiał się w rozmyślaniach. Wiedział on, że myślenie jest ważną funkcją życiową, której nie powinien lekceważyć człowiek, dbający o zdrowie.

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza, znajdował się lokal wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długi czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który spadłszy z etatu, przeniósł się na Pragę. Po nim najął pokoiki krawiec; lecz, że ten lubił niekiedy upijać się i hałasować, więc wymówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie kłócąca się ze swoją służką.

Ale od św. Jana, staruszkę, już bardzo zgrzybiałą i wcale zasobną, pomimo jej kłótliwego usposobienia, wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie z małą, może ośmioletnią dziewczynką.

Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodsza z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła: pani.

I u mecenasa i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł na swoim fotelu, doskonale mógł widzieć: co się dzieje u jego sąsiadek.

Były tam sprzęty ubogie. Na stołach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny przeznaczone do szycia i kłębki bawełny na pończochy.

Zrana kobiety same zamiatały mieszkanie, a około południa najemnica przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkoczącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. Było to dziecko z ciemnymi włosami i ładną twarzyczką, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka, zapomocą dwu drutów, wiązała pasek z bawełnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko siedząc w oknie, przysłuchiwała się czemuś.

Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecię to śpiewało lub biegało po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

— Dziwne dziecko! — mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej.

Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukietek. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. W końcu związała napowrót bukietek, włożyła go w szklanekę wody i usiadłszy w swoim oknie, rzekła:

— Prawda mammo, że tu jest smutno...

Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia, mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrzął na drugą stronę podwórza i widać zobaczył coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle.

Oto — co spostrzegł.

Mizerna dziewczynka, oparłszy głowę na rękę, położyła się. prawie na wznak w swoim oknie — i — szeroko otwartymi oczyma patrzyła prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal...

— Ona nie widzi! — szepnął mecenas, opuszczając binokle. W tej chwili doświadczył klócia w oczach na same myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Istotnie, dziewczynka była niewidomą od dwu lat. W szóstym roku życia zachorowała na jakąś gorączkę; przez kilka tygodni była nieprzytomna, a następnie tak opadła z sił, że leżała jak martwa, nie poruszając się i nic nie mówiąc.

Pojono ją winem i bulionami, więc stopniowo przychodziła do siebie. Ale pierwszego *dnia* kiedy ją posadzono na poduszce, zapytała matki:

— Mamo, czy to jest noc?...

— Nie, moje dziecko... A dlaczego ty tak mówisz?

Ale dziewczynka nie odpowiedziała; spać się jej chciało. Tylko nazajutrz, gdy w południe przyszedł lekarz, spytała znowu:

— Czy to jeszcze jest noc?...

Wtedy zrozumiano, że dziewczynka nie widzi. Lekarz zbadał jej oczy i zaopiniował, że trzeba czekać.

Ale chora im bardziej odzyskiwała siły, tem mocniej niepokoiła się swoim kalectwem...

— Mamo, dlaczego ja mamy nie widzę?...

— Bo tobie oczki zasłoniło. Ale to przejdzie. — 'Kiedy przejdzie?...

— Niedługo.

— Może jutro, proszę mamy?

— Za kilka dni, moja dziecino.

— A jak przejdzie, to niech mi mama zaraz powie. Bo mi jest bardzo smutno!..

Mijały dni i tygodnie w ciągłym oczekiwaniu. Dziewczynka poczęła już wstawać z łóżeczka. Nauczyła się chodzić po pokoju omackiem; sama ubierała się i rozbierała, powoli i ostrożnie.

Ale wzrok nie wracał.

Jednego razu mówiła:

— Prawda, mammo, że ja mam niebieską sukienkę?...

— Nie, dziecko, masz popielatą. — Mania ją widzi?

— Widzę, moje kochanie.

— Tak jak i w dzień?

— Tak.

— Ja także będę widziała wszystko, za kilka dni?... Nie, może za miesiąc...

Ale ponieważ matka nie odpowiedziała jej nic, więc mówiła dalej:

— Prawda mammo, że na dworze ciągle jest dzień?... A w ogrodzie są drzewa, tak jak dawniej?—
Czy do nas przychodzi ten biały kotek z czarnymi łapami?... Prawda, mammo, że ja widziałam siebie w lustrze?... Niema tu lustra?...

Matka podaje jej lusterko.

— Trzeba patrzeć tutaj, o tu, gdzie jest gładkie, mówiła dziewczynka, przykładając lustro do twarzy. Nic nie widzę! — rzekła. — Czy i mama nie widzi mnie w lusterku?

— Widzę cię, moja ptaszyno.

— Jakim sposobem?... — zawołała dziewczynka żałośnie. — Przecie jeżeli ja nie widzę siebie, to już w lustrze nie powinno być nic...

A tamta, co jest w lustrze, czy ona mnie widzi, czy nie widzi?...

Ale matka rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Najmilszem zajęciem kaleki było dotykać rękoma drobnych przedmiotów i poznawać je.

Jednego dnia przyniosła jej matka lalkę porcelanową, ładnie ubraną, za rubla. Dziewczynka nie wypuszczała jej z rąk, dotykała jej noska, ust, oczu, pieściła się nią.

Poszła spać bardzo późno, wciąż myśląc o swej lalce, którą ułożyła w pudełku wysłanem wata.

W nocy zbudził matkę szmer i szept. Zerwała się z pościeli, zapaliła świecę i zobaczyła w kąci, swoją córkę już ubraną i bawiącą się lalką.

— Co ty robisz, dziecino? — zawołała. — Dlaczego nie śpisz?...

— Bo już przecie jest dzień, proszę mamy — odparła kaleka.

Dla niej dzień i noc zlały się w jedno i trwały zawsze...

Stopniowo pamięć wzrokowych wrażeń poczęła zacierać się w dziewczynce. Czerwona wiśnia stała się dla niej wiśnią gładką, okrągłą i mięką, błyszczący pieniądz był twardym i dźwięcznym krążkiem, na którym znajdowały się jakieś znaki w płaskorzeźbie. Wiedziała, że pokój jest większy od niej, dom większy od pokoju, ulica od domu. Ale wszystko to jakoś — skróciło się w jej wyobraźni.

Uwaga jej skierowała się na zmysł dotyku, powonienia i słuchu. Jej twarz i ręce nabrały takiej wrażliwości, że zbliżywszy się do ściany, czuła o kilka cali lekki chłód. Zjawiska odległe oddziaływały na nią tylko przez słuch. Przysłuchiwała się więc po całych dniach.

Poznawała posuwisty chód stróża, który mówił piskliwym głosem i zamiatał podwórko. Wiedziała kiedy jedzie z drzewem chłopski wózek drabiniasty, kiedy — dorożka, a kiedy — kary wywożące śmiecie.

Najmniejszy szelest, zapach, oziębienie się albo rozgrzanie powietrza nie uszło jej uwagi. Z niepojętą bystrością pochwytywała drobne te zjawiska i wysnuwała z nich wnioski. Raz matka zawołała służącej.

— Niema Janowej — rzekła kaleka, siedząc jak zwykle w kąci. — Poszła po wodę.

— A skąd wiesz o tem? — zapytała zdziwiona matka.

— Skąd?... Przecież wiem, że brała konewkę z kuchni, potem poszła na drugie podwórze i napompowała wody. A teraz rozmawia ze stróżem.

Istotnie z za parkanu dolatywał szmer rozmowy dwu osób, ale tak niewyraźny, że tylko z wysiłkiem można go było usłyszeć.

Lecz nawet rozszerzona sfera zmysłów niższych nie mogła kalece zastąpić wzroku. Dziewczynka uczuła brak wrażeń i zaczęła tęsknić.

Pozwolono jej chodzić po całym domu i to ją nieco uspakajało. Wydeptała każdy kamień na podwórzu, dotknęła każdej rynny i beczki. Ale największą przyjemność robiły jej — podróże do dwu całkiem odmiennych światów: do piwnicy i na strych.

W piwnicy powietrze było chłodne, ściany wilgotne. Przygłuszony turkot uliczny dolatywał z góry; inne odgłosy niknęły. To była noc dla ociemniałej.

Na strychu zaś, szczególnie w okienku, działo się całkiem inaczej. Tam hałasu było więcej niż w

pokoju. Kaleka słyszała turkot wozów z kilku ulic: tu skupiały się krzyki z całego domu. Twarz jej owiewał ciepły wiatr. Słyszała świergot ptaków, szczekanie psów i szelest drzew w sąsiednim ogrodzie. Tu był dla niej dzień...

Nie dość na tem. Na strychu częściej niż w pokoju świeciło słońce, a gdy dziewczynka skierowała na nie przygasłe oczy, zdawało jej się, że coś widzi. W wyobraźni budziły się cienie kształtów i barw, ale takie niewyraźne i pierzchliwe, że nic przypomnieć sobie nie mogła...

W tej właśnie epoce matka połączyła się ze swoją przyjaciółką i przeniosła się do domu, w którym mieszkał pan Tomasz. Obie kobiety cieszyły się z nowego lokalu, ale dla niewidomej zmiana miejsca była prawdziwym nieszczęściem.

Dziewczynka musiała siedzieć w pokoju. Na strych i do piwnicy nie wolno było chodzić. Nie słyszała ptaków ani drzew, a na podwórzu panowała straszna cisza. Nigdy tu nie wstępowali handlarze starzyzny, ani druciarze, ani śmieciarki. Nie puszczano bab śpiewających pieśni pobożne, ani dziada, który grał na klarncie, ani kataryniarzy.

Jedyną jej przyjemnością było wpatrywanie się w słońce, które przecież niezawsze jednakowo świeciło i bardzo prędko kryło się za domami.

Dziewczynka znowu poczęła tęsknić. Zmizerniała w ciągu kilku dni, a na jej twarzy ukazał się wyraz zniechęcenia i martwości, który tak dziwił pana Tomasza.

Nie mogąc widzieć, kaleka chciała przynajmniej słuchać wciąż najrozmaitszych odgłosów. A w domu było cicho...

— Biedne dziecko! — szeptał nieraz pan Tomasz, przypatrując się smutnemu maleństwu.

— Gdybym mógł dla niej co zrobić? — myślał, widząc, że dziecko jest coraz mizerniejsze i codzień niknie.

Zdarzyło się. w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces, i jak zwykle oddał mu do przejrzania papiery z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomasz nie stawał już w sądach, ale jako doświadczony praktyk, umiał wskazać najwłaściwszy kierunek akcji i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych objaśnień.

Sprawa obecna była zawikłana. Pan Tomasz im więcej wczytywał się w papiery, tembardziej zapalał się. W emerycie ocknął się adwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał czy starto kurz w salonach, tylko, zamknięty w swoim gabinecie, czytał dokumenty i notował.

Wieczorem stary lokaj mecenasa przyszedł z codziennym raportem. Doniósł, że pani doktorowa wyjechała z dziećmi na letnie mieszkanie, że zepsuł się wodociąg, że odźwierny Kazimierz zrobił awanturę ze stójkowym i poszedł na tydzień — do kozy. Zapytał w końcu: czy pan mecenas nie zechce widzieć się z nowo przyjętym stróżem?...

Ale mecenas pochylony nad papierami, palił cygaro, puszczał kółka dymu, a na wiernego sługę nawet nie spojrzął.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami; około drugiej zjadł obiad i znowu siedział. Jego rumiana twarz i szpakowate faworyty, na szafirowym tle pokojowego obicia przypominały "studya z natury." Matka ociemniałej dziewczynki i jej współpracownica, robiąca pończochy na maszynie, podziwiała mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego wdowca, który ma zwyczaj od rana do wieczora drzemać nad biurkiem.

Tymczasem mecenas, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą.

Obywatel X. w roku 1872 zapisał swemu siostrzeńcowi folwark, a roku 1875 — synowcowi kamienicę. Synowiec twierdził, że obywatel X. był waryatem w roku 1872, a siostrzeniec dowodził, że X. oszalał dopiero w roku 1875. Zaś mąż rodzonej siostry nieboszczyka składał nieulegające wątpliwości świadectwa, że X. i w roku 1872 i w 1875 działał jak obłąkany, a cały swój majątek

jeszcze w roku 1869, czyli w epoce zupełnej świadomości, zapisał siostrze.

Pana Tomasza proszono o zbadanie: kiedy naprawdę X. był waryatem? a następnie: o pogodzenie trzech poważnionych stron, z których żadna nie chciała słuchać o ustępstwach.

Gdy tak mecenas nurzał się w powikłanych kombinacjach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek.

Na podwórzu, pod samym oknem pana Tomasza odezwała się — katarynka!...

Gdyby zmarły X. wstał z grobu, odzyskał przytomność i wszedł do gabinetu, aby pomódz mecenasowi w rozwiązywaniu trudnych zagadnień, z pewnością pan Tomasz nie doznałby takiego uczucia, jak teraz, gdy usłyszał katarynkę!...

I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnymi tonami fletowemi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki. Gdzie tam! jakby na większą szykanę, katarynka była popsuta, grała fałszywie ordynaryjne walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały. Na domiar złego, trąba od czasu do czasu odzywająca się w niej, ryczała jak wściekłe zwierzę.

Wrażenie było potężnej mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć? Chwilami gotów był przypuścić, że, przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umyśle obywatela X., jemu samemu pomieszało się w głowie i że uległ halucynacyom.

Ale nie, to nie były halucynacye. To była rzeczywista katarynka, z popsutemi piszczałkami i bardzo głośną trąbą!

W sercu mecenas, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka zbudziły się dzikie instynkty. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem dahomejskim, który ma prawo zabijać swoich poddanych i pomyślał: z jaką, rozkoszą położyłby w tej chwili kataryniarza trupem!

A ponieważ u ludzi tego temperamentu co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnem uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc mecenas skoczył jak tygrys do okna i postanowił — zwymyślać kataryniarza najgorszymi wyrazami.

Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: "ty... próżniaku jakiś!..." gdy wtem usłyszał dziecięcy głos.

Spojrzał naprzeciwko.

Mała niewidoma dziewczynka, tańczyła po pokoju, klaszcząc w ręce. Błada jej twarz zarumieniła się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy jak grad.

Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym, dawno już nie doświadczyła tylu wrażeń! Jak pięknym zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasu mało nie przyprawiła o apopleksyę!

Na dobitkę, kataryniarz, widząc uciechę dziecka, zaczął przytupywać wielkim obcasem w bruk i od czasu do czasu pogwizdywać, niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

Boże! jak on ślicznie gwizdał...

Do gabinetu mecenasu wpadł wierny lokaj, ciągnąc za sobą stróża i wołając:

— Ja mówiłem temu gałganowi, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza! Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensyę, że my mamy kontrakt... Ale to cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów. No, teraz posłuchaj — krzyczał lokaj, targając za ramię oszołomionego stróża — posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie!

Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę, tak fałszywie i wrzaskliwie jak dwie pierwsze.

Niewidoma dziewczynka była upojona.

Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę blady:

— Słuchaj-no, kochanku... A jak ci na imię?..

— Paweł, jaśnie panie.

— Otóż, mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek! — wtrącił śpiesznie lokaj.

— Nie, — rzekł pan Tomasz. — Za to, ażebyś przez jakiś czas codzień puszczał katarynki.

Rozumiesz?

— Co pan mówi?... — zawołał służący, którego nagle rozzuchwalił ten niepojęty rozkaz.

— Ażeby, dopóki sio z nim znowu nie rozmówię, puszczał codzień katarynki na podwórze — powtórzył mecenas, wsadzając ręce w kieszenie.

— Nie rozumiem pana!... — odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

— Głupiś, mój kochany! — rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz.

No, idźcie do roboty — dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepcze do ucha i pokazuje, palcem na czoło...

Pan Tomasz uśmiechnął się i jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa, wyrzucił katarynce dziesiątkę.

Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że kataryniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę począł przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniejsze, co już okrutnie drażniło mecenasa, więc zabrawszy kartkę z adresami doktorów, wyszedł, mruczając:

— Biedne dziecko!... Powinienem był zająć się niem oddawna...

W GÓRACH.

Panie drogi — mówił do mnie jeden z przyjaciół,

wielki dziwak — panie drogi, homeopaci mają znakomitą zasadę: "podobne leczy się podobnym." Przecież ospę nawet alopaci leczą ospą, a Pasteur wściekliczną chce leczyć wściekliczną. Ale na co te przykłady: opowiem panu fakt, na który patrzyłem, gdzie człowiek z urojonych strachów, uleczył się za pomocą istotnego niebezpieczeństwa.

Po tym wstępie mój przyjaciel zapalił cygaro i ciągnął dalej:

— Pierwszy raz widziałem Alpy przed dwudziestoma laty, przyjechawszy do Thusis. W kilka dni po przybyciu do tego miasteczka, wybrałem się z pewnym towarzystwem na mały spacer. Przy tej jednak okazji najadłem się tyle strachu, że, zniechęcony, natychmiast opuściłem Thusis, a następnie przez kilka lat nie mogłem patrzeć na góry.

Na ową wycieczkę poszliśmy w sześć osób: było nas dwu Polaków, Niemiec, Anglik i dwie damy francuski, wszystko lokatorowie tego samego hotelu. Nie wzięliśmy przewodnika, ponieważ Anglik znał miejscowość, a szczyt, na który mieliśmy się drapać, zdawał się tak widocznym i łatwym, jak to krzesło na środku pokoju. Widziałem wprawdzie przez lunetę na stoku góry jakieś zmarszczki poprzeczne i podłużne; ale ponieważ nie były większe od zagonów, nie myślałem o nich. Dziwiłem się nawet, że na taki spacerek wychodzimy z hotelu o dziewiątej rano; nie chcąc jednak przyznawać, iż nie mam pojęcia o górach, nie robiłem żadnych uwag a w podróży zachowywałem się jak turysta, który przedeptał Himalaje. To zjednało mi ogólny szacunek, a wyjątkową sympatyę u Niemca.

Naturalnie, odpłacałem mu wzajemnością; był to bowiem niesłychanie miły człowiek, który miał niestety! jedną wadę: chorował na zawroty głowy.

Drogę mieliśmy wesołą; wszyscy, nie wyłączając Anglika, zbytkowali jak dzieci; tylko ja byłem poważny, a Niemiec na każdej spadzistości oglądał się za siebie i cytował wyjątki z Wirgiliusza. Mówił, że jest to najlepszy sposób odwrócenia uwagi od tego, na co nie chcemy patrzeć.

— Więc i tutaj kręci się panu w głowie? — spytałem.

— Tak — odparł szybko — ale... nie mówmy o tem, bo nie zrobię ani kroku naprzód.

Umilkłem a mój Niemiec coraz głośniejszym deklamował Wirgiliusza i coraz częściej oglądał się za siebie. Baz nawet schwycił mnie za rękę i szepnął do ucha:

— Pański spokój jest dla mnie źródłem odwagi. Gdyby pana tu nie było, ustałbym w drodze, albo... karkbym skręcił...

Zimny pot wystąpił mi na czoło, ponieważ stan mojej duszy był zupełnym kontrastem tego, co biedny towarzysz wyobrażał sobie o mnie.

Przedewszystkiem mocno mnie niepokoiło to, że, pomimo dwugodzinnej podróży, góra, na którą mieliśmy wejść, wcale się do nas nie zbliżyła: zdawało mi się, że ciągle stoi od nas mniej więcej o wiorstę drogi. Ale moje zakłopotanie dosięgło zenitu, gdy nagle, góra, dokąd zbliżaliśmy się, znikła, a zamiast niej, zobaczyłem ogromne masy ziemi i skał, które zaczynały się gdzieś głęboko w dole, a kończyły — chyba pod gwiazdami. Ściana, na którą wdrapywaliśmy się, miała formę olbrzymich schodów, ze stopniami po kilkaset kroków wysokimi. Stanąwszy pod takim stopniem, myślałem, że to już szczyt; lecz po kwadransie wchodzenia przekonywałem się, że zamiast na szczycie, znajdujemy się na nowym stopniu, albo na małym poletku, za którym stoi jeszcze jeden stopień. I tak bez końca.

Droga tymczasem stawała się coraz dzikszą. Znikły lasy, trawa, kosodrzewina, nawet ziemia — gruntowa. Stąpaliśmy po warstwie kamieni, coraz większych i coraz łatwiej usuwających się z pod

nóg. Coraz gęstszą gromadą otaczały nas olbrzymie czuby gór, przystrojonych kitami obłoków, albo wąwozy dyszące mgłą niebieskawą.

Niekiedy fałdy góry wygładzały się; nikięły jej wielkie stopnie i tarasy, a zamiast nich widziałem pochyłą ścianę, która wymykała mi się z pod nóg i biegła stromo aż do szafirowych lasów, drzemiących o wiorstę głęboko. Raz, gdym na chwilę zapomniał, że jestem na górze, przewidziało mi się, że stoję na równinie, która nagle uchyla mi się pod nogami; część jej podnosi się aż do nieba, a druga część spada gdzieś aż do wnętrza ziemi. Uczulem zawrót głowy i, aby nie stoczyć się, chwyciłem za ramiona, idącego przedemną niemca. On przyśpieszył kroku i znaleźliśmy się w miejscu mniej stromem.

— Dziękuję panu... — szepnął, mocno ściskając mi rękę. — Już mi lepiej... Uratowałeś mi życie...

Oślupiałem ze zdumienia. A tymczasem, idące przed nami damy poprawiały na sobie szale i sukienki, które, według ich opinii, układały się nie dosyć estetycznie.

— Ogromny upał! — rzekła jedna.

— Co za niewygodna droga! — biadała jej towarzyszka.

Po kwadransie spokojniejszej drogi, ściana na którą wstępowaliśmy, skończyła się. Zobaczyłem, że ze wszystkich stron otaczają nas nagie albo śniegiem pokryte wierzchołki gór, że między nami i nimi niema nic, a raczej jest tylko powietrze. Nie wiem dlaczego, uczulem w tej chwili jakąś spokojną dumo i bezprzedmiotowy zachwyty.

— Jesteśmy na szczycie — rzekł Anglik i skłoniwszy się daniom, zapalił cygaro.

— Prześliczny widoki — zawołały obie panie. Wydobyły z kieszeni lusterka i zaczęły poprawiać sobie nieco potargane włosy.

— Druga godzina! — odezwał się mój rodak po polsku. — Dyabli wzięli obiad a może i kolację...

Niemiec tymczasem usiadł i pochyliwszy twarz do ziemi, począł deklamować Wirgiliusza.

— Czy widzisz pan Thusis? — spytałem go — Wygląda jak kilka ziarenek grochu.

— Nie nie widzę i na nic nie patrzę — odparł. Nadewszystko nie wiem czy stąd zejść!...

Anglik spostrzegł bladość na jego twarzy, pokręcił głową i podał mu flaszkę koniaku. Chory biedak wypił, trochę odpoczął i uspokoił się.

Siedzieliśmy z kwadrans, gdy zerwał się wiatr dosyć chłodny. Właśnie spoglądałem w kierunku Thusis i zobaczyłem szczególne zjawisko. W głębokim wąwozie, który leżał u nóg naszych, błękitna mgła nabrała jaśniejszej barwy, potem zrobiła się niebieskawą, blado-niebieską, nareszcie zupełnie białą. A potem szybko zaczęła wypełniać wszystkie doliny, tak, że zdawało się, iż otacza nas morze mleczne, po którym szczyty gór pływają. I nie tylko pływają, ale stopniowo zaczynają zanurzać się i tonąć. Widziałem wyraźnie jakiś ruch między mgłą i górami, ale przeraziłem się, gdym spostrzegł, że szczyt, na którym stoimy, poczyna spadać na dół... Byłbym przysięgł, że spadamy na rozpostarty pod nami obłok, ku któremu zbliżaliśmy się ogromnie prędko!

— Co to znaczy? — zapytała jedna z dam Anglika.

— Mgła podnosi się w górę — odparł nieco zasepiony. — Musimy schodzić — dodał.

— A więc to nie my spadamy, tylko mgła podnosi się ku nam!... — pomyślałem znacznie spokojniejszy.

Ale obłoki mają prędkie skrzydła. Jeszcze nie zdążyliśmy powstać z siedzenia, a już mgła otoczyła nas ze wszech stron i pomimo dnia, zrobiło się tak ciemno, że nie widzieliśmy nawet o parę kroków. Na rękach i twarzach poczuliśmy wilgoć, potem zaczął padać deszcz, potem deszcz ze śniegiem, a potem śnieg tak gęsty, jak u nas podczas zawiei.

Pomimo to szliśmy, trzymając się za ręce; droga bowiem była bezpieczna, a Anglik znał ją wybornie. Niekiedy pod nogami usuwały nam się śliskie kamienie, a wówczas — zjeżdżaliśmy kilka łokci na dół wśród ogromnego śmiechu. Najgłośniej śmiał się Niemiec, który nabrał doskonałego humoru od chwili, kiedy mgła zasłoniła mu spadek góry i przepaści pod nią leżące.

Po jednym takim poślizgnięciu się zjechaliśmy nie dwa albo trzy, ale ze trzydzieści łokci na dół. Już damy zaczęły krzyżeć ach! ach! kiedy pęd nasz zwolnił i uczuliśmy pod nogami twardą skałę.

Niemiec, bardzo zadowolony, powstał pierwszy i wyciągnąwszy kij, chciał iść naprzód. Ale zatrzymał go Anglik.

— Za pozwoleniem — rzekł — muszę zorientować się gdzie jesteśmy.

Posunął się kilka kroków po omacku i wnet rozplynał się we mgle.

— Ho! bo!...

Znowu wrócił, ale na jego twarzy dostrzegliśmy niepokój.

— Może przyda się panu busola? — spytał go mój rodak.

— Ależ naturalnie, pokaż pan! — odpowiedział, Anglik, niecierpliwie chwytając w rękę małą busolę, którą mój rodak ozdabiał dewizką zegarka.

Anglik patrzył, kręcił busolą i głową, wreszcie klasnął językiem.

— Musimy zatrzymać się, dopóki mgła nie przejdzie — rzekł z uśmiechem do dam.

A do nas szepnął:

— Zbłądziliśmy, jesteśmy zupełnie w innej stronie góry...

— A jak wysoko stoimy?... — zapytał Niemiec.

— Może w połowie góry, zresztą... czy ja wiem?

— A może tu jest gdzie przepaść?... — spytał znowu Niemiec.

— I za to nie ręczę — odparł Anglik. — W każdym razie brzegi tej skały są bardzo spadziste.

Damy siedziały zachmurzone.

— Szkoda żeśmy nie wzięły maszynki do czekolady — odezwała się jedna z nich.

Było już po czwartej, kiedy dmuchnął silny wiatr z boku i na chwilę odsłonił horyzont.

Dreszcz przebiegł mi po skórze. Zobaczyłem, że siedzimy jakby na gzymsie, kilkanaście łokci szerokim. Za nami stała spadzista ściana góry, pokryta śliskimi kamieniami, po których w tej chwili niepodobna było się wdrapywać a przed nami — o wiorstę niżej — dolina...

O zejściu z gzymsu w stronę doliny nie mogło być mowy: w tem bowiem miejscu skalista ściana góry spadała prawie prostopadle.

— Kiedyż ruszymy, panowie? — odezwała się jedna z dam.

— Jak mgła przejdzie — odpowiedział Anglik.

— A jeżeli do nocy nie przejdzie?

— To będziemy tu nocowali.

— Pan żartuje?...

— Wcale nie — odparł z powagą. — Wpadliśmy w pułapkę i musimy być cierpliwymi.

— Więc dawajcie panowie jakieś hasła — wtrąciła druga. — Okolica nie jest przecież pusta, może kto usłyszy...

— Właśnie tak chcemy zrobić...

Mój ziomek miał rewolwer, z którego począł strzelać w stronę doliny. Ale huk był tak słaby, że wątpił, aby go kto usłyszał.

Tymczasem mgła gęstniała coraz bardziej. Damy owinęły się w szale i siedziały smutne, a Niemiec chodził tam i napowrót, z oznakami wielkiego rozdrażnienia.

Nagle wziął mnie za rękę i odprowadził na bok. Twarz jego miała dziki wyraz.

— Panie — rzekł zmienionym głosem — wiem, że siedzimy nad przepaścią, a choć jej nie widzę, na samą myśl o niej czuję tak straszny zawrót głowy, że... nie wytrzymam dłużej...

— Więc cóż pan zrobisz?... — zapytałem zdumiony.

— Rzucę się! Wolę zginąć, niż tak cierpieć... Pana tylko ostrzegam o tem; inni niech nic nie wiedzą...

— Oszalałeś?...

— Tak... czuje, że oszalałem...

W tej chwili zbliżył się Anglik, i, nim się opamiętałem, pochwycił szalonego. Chciał związać mu ręce, a do mnie rzekł półgłosem: Zarzuć mu chustkę na głowę...

Ale nieszczęśliwy wyrwał się, odepchnął nas obu i pobiegł wzdłuż gzymsu, na lewo.

Po chwili usłyszeliśmy ciężki upadek i stłumiony grzechot toczących się kamieni...

— Co się tam dzieje? — zawołała jedna z dam, usłyszawszy hałas.

— Nie — odparł głucho Anglik. — Nasz towarzysz próbuje wejść na górę...

A do mnie szepnął:

— Ani słowa o tem, bo inaczej reszta pójdzie za nim. W takiej chwili szal jest zaraźliwą chorobą. Przykre położenie...

Wypił potężny łyk koniaku, poczęstował mnie, a potem... ładnym tenorem zaintonował aryę z jakiejś operetki! Zachmurzone francuski rozjaśniły twarze i zaczęły śpiewać razem z Anglikiem. Nawet mój rodak zapomniał o obiedzie i zawtórował im fałszywym basem, nieustannie myśląc się w melodyi.

Tylko ja milczałem zdumiony i przerażony. Ten śpiew nad przepaścią, po tak strasznym wypadku, dał mi poznać nadludzką odwagę Anglika, ale i groźbę położenia.

— Śpiewaj pan! — zawołała do mnie jedna z dam. Jest to najlepszy sposób na nudy i zimno.

— Może także zwróci na nas uwagę górali — dodała druga.

I zaczęli we troje nową aryę, jeszcze weselszą. Tym razem mój ziomek darł się bez ceremonii, po polsku w te słowa:

"Żeby cię dyabli porwali, Angliku, razem z twoją górą! Gdybym nie bał się Szwajcarów, zjadłbym cię zamiast cielęciny na obiad!

Anglik bardzo uprzejmie zwracał do niego twarz pobladłą i wywijał takt ręką.

W tera... usłyszeliśmy jakiś głos z dołu. Anglik zerwał się na równe nogi i pobiegł w tę stronę gzymsu, z której rzucił się Niemiec.

— Hop! hop! — wołano z dołu.

— Hop! hop! — odpowiedzieliśmy chórem. Obie damy pocałowały się z radości.

— Nie zabiłem się! — wołał głos. — Schodźcie państwo tędy na dół!... Pyszna droga!...

Ze zdumieniem poznaliśmy głos naszego Niemca.

— Z tego gzymsu panowie możecie zeskoczyć, jest zaledwo kilka łokci wysoko... Ale damy trzeba znieść na ramionach — krzyczał Niemiec.

— Chwała Bogu — zawołał mój ziomek — przynajmniej zjem dziś kolację!...

I skoczył prosto w mgłę.

Usłyszeliśmy znowu grzechot kamieni i biadający głos ziomka:

— A niech go piorun trzaśnie z taką drogą!... Pewniem nogę wywichnął...

Poczem usłyszeliśmy w dole rozmowę. Widocznie już spotkał się z Niemcem.

Z kolei zesłaliśmy wszyscy, pomimo protestu pań, które w żaden sposób nie chciały stawać na ramionach Anglika. W końcu jednak rozmyśliły się; skała bowiem wtem miejscu tworzyła rodzaj progu, wysokiego na trzy do czterech łokci, skąd trzeba było albo skakać, albo schodzić przy pomocy

osoby stojącej na dole.

Opuściwszy fatalny gzyms, znaleźliśmy się na spadzistym stoku, od góry do dołu zasypanym kamieniami. To też nie szliśmy, ale staczaliśmy się z ogromną szybkością i hałasem, wzięwszy się we czworo za ręce: panie w środku a my z angikiem na skrzydłach. Poniżej nas, trochę z boku, ujrzelśmy we mgle jadące dwa cienie: Był to mój ziomek i niedoszły samobójca — Niemiec. Pomimo wielkiej szybkości, nieomal przez kilka minut toczyliśmy się po stromym spadku góry. Im jednak spadaliśmy niżej, tembardziej mgła rzedniała; nareszcie, w połowie spadku, ujrzelśmy dolinę, a na niej kilka pasterskich szaletów.

Gdy w kwadrans później zeszliśmy się wszyscy na łące, Anglik, wzięwszy Niemca pod rękę, rzekł do pana:

— Czy panie wiedzą, że przed godziną ten człowiek chciał się zabić?

Samobójca, zawstydzony, odszedł na bok, a francuski widząc powagę, z jaką Anglik mówił, zaczęły się śmiać. Nawet mój ziomek uważał to za doskonały concept. Ale gdyśmy opowiedzieli wypadek, jedna z dam rozplakała się, a druga dostała spazmów.

Istotnie chwilowemu szaleństwu naszego towarzysza zawdzięczaliśmy życie. Gzyms bowiem wisiał nad przepaścią, a tylko w tym miejscu skąd skoczył Niemiec, można było zejść w dolinę bez narażenia się na śmierć.

Reszta jego przygody była dosyć prosta.

Rzuciwszy się ze skały, trafił na warstwę kamyków, a chcąc prędzej skończyć ze swoim zawrotem głowy, biegi' przed siebie na oślep. Po kilku minutach wyminął strefę mgły i zobaczył — drogę bezpieczną. Wtedy, ochłonawszy ze wzruszenia, z niemałym trudem wdrapał się znowu na górę, aby nas z niej sprowadzić.

— No, i co pan powiesz — zakończył mój przyjaciel — że od tego wypadku Niemiec najzupełniej pozbył się zawrotu głowy... Został nawet członkiem klubu alpejskiego, a dziś jego nazwisko spotykam na liście turystów, którzy wchodzą na najwyższe szczyty...

Podobne, leczć podobnem!

KAMIZELKA.

Niektórzy ludzie mają pociąg do zbierania osobliwości, kosztowniejszych lub mniej kosztownych, na jakie kogo stać. Ja także posiadam zbiorek, lecz skromny, jak zwykle w początkach.

Jest tam mój dramat, który pisałem jeszcze w gimnazyum na lekcjach języka łacińskiego... Jest kilka zasuszonych kwiatów, które trzeba będzie zastąpić nowymi, jest...

Zdaje się, że niema nic więcej, oprócz pewnej bardzo starej i zniszczonej kamizelki.

Oto ona. Przód spłowiały, a tył przetarty, Dużo plam, brak guzików, na brzegu dziurka, wypalona zapewne papierosem. Ale najciekawsze w niej są ściągacze. Ten, na którym znajduje się sprzączka, jest skrócony i przyszyty do kamizelki wcale nie po krawiecku, a ten drugi, prawie na całej długości jest pokłuty zębami sprzączki.

Patrząc na to, odrazu domyślasz się, że właściciel odzienia zapewne codziennie chudnął i wreszcie dosięgnął tego stopnia, na którym kamizelka przestaje być niezbędną, ale natomiast okazuje się bardzo potrzebnym zapięty pod szyję frak z magazynu pogrzebowego.

Wyznaję, że dziś chętnie odstąpiłbym komu ten szmat sukna, który mi robi trochę kłopotu. Szaf na zbiory jeszcze nie mara, a nie chciałbym znowu trzymać chorej kamizelczyny między własnymi rzeczami. Był jednak czas, żem ją kupił za cenę znakomicie wyższą od wartości, a dałbym nawet i drożej, gdyby umiano się targować. Człowiek miewa w życiu takie chwile, że lubi otaczać się przedmiotami, które przypominają smutek.

Smutek ten nie gnieździł się u mnie, ale w mieszkaniu blizkich sąsiadów. Z okna mogłem codziennie spoglądać do wnętrza ich pokoiku.

Jeszcze w kwietniu było ich troje: pan, pani i mała służąca, która sypiała, o ile wiem, na kufierku za szafą. Szafa była ciemno wiśniowa. W lipcu, jeżeli mnie pamięć nie zwodzi, zostało ich tylko dwoje: pani i pan. bo i służąca przeniosła się do takich państwa, którzy płacili jej trzy ruble na rok i co dzień gotowali obiady.

W październiku, została już tylko — pani, sama jedna. To jest nie zupełnie sama, ponieważ w pokoju znajdowało się jeszcze dużo sprzętów: dwa łóżka, stół, szafa... Ale na początku listopada, sprzedano z licytacji niepotrzebne rzeczy, a przy pani, ze wszystkich pamiątek po mężu, została tylko kamizelka, którą obecnie posiadam.

Lecz w końcu listopada, pewnego dnia, pani zawołała do pustego mieszkania handlarza starzyzny i sprzedała mu swój parasol za dwa złote i kamizelkę po mężu za czterdzieści groszy. Potem zamknęła mieszkanie na klucz, powoli przeszła dziedziniec, w bramie oddała klucz stróżowi, chwilę popatrzała w swoje niegdyś okno, na które padały drobne płatki śniegu i — znikła za bramą.

Na dziedzińcu został handlarz starzyzny. Podniósł do góry wielki kołnierz kapoty, pod pachę wetknął dopiero co kupiony parasol, owinąwszy w kamizelkę ręce czerwone z zimna, mruczał:

— Handel, panowie — handel!... Zawołałem go.

— Pan dobrodziej ma co do sprzedania? — zapytał wchodząc.

— Nie, chcę od ciebie coś kupić.

— Pewnie wielmożny pan chce parasol?... — odparł żydek.

Rzucił na ziemię kamizelkę, otrząsnął śnieg z kołnierza i z wielką usilnością począł otwierać parasol.

— A fajny mebel!... mówił. — Na taki śnieg, to tylko taki parasol... Ja wiem, że wielmożny pan może mieć całkiem jedwabny parasol, nawet ze dwa. Ale to dobre tylko na lato!...

— Co chcesz za kamizelkę? — spytałem.

— *Jake kamyzelkie?*... — odparł zdziwiony, myśląc zapewne o swojej własnej. Ale wnet opamiętał się i szybko podniósł leżącą na ziemi.

— *Za te kamyzelkie?*... Pan dobrodziej pyta się o te kamyzelkie?...

A potem, jakby zbudziło się w nim podejrzenie, spytał:

— Co wielmożnego pana po *take kamyzelkie?*...

— Ile chcesz za nią. Żydowi błysnęły żółte białka, a koniec wyciągniętego nosa poczerwieniał jeszcze bardziej.

— Da wielmożny pan... rubelka! — odparł, roztaczając mi przed oczyma towar w taki sposób, a żeby okazać wszystkie jego zalety.

— Dam ci pół rubla.

— Pół rubla?... *taky ub - jur?*... To nie może być! mówił handlarz.

— Ani grosza więcej.

— Niech wielmożny pan żartuje zdrów!... — rzekł, klepiąc mnie po ramieniu. Pan sam wi, co taka ale właściwie nie była to gorączka, tylko — taki stan nerwowy.

Wogóle czuł się coraz zdrowszym. Miał nieprzewartą chęć do jakichś dalekich wycieczek, lecz — trochę sił urn brakło. Przyszedł nawet czas, że w dzień nie chciał jeżyć w łóżku, tylko siedział na krześle ubrany, gotowy do wyjścia, byle go opuściło to chwilowe osłabienie.

Niepokoił go tylko jeden szczegół.

Pewnego dnia kładąc kamizelkę, uczuł, że jest jakoś bardzo luźna.

— Czybym aż tak schudł?... — szepnął.

— No, naturalnie, że musiałeś trochę zmizernieć; odparła żona. Ale przecież nie można przesadzać...

Mąż bacznie spojrzał na nią. Nie oderwała nawet oczu od roboty. Nie, ten spokój nie mógł być udany!... Żona wie od doktora, że on nie jest tak znowu bardzo chory, więc niema powodu martwić się.

W początkach września nerwowe stany, podobne do gorączki, występowały coraz silniej prawie po całych, dniach.

— To głupstwo! — mówił chory. Na przejściu od lata do jesieni najzdrowszemu człowiekowi trafia się jakieś rozdrażnienie, każdy jest nieswój... To mnie tylko dziwi: dla czego moja kamizelka leży na mnie coraz luźniej?... Strasznie musiałem schudnąć, i naturalnie dopóty nie mogę być zdrowym, dopóki mi ciała nie przybędzie, to darmo!... Żona bacznie przysłuchiwała się temu i musiała przyznać, że mąż ma słuszość.

Chory codzień wstawiał z Józka i ubierał się, pomimo, że bez pomocy żony nie mógł wciągnąć na siebie żadnej sztuki ubrania. Tyle przynajmniej wymogła na nim, że na wierzch nie kładł surduta, tylko paltot.

— Dziwić się tu — mówił nieraz, patrząc w lustro, — dziwić się tu, że ja nie mam sił. Ależ jak wyglądam!...

— No — twarz zawsze łatwo się zmienia — wtrąciła żona.

— Prawda, tylko że ja i w sobie chudnę,..

— Czy ci się nie zdaje? — spytała pani z akcentem wielkiej wątpliwości. Zamyślił się.

— Ha! może i masz rację... Bo nawet — od kilku dni uważam, że... coś... moja kamizelka...

— Dajże pokój! — przerwała pani, - przecież nie utyłeś...

— Kto wie? Bo o ile uważam po kamizelce, to...

— W takim razie powinny by ci wracać siły.

— Oho! chciałabyś tak zaraz... Pierwej muszę przecież choć cokolwiek nabrać ciała. Nawet

powiem ci, że choć i odzyskam ciało, to i wtedy jeszcze nie zaraz nabiorę sił...

A co ty tam robisz za szafą?... — spytał nagle.

— Nic. Szukam w kufrze ręcznika, a nie wiem... czy jest czysty.

— Nie wysilaj że się tak, bo aż ci się głos zmienia... To przecież ciężki kufer...

Istotnie, kufer musiał być ciężki, bo pani aż porobiły się wypieki na twarzy. Ale była spokojna.

Odtąd chory coraz pilniejszą zwracał uwagę na swoją kamizelkę. Co parę zaś dni wołał do siebie żonę i mówił:

— No — patrzaj - że. Sama się przekonaj. Wczoraj, mogłem tu jeszcze włożyć palec, o — tu. A dziś, jaż nie mogę. Ja istotnie zaczynam nabierać ciała!...

Ale pewnego dnia radość chorego nie miała granic. Kiedy żona wróciła z lekcji, powitał ją z błyszczącymi oczyma i rzekł, bardzo wzruszony:

— Posłuchaj mnie, powiem ci jeden sekret... Ja, z tą kamizelką, widzisz — trochę szachrowałem. Ażeby ciebie uspokoić, codzień sam ścigałem pasek i dla tego — kamizelka była ciasna...

Tym sposobem dociągnąłem wczoraj pasek do końca. Już martwiłem się, myśląc, że się wyda sekret, gdy w tem dziś... Wiesz, co ci powiem?... Ja, dziś, daję ci najświętsze słowo, zamiast ścigać, pasek, musiałem go trochę rozluźnić!... Było mi forfalnie ciasno, choć jeszcze wczoraj było cokolwiek luźniej...

— No — teraz i ja wierzę, *ia* będę zdrów... Ja sam!... Niech doktor myśli co chce...

Długa mowa tak go wysiliła, że musiał przejść na łóżko. Tam jednak, jako człowiek, który bez ściągania pasków zaczyna nabierać ciała, nie położył się. ale, jak w fotelu, oparł się w objęciach żony.

— No, no!... szeptał, — ktoby się spodziewał?... Przez dwa tygodnie oszukiwałem moją żonę, że kamizelka jest ciasna, a ona dziś naprawdę sama ciasna!..

No... no!...

I przesiedzieli, tuląc się jedno do drugiego cały wieczór.

Chory był wzruszony jak nigdy.

— Mój Boże! — szeptał, całując żonę po rękach, a ja myślałem, że już tak będę chudnął do... końca. Od dwu miesięcy, dziś dopiero, pierwszy raz, uwierzyłem w to, że mogę być zdrów.

Bo to przy chorym wszyscy kłamią, a żona najwięcej. Ale kamizelka — ta już nie skłamię!...

* * *

Dziś, patrząc na starą kamizelkę, widzę, że nad jej ściągaczami praco wały dwie osoby. Pan — codzień posuwał sprzączkę, ażeby uspokoić żonę, a pani codzień — skracala pasek, aby mężowi dodać otuchy.

Rzecz jest warta. To przecie nie jest *ub - jur* na małe dziecko, to jest na dorosłe osoby...

— No, jeżeli nie możesz oddać za pół rubla, to już idź. Ja więcej nie dam.

— Ino niech się pan nie gniewa! — przerwał, mięknąc. — Na moje sumienie, za pół rubelka nie mogę, ale — ja zdaje się na pański rozum... Niech pan sam powie: co tu jest wart, a ja się zgodzę!... Ja woię dołożyć, byle to się stało, co pan chce.

— Kamizelka jest warta pięćdziesiąt groszy, a ja ci daję pół rubla.

— Pół rubla?... Niech będzie już pół rubla!... — westchnął, wpychając mi kamizelkę w rękę. Niech będzie moja strata, byle ja z gęby nie robił... ten *wjatr*...

I wskazał ręką na okno, za którym kłębił się tuman śniegu.

Gdym sięgnął po pieniądze, handlarz, widocznie coś przypomniawszy sobie, wyrwał mi jeszcze

raz kamizelkę i począł szybko rewidować jej kieszonki.

— Czegóż ty tam szukasz?

— Możem co zostawił w kieszeni, nie pamiętam! odparł najnaturalniejszym tonem, a zwracając mi nabytek, dodał:

— Niech jaśnie pan dołoży choć z dziesiątkę!...

— No — bywaj zdrów! — rzekłem, otwierając drzwi.

— Upadam do nóg!... Mam jeszcze w domu bardzo porządne futro...

I jeszcze z progu wytknąwszy głowę, zapytał:

— A może wielmożny pan każe przynieść serki owczych?...

W parę minut znowu wołał na podwórzu: handel! handel!... a gdym stanął w oknie, ukłonił mi się z przyjacielskim uśmiechem. Śnieg zaczął tak mocno padać, że prawie zmierzchno się. Położyłem kamizelkę na stole i począłem marzyć to o pani, która wyszła za bramę niewiadomo dokąd, — to o mieszkaniu stojącym pustką obok mego, to znowu o właścicielu kamizelki, nad którym coraz gęstsza warstwa śniegu narasta...

Jeszcze trzy miesiące temu, słyszałem, jak w pogodny dzień wrześniowy rozmawiali ze sobą. W maju papi raz nawet — nuciła jakąś piosenkę, on śmiał się, czytając "Kuryera Świątecznego." A dziś...

Do naszej kamienicy sprowadzili się na początku kwietnia. Wstawali dość rano, pili herbatę z blaszanego samowaru i razem wychodzili do miasta. Ona na lekcye, on do biura.

Był to drobny urzędniczek, który na naczelników wydziałowych patrzył z takim podziwem, jak podróżnik na Tatry. Za to musiał dużo pracować, po całych dniach. Widywałem nawet go i o północy, przy lampie zgiętego nad stolikiem.

Żona zwykle siedziała przy nim i szyła. Niekiedy spojrzawszy na niego, przerywała swoją robotę i mówiła tonem upominającym:

— No już dość będzie, połóż się spać.

— A ty kiedy pójdziesz spać?...

— Ja — jeszcze tylko dokończę parę ściągów...

— No — to i ja napiszę parę wierszy... Znowu oboje pochylali głowy i robili swoje.

I znowu po jakimś czasie pani mówiła:

— Kładź się!... kładź się!...

Niekiedy na jej słowa odpowiadał mój zegar, wybijając pierwszą.

Byli to ludzie młodzi, ani ładni, ani brzydki, wogóle spokojni. O ile pamiętam, pani była znacznie szczuplejsza od męża, który miał budowę wcale tęgą. Powiedziałbym, że nawet za tęgą na tak małego urzędnika.

Co niedzielę około południa wychodzili na spacer, trzymając się pod rękę i wracali do domu późno wieczór. Obiad zapewne jedli w mieście. Raz, spotkałem ich przy bramie, oddzielającej ogród botaniczny od Łazienek. Kupili sobie dwa kufle doskonałej wody i dwa duże pierniki, mając przytem spokojne fizyognomie mieszczan, którzy zwykli jadać przy herbacie gorącą szynkę z chrzanem.

Wogóle biednym ludziom nie wiele potrzeba do utrzymania duchowej równowagi. Trochę żywności, dużo roboty i dużo zdrowia. Reszta sama się jakoś znajduje.

Moim sąsiadom, o ile się zdaje, nie brakło żywności, a przynajmniej roboty. Ale zdrowie nie zawsze dopisywało.

Jakoś w lipcu pan zaziębił się, zresztą nie bardzo. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności, dostał jednocześnie tak silnego krwotoku, że aż stracił przytomność.

Było to już w nocy. Żona utuliwszy go na łóżku sprowadziła do pokoju stróżowę, a sarna

pobiegła po doktora. Dowiadywała się o pięciu, ale znalazła ledwie jednego i to wypadkiem, na ulicy.

Doktor spojrzawszy na nią, przy blasku migotliwej latarni, uznał za stosowne ją przede wszystkim uspokoić. A ponieważ chwilami zataczała się, zapewne ze zmęczenia, a dorożki na ulicy nie było, więc, podał jej ręką i idąc, tłumaczył, że krwotok jeszcze niczego nie dowodzi.

— Krwotok może być z krtani, z żołądka, z nosa, z płuc rzadko kiedy. Zresztą, jeżeli człowiek zawsze był zdrow, nigdy nie kaszłał...

— O. tylko czasami! — szepnęła pani, zatrzymując się dla nabrania tchu.

— Czasami? to jeszcze nic. Może mieć lekki katar oskrzeli.

— Tak — to katar — powtórzyła pani, już głośno.

— Zapalenia płuc nie miał nigdy?...

— Czy znowu zejdą się kiedy oboje, ażeby powiedzieć sobie cały sekret o kamizelce?.. myślałem, patrząc na niebo.

Nieba prawie już nie było nad ziemią. Padał tylko śnieg, taki gęsty i zimny, że nawet, w grobach marzły ludzkie popioły.

Któż jednak powie, że za temi chmurami, niema słońca?...

CIENIE.

Kiedy na niebie dogasają blaski słońca, z ziemi wynurza się zmierzch. Zmierzch, — wielka armia nocy, o tysiącach niewidzialnych kolumn i miliardach żołnierzy. Potężna armia, która od niepamiętnych czasów pasuje się ze światłem, pierzcha każdego poranku, zwycięża każdego wieczora, panuje od zachodu do wschodu słońca, a w dzień, rozbita, chowa się po kryjówkach i czeka.

Czeka w górskich przepaściach i miejskich piwnicach, w gąszczu lasu i w głębi ciemnych jezior. Czeka, kryjąc się w przedwiecznych jaskiniach ziemi, w kopalniach, po rowach, w kątach domów, w załamkach murów. Rozproszona i na pozór nieobecna, wypełnia jednak wszystkie skrytki. Jest w każdej szczelinie kory drzew, w fałdach ludzkiego odzienia, leży pod najmniejszym ziarnem piasku, czepia się najcieńszej nici pajęczej i czeka. Wypłoszona z jednego miejsca, w okamgnieniu przenosi się na inne, korzystając z lada sposobności, aby powrócić tam, skąd ją wygnano, wdrzeć się na niezajęte stanowiska i zalać ziemię.

Kiedy gaśnie słońce, armia zmroków gęstymi szeregami wysuwa się ze swych ucieczek, cicha i ostrożna. Zapełnia korytarze domów, sienie i źle oświetlone schody; z pod szaf i stołów wypęłzuje na środek pokojów i obsiada firanki; przez lufty piwnic i szyby okien wysuwa się na ulice, w głuchem milczeniu szturmując ściany i dachy i zaczajona na szczytach, cierpliwie czeka, aż na zachodzie zbledną różowe obłoki.

Jeszcze chwilka i nagle zerwie się olbrzymi wybuch ciemności, sięgającej od ziemi do nieba. Zwierzęta skryją się po legowiskach, człowiek ucieknie do domu; życie, jak roślina bez wody, skurczy się i pocznie usychać. Barwy i kształty rozplyną się w nicestwie; trwoga, błąd i występki obejmą panowanie nad światem.

W takiej chwili, na pustoszejących ulicach Warszawy ukazuje się dziwna postać ludzka, z drobnym płomykiem nad głową. Szybko biegnie przez chodnik, jakby ją ścigały ciemności, przy każdej latarni zatrzymuje się na mgnienie, i roznieciwszy wesołe światło, znika, jak cień.

I tak każdego dnia w roku. Czy na polach wiosna dyszy zapachem kwiatów; czy sroży się lipcowa burza; czy rozhułkane na ulicach jesienne wichry miotają tumanami kurzu; czy w powietrzu kłębią się zimowe śniegi; on zawsze, skoro tylko nadejdzie wieczór, ze swym płomykiem przebiega miejskie chodniki, roznieca światło, a potem znika, jak cień.

Skąd się ty bierzesz, człowieku, i gdzie kryjesz się, że nie znamy twoich rysów, ani słyszymy głosu? Czy masz ty żonę albo matkę, która czeka twego powrotu? Albo dzieci, które, pozostawiwszy w kącie, twoją latarkę, wdzierają ci się na kolana i obejmują cię za szyję? Czy ty masz przyjaciół, którym opowiadasz swoje pociechy i zgryzoty, albo choć znajomych, z którymi mógłbyś porozmawiać bodaj o codziennych zdarzeniach?

Czy ty wogóle posiadasz jaki dom, w którymby cię znaleźć można; imię, którym można-by ciebie zawołać; potrzeby i uczucia, które-by cię robiły takim, jak my, człowiekiem? Czyli też jesteś naprawdę istotą bezkształtną, milczącą i nieujęta, co ukazuje się tylko o zmroku, roznieca światło, a potem znika, jak cień.

Odpowiedziano mi, że jest to naprawdę człowiek, a nawet dano jego adres. Poszedłem do wskazanego domu i zapytałem stróża:

— Czy u was mieszka ten, co zapala latarnie po ulicach?

— U nas.

— A gdzie?

— W tamtej komórce.

Komórka była zamknięta. Spojrzałem przez okno, ale tylko zobaczyłem tapczan przy ścianie, a obok niego na wysokim kiju latarkę. Latarnika nie było.

— Powiedz mi przynajmniej jak on wygląda?

— Kto go tam wie — odparł stróż, wzruszając ramionami. — Sam go nawet dobrze nie znam — dodał — bo po dniu nigdy w izbie nie siedzi.

W pół roku przyszedłem drugi raz.

— A dziś niema w domu latarnika?

— Oho! — rzekł stróż — niema i nie będzie. Wczoraj go pochowali. Umarł.

Stróż zamyślił się.

Zapytawszy o kilka szczegółów, pojechałem na cmentarz.

— Pokażcie mi, grabarzu, gdzie tu wczoraj pochowano latarnika?

— Latarnika?... — powtórzył. — Kto go tam wie. Trzydziestu pasażerów było wczoraj.

— Ależ on pochowany w oddziale najuboższych.

— Takich zważyło się dwudziestu pięciu.

— Ale on leżał w niemalowanej trumnie?

— Takich zwieźli szesnaście.

Tym sposobem nie poznałem ani twarzy, ani nazwiska, ani nawet nie widziałem jego grobu. I został tem po śmierci, czem był za życia: istotą widzialną tylko o zmroku, niemą i niepochwytną, jak cień.

W pomroce życia, gdzie po omacku błądzi nieszczęsny rodzaj ludzki, gdzie jedni rozbijają się o zawady, inni spadają w otchłań, a pewnej drogi nikt nie zna; gdzie na skrępowanego przesądami człowieka poluje zły przypadek, nędza i nienawiść, po ciemnych manowcach życia również uwijają się latarnicy. Każdy niesie drobny płomyk nad głową, każdy na swojej ścieżce roznieca światło, żyje niepoznany, trzusi się nieoceniony, a potem znika jak

POMINIĘTY.

Kto nie był na wystawie, niech śpieszy ją zobaczyć. Niech śpieszy, bo życie jest krótkie, a podobne widowiska urządzają się tylko raz na lat kilkanaście. Niech śpieszy, bo niedługo z czubatych dachów, które widać przez parkan, spadnie las chorągwi, a sama wystawa zamieni się na kupę desek i pusty plac ujazdowski...

Kto więc nie był, niech nie ociąga się, nie zwłóczy, nie odkłada na jutro, bo nie wiemy, na jak długo straci sposobność ujrzenia dziwnego miasta, bardzo dziwnego, najdziwniejszego wynalazku z tych, jakie porobił fantastyczny wiek XIX-ty.

Miasto — rzecz znana. Niejeden widział wielkie miasta europejskie, słyszał o azyatyckich i wie, że nawet całkiem dzicy ludzie, zupełnie nadzy ludożercy, także budują miasta. Nietylko ludożercy: nawet bobry, pszczoły, mrówki i termity, wznoszą, tłumne budowle, które również możnaby nazwać miastami.

Miasto więc we Francyi i w Tasmanii, nad syberyjskimi rzekami, których brzegu nie tknęła ludzka noga, pod strzechą ula i pod pnem sosny w naszych lasach zawsze znaczy jedno i to samo. Jest ono zbiorową siedzibą żywych istot, nazywających się ludźmi czy bobrami, mrówkami albo pszczołami, wszystko jedno, lecz — istot żywych. Tak było od czasów Memfisu i Ekbatany aż po wiek XIX-ty, w którym dopiero przyszła ludziom chimeryczna myśl budowania miast... dla rzeczy martwych...

Osobliwe to miasta! W północnej strefie widzisz budynki tak przewiewne, jakie wznoszą się tylko pod równikiem, a tak lekkie jak gdyby ten spokojny kraj był siedliskiem ciągłego trzęsienia ziemi. Widzisz ściany z płótna, z rzeźbionych desek, z brył węgla, albo z żelaznej koronki. Widzisz pałacyki, gdzie nikt nie mieszka, domy bez drzwi i okien, schody, po których nikt nie stąpa. W kaplicach, zamiast ołtarzy, rozpierają się szafy napełnione perkalem albo płótnem; w pawilonie, podobnym do obory, ściany kosztowniej są wytapetowane niż dom bogacza; w rajtshuli słychać dźwięki organów. Spotykasz kolumnadę o jakiej nie marzono w Grecyi: z beczek i rur kanalizacyjnych, a pod przejrzystym dachem szereg pieców. W namiocie rzymskich legionistów kryją się dziecinne wózki i kolebki; w półciemnym damskim buduarze widzisz zbiór nasion i czujesz zaduch kłajstru; w jarmarcznym straganie sprzedają na kubki i łokcie najmistyczniejszą siłę natury — elektryczność...

Wszystkie te budowle ustawiono pod sznur, przedzielono ulicami, obwieszono girlandami, festonami i trójbarwnymi chorągwiami. Zdaje ci się, iż wpadłeś do miasta, którego ludność obchodzi jakieś wesole święto, przyczem nie brakuje odgłosu dzwonów, ani muzyki, ani nawet stukania kufli.

Lecz właściwi mieszkańcy tych pałaców, kaplic, stodół, obór, namiotów i straganów, we wspaniałych teremach siedzą bez ruchu, nawet bez śladu życia. Nie zapraszają cię, abyś ich odwiedził, nie kryją się, gdy przychodzisz. Są obojętni dla pochwał i niewyczerpane pobłażliwi dla natręctwa. Na swoich uroczystych miejscach siedzą bez dumy, ale i bez zakłopotania, spokojni i jednostajni jak wieczność. Każdemu patrzą prosto w oczy, bez pokory wobec członków komitetu, bez dreszczu wobec sędziów, bez ziewania wobec pospolitych śmiertelników. Cechą wspólną im wszystkim jest nadludzkie poczucie godności, które posiada każdy, bez względu jak się nazywa: lokomobilą czy imbrykiem, srebrnym puharem, który będzie nagrodą wyścigowego zwycięzcy, czy kolczastym drutem, któremu całe życie zejdzie na niepuszczaniu bydła w szkodę.

Dziwne, bardzo dziwne miasto! więc śpieszcie się je zobaczyć. Śpieszcie zobaczyć, z jaką

powagą świętują i przyjmują hołdy rzeczy martwe, których nikt nie uczył dobrego wychowania. Śpieszcie zobaczyć mały stołeczek, który w zwykłych czasach jest małym stołeczkiem pod nogi, a dziś fenomenem, odwiedzanym przez dygnitarzy świeckich i duchownych. Uczcie się łagodności od maszyny parowej, której siła jest tak wielka, że jednym zamachem zdruzgotałaby słonia i wieloryba, a mimo to między sprychami jej potężnego koła siadają dzieci. Przekonajcie się, że pendzle ze szczeciny mają własną estetykę i że skromna igła przechodzi cały system edykacyjny o bajecznej ilości trzydziestu klas!... Zobaczcie jak wygląda jasnieoświeconość mosiądzu, wyczyszczonego pomadą do metali i znajdźcie tak starożytnego szlachcica, którego ród przy węglu kamiennym nie byłby parweniusem. Porównajcie waszą litość z tkliwością, opatrunkowej wały, albo plasterka do nagniotków i dobroczynność waszych serc z twardością młyńskiego kamienia, któremu cały świat zawdzięcza chleb powszedni.

Bardzo szczególne miasto...

Nawet słońce, dowiedziawszy się o jego cudach, stanęło nieruchome nad ujazdowskim placem i tak szeroko otwiera zdziwioną źrenicę, że wywołuje nieznośny upał. Pod jego wpływem z fontann ledwo sączy się strudzona woda. piwo wysycha w kuflach, a herbata w szklankach zmniejsza się o czwartą, część objętości. Pod jego wpływem treść wspianiałego pawilonu nasion zredukowała się do kilku kwart zboża, a warszawskie krawiectwo i szewctwo zupełnie wyschły i wcale ich nie widać. Skutkiem gorąca tkaniny nabierają własności papieru, na papierach wykwitają napisy w językach ciepłego klimatu, a miejsce przeznaczone na radomski pawilon skurczyło się tak, iż niepodobna wybudować pawilonu, a tem samem wystawić okazów z Radomia.

Inne przedmioty nasycone upałem rozszerzają się nad wszelką miarę. Medal pamiątkowy, wybity w szopie za 20 groszy, na spiekocie, w rękach roznoszącego katalogi chłopca, podwaja wartość i kosztuje 40. W sercach niektórych wystawców tak nabrzmiewa ambicya, że zaczyna kipieć gniewem, tarować plotkami, a nawet grozić wybuchem, który chciałby rozsądzić wyrok sędziów, komitet, wystawę, cały świat... Wzburzenie to ukoić może tylko jakiś niesłuchanie wielki i niesłuchanie złoty medal, połączony ze zniesławieniem wszystkich współzawodników.

Około dziesiątej rano plac był pusty i jeszcze doskonale odróżniałeś każdego sędziego od każdego członka komitetu, którzy nawet mogli, gdyby im się tak podobało, na wszystkich aleach wystawy urządzać piesze wyścigi, pojedynczo, sekcjami lub całymi oddziałami, wedle programu.

Ponieważ jednak płochość nie licuje z powagą urzędu, czcigodne więc te osoby oddawały się przyjemnościom mchu tylko w sposób umiarkowany i uroczysty, który dowodził, że już znajdują się w krytycznej chwili sądenia okazów i lada dzień uszczęśliwią wystawców licznem potomstwem złotych, srebrnych i brązowych medali. Było tak pusto, *ie* każdy wystawca nietylko poznawał swoich sędziów, ale jeszcze mógł porównywać ich wielkość z wysokością kotłów gorzelniczych, które, wyznajmy to, w powyższem zestawieniu wydawały się karłami

Ale około południa, na placu, obok sędziów, ukazał się tłum pospolitych ludzi, który, znowu skutkiem wzmagającego się gorąca, osiągnął niebywałych rozmiarów.

Wówczas zaś, ku zgorszeniu pełnych szacunku wystawców, zdarzyła się rzecz niesłuchana.

W napływającej fali widzów, sędziowie poczęli rozpuszczać się i tonąć.

Naprzód znikły ich niestrudzone nogi, potem piersi pełne obywatelskich uczuć, potem głowy, rzucające tyle światła na obecny stan naszego przemysłu, a nareszcie i kapelusze, które łagodziły oślepiające blaski swoich podstaw. W końcu zaś, gdy tłum zalał wszystkie aleje, napełnił wszystkie pawilony i opanował wszystkie kufelki, sędziowie rozplłynęli się w nim jak cukier w wodzie. Tylko słabe migotanie ukazujących się gdzieniegdzie kokard i tabliczek, podtrzymywało w wystawcach otuchę, że jeszcze nie wszystko zginęło i że, gdy ludzki przybór opadnie, znajdą się na jakiej

mieliżnie, jeżeli nie cali sędziowie, to przynajmniej pamiątki po nich w formie medali i listów pochwalnych.

Tłum wciąż przybierał i płynął niewiadomo dokąd.

Alejami szerokimi płynął jak rzeka, w wązkich przejściach zamieniał się na wartki potok, rozbijał się i rozpryskiwał o wielkie kotły cukrownicze, na środku drogi tworzył wiry, a przy budynkach pieniał się sukniami i piórami kobiet. Wlewał się do pawilonów, otaczał szafy ocierał o ściany i znowu wypływał na zewnątrz, aby ustąpić miejsca nowej fali kołyszących się głów i turniur.

I gdy tak wszyscy tworzyli jedną masę ruchomą a bezwładną, którą popychała fatalność, każdej z tych kropli białych, czarnych, niebieskich, różowych i popielatych zdawało się, że ona coś wie, czegoś chce i czegoś szuka. Szuka czegoś nowego i niesłychanego, co by wypełniło pustkę jej duszy; szuka czegoś, co nazywa się zadowoleniem.

I każdej z tych kropli, póki była w domu, zdawało się, że to coś znajdzie na ulicy; wyszedłszy na ulicę pomyślała, że owe coś znajdzie dopiero na placu wystawy. Zobaczywszy gromadę ludzi i budynków szepnęła: "otóż jest!..." i weszła w tłum najgęstszy, zaczęła zaglądać do każdego pawilonu, każdej szafy, w każdy słoik i w każde oczy. Co chwilę zdawało się jej, że już ma owe coś i znowu mówiła: "otóż jest!..."

Przyjrząwszy się jednak bliżej, zobaczyła tylko parę znanych wąsików, albo sztukę perkalu, albo farbę jaskrawego koloru, albo błyszczący medal cynowy.

Niekiedy świsnęła lokomobila, zagrała muzyka, albo znudzony próżniak pociągnął za serce wielkiego dzwonu.

Na każdy z tych odgłosów w dwudziestu tysiącach serc budziła się nowa otucha, dwadzieścia tysięcy ust szeptało: "otóż jest!..." dwadzieścia tysięcy istot obdarzonych wolną wolą biegnęło do świstawki lub dzwonu i — znowu przekonywano się, że to — tylko dzwon albo świstawka, a bynajmniej nie owe coś, czego szukają.

Mimo to każdy wciąż szukał, spodziewał się, doznawał zawodu i — znowu szukał lub czekał dalej. Zarówno zwiedzający, którzy nic nie zobaczyli jak i odbierający bilety, którym nic osobliwego nie udało się pochwycić; zarówno czujna policja i straż ogniowa, jak i zmęczeni wystawcy, którym ta jedna myśl spędzała sen z oczu, że coś przyjdzie do ich szafki, że z ich drutów, pieców, albo trzewików stanie się coś nadzwyczajnego, że szeleszczące na dachach chorągwie, piasek co skrzypi pod nogami przechodniów i wiatr co porusza festony pawilonów, nie szeleszczą dla własnej przyjemności, ale im, wystawcom, zapowiadają — coś...

Tymczasem obok świętujących przedmiotów, którym składano hołdy i obok ludzi, którzy szukali tego na wystawie, czego nie mogli znaleźć nawet we własnych sercach, wystąpiła trzecia potęga — kurz. Kurz, zbiorowisko niewidzialnych i niepochwytanych jednostek, równie ciekawy i natrętny jak ludzie, lecz od nich nieskończenie potężniejszy. Kurz, który nie tylko chodził po ulicach i ścieżkach, ale wzbijał się nad pawilony, odpoczywał na chorągwiach i drzewach. Nie płacąc za bilet wejścia, widział on więcej niż ci, którzy kupowali loże, więcej niż ci, co sądzili, a nawet urządzali wystawę. Zaglądał do niewykończonych pawilonów, przesakał sznury, których nie wolno przekraczać, wciskał się do szaf ze srebrem, do kranów machin, do papierów obradującego komitetu i obejmował w posiadanie nawet to, na czym leżały napisy: "nie tykać!" On wszystkiego dotykał, nie wyłączając kwiatów, włosów, u nawet trzewików damskich. Strudzony odpoczywał na cukrach i piernikach, zgrzany kapał się w piwie, albo chłodził w lodach a potem wciskał się między ręce i rękawiczkę, rozgrzewał na szyjach i dla odmiany ssał 'najpiękniejsze usta. Gdzie on nie był, czego on nie widział, ten najpotężniejszy z maluczkich i pogardzanych!

W takich warunkach pamięć o zdrowiu nakazywała iść na piwo. Poszedłem i na szczęście, w

najciemniejszym kącie, przy stoliku tak małym, że go nic, spostrzegli inni, znalazłem jedno wolne krzesło. Na drugim już siedział jakiś człowiek, którego pąsowa twarz i załzawione oczy wskazywały, że bawi tu oddawna, nie przynosząc zakładowi uszczerbku.

Był to mężczyzna w średnim wieku. Miał wyszarzany surdut z bardzo osobliwym garniturem guzików, włosy desperata i fizjonomię marzyciela, który się niekiedy upija. Rozpięty, nie pierwszej czystości kołnierzyk, przewiązany był krawatem któremu nici wypowiedziały służbę; na klapie surduta widać było blade plamy zeszlotygodniowego sosu, i świeże strugi piwa, które pił z telegraficzną szybkością, upominając się o coraz nowy kufel.

Dziwny ten towarzysz długą chwilę przypatrywał mi się szklannym wzrokiem. Nagle rzekł:

— Pan wystawca?

— Nie.

— Bo i ja nie. Raz w życiu byłem głupi, zem należał do wystawy, ale tylko raz. Wystarczyła mi jedna wystawa, jak jedna kąpiel memu bratu, gorzelnikowi, co wpadł do zacierowej kadzi i nawet nie miał czasu obetrzyć się. Dobrze skąpaliśmy się obaj, niech dyabli!... Dziś muszę pić i za siebie i za niego... Proszę jeszcze kufelek.

Oparł łokcie na stole, brodę na dłoniach i patrząc na mnie czerwonymi oczyma, mówił dalej:

— Widzę, że pan ciekawy, co mi się stało? (Wcale nie byłem ciekawy). Więc opowiem całą rzecz dla nauki, ażeby pan kiedy i sam nie puszczał się na wystawę i jeszcze innym zakazał.

Odrzucił się na poręcz krzesła i nagle zapytał:

— Czy pan wie, kto ja jestem?... Nie z nazwiska. Boże broń, bo nazwisko głupstwo. Można nazywać się Bonapartem, a być tylko lampartem albo osłem. Fach, to grunt! Co człowiek robi, to fundament. Otóż ja jestem z profesyi — guzikarz.,. Tak, panie, guzikarz. Może pan się śmieje?...

— Ani myślę.

— Prawda, widzę, że pan się nie śmieje; ale są tacy co śmieją się i nawet mówią: "wielka mi rzecz guzikarz! guzik prawie to samo co pętelka"... Nie dalej, panie, jak przed tygodniem powiedział mi to jeden szewc. Zaraz dałem mu w ucho, ale gałgan usunął się, a ja zrzuciłem na ziemię trzy butelki z bufetu. Myślałem, że trupem padnę z gniewu i ze zmartwienia. Wypłoszył mi trzy ruble z kieszeni za nic, jakby z ołtarza zdjął!

Tymczasem, panie, guzik to wielka rzecz. Ja, panie, dwadzieścia lat zastanawiałem się nad guzikami i jeszcze nie objał ich wszelakich właściwości I...

Po jednym guziku, panie, poznasz kto wojskowy, kto urzędnik i z jakiej dekasteryi, kto cywilny a kto kapłan. Chłop guzików nie nosi, a żydzi ledwo przyszyli do hałatów guziki, już — biorą nas za łeb. Uczeń co ma oberwane guziki, pewnie stoi na złej stancyi, ale chłopak sierota, co dba o swoje guziki, kiedyś zrobi majątek. W małżeństwie, panie, ja nigdy nie pytam się: jak ze sobą żyją? ale patrzę: jakie mąż ma guziki?..

A ile razy, panie, guzik stał się przyczyną, nieszczęścia?.. Jest tu elegant, prawda, że goły jak ogórek, ale rok temu miał zenić się z panną bardzo bogatą. Byli już po słowie, no i co pan powie? Jednego dnia, na balu, urwał mu się guzik w środku tańca; a panna tak go zniecierwiła, że od tej pory patrzeć na niego nie może. Poszedł majątek! i jeszcze chłopca do dziś dnia wyśmiewają...

A w polityce, myśli pan, że guziki nic nie znaczą? Kiedy prusacy w r. 1870-tym we stu konwojowali cały pułk francuski do fortecy, to co im dla bezpieczeństwa zrobili? Nie wiazali chłopów, tylko oberznęli im wszystkie, wszyściuteńkie guziki. Rozumieli gałgany, że taki, co musi nieść w rękach całe odzienie, nie będzie robił polityki.

Proszę jeszcze jeden kufelek!...

Taki jest, panie, mój fach.

Dwadzieścia pięć lat pracuję nad guzikami i nie tylko ręką, ale głową...

Na nieszczęście — westchną! — u nas nie szanuje się pracy, ani pomysłu, a na wystawach daje się nagrody i ogląda tylko tych, co już mają pieniądze i reputację.

Wzruszony wypił duszkiem kufel piwa. kazał podać jeszcze jeden i znowu mówił:

— Zawsze byłem bardzo zdatny do wszystkiego. Terminowałem nawet krócej, a w parę lat po wyzwolinach zostałem majstrem. Wtedy przyszło mi na myśl zreformować guziki, no — i dokazałem tego.

Guzik, panie, zwykle się przyszywa, często urywa, a zawsze psuje odzież. Otóż ja wymyśliłem takie zmiany.

W miejscach odzienia, gdzie wypadają guziki, robiłem dziurki i wbijałem kółka mosiężne, takie, jak w gorsetach.

W każdą dziurkę kładłem uszko guzika i — z tyłu przesadzałem zatyczkę. O, tak...

I pokazał mi swój surdut, do którego guziki były przymocowane w ten właśnie sposób.

— Akurat — ciągnął dalej — przypadła wystawa. Wynająłem miejsce, wystąpiłem z całą szafką guzików i z gotowym garniturem ubrania, według mojego pomysłu.

Proszę jeszcze jeden kufelek!... Com ja, panie, wycierpiał przez ten czas, to mi Pan Bóg chyba za moje grzechy policzy. Ludzie włóczyli się po wystawie jak i dziś, całymi bandami; robili tyle kurzawy, żeś świata nie dojrzał. Ale, myśli pan, że który obejrzał uważnie moje guziki, wypytał się, zastanowił nad wynalazkiem? Niejednemu sam zacząłem pokazywać i opowiadać, ale frant niedoczekawszy końca, machnął rękę i szedł dalej. Cieszyli się, że widzą tyle gratów różnokolorowych i błyszczących, ale żaden nie pomyślał: co dzieje się w sercu biednego wystawcy, którego praca i pomysły marnieją w biały dzień i jeszcze w takim miejscu, gdzie właśnie powinny być odznaczone i zyskać nagrodę.

Przyszli w końcu sędziowie. Jeden był wielki pan, który nigdy nie widywał oddzielnie guzików i myślał, że one szyją się razem z surdudem. Drugi, prawda, że się znał i nawet dobrze, ale tylko na budownictwie, a trzeci na bydle. Zawołali więc do pomocy krawca.

Krawiec z góry wpadł na mnie.

"Czyś pan zwaryował — mówi — a toż od tych dziurek popsuje się odzienie?"

"A od przyszywania guzików nie psuje się?" — pytam.

"Ale u mnie — on mówi — guziki przyszywa cały dzień dwóch chłopaków. Jak pan wprowadzisz swoje dziurki i zatyczki, to robotę skończą w godzinę i co po tem?... Może mają książki czytać?... Phy!.. "

No, i nie dali mi nic, panie, żadnej nagrody, żadnej pochwały! Nikt mi nawet nie powiedział:

Bóg ci zapłać, ty głupi, żeś myślał nad dobrem ludzkości... Eh!... nikt nawet nie spojrzął na moją robotę...

Kiedym, panie, po wystawie wynosił z szopy moje manatki, zdawało mi się, że w tem miejscu odgryźli mi kawał życia. Bo nie trzeba mówić, że zadłużyłem się, pracując przeszło rok nad moim wynalazkiem, a wierzyście, panie, widząc, że mnie nikt nie uznał, rzucili się jak smoki. Straciłem sklep, warsztat...

Przed wystawą, nogę mi zawracała jedna grzebieniarka, wdowa, ale jeszcze nie bardzo sparciała i trochę pieniędzy. Po wystawie ja ją pytam: kiedyż będzie wesele? (bo mnie już o pieniądze zaczęli dusić) a ona:

"Kiedy wesele, widzisz go!... Cóż to acan myślisz, że ja chciałabym opaskudzić się w takiego guzika co groszem nie zalatuje i nawet medalu nie dostał. "

"A pani — mówię — masz medal? Zepsułaś mi szczęście całego życia!... "

A ona zaraz zaczęła wrzeszczeć, żebym jej oddał dziesięć rubli, co pożyczyłem na szafkę...

Uderzył pięścią w stół i mruknął:

— Podły świat! W tych czasach najlepiej być wielką świnią, jak ten "Samson, " bo on prędzej doczeka się medalu i sławnej reputacji, niż człowiek co dba o innych i robi wynalazki... Na jednej tylko wystawie zmarnowałem sobie życie, a dziś, kiedy widzę głupich, którzy całymi dniami stoją przy swoich szafkach, czekając na dobre słowo publiki, ogarnia mnie taki żal, taki straszny żal...

Powiesiłbym się, gdyby nie to, że — trzymam ćwiartkę na loteryi...

Płacić!

Zapłacił za niezliczoną ilość kufli i chwiejąc się na nogach, wyszedł bez pożegnania.

W tej chwili wbiegł mój przyjaciel i namówił do wejścia na szczyt pawilonu-kiosku, w którym mieszczą się dwa pisma, katalog wystawy, salon prasy, telefon, teleskop, oświetlenie elektryczne i mnóstwo, mnóstwo innych rzeczy, jak w arce Noego.

Weszliśmy na balkon mało co niższy od piramidy Cheopsa, ale — ja nic nie widziałem ze szczytu; może być, że nie miałem humoru. Za to mój przyjaciel był zachwycony wszystkim. I tem co Bóg stworzył na niebie i na ziemi i tem co komitet zbudował na ujazdowskim placu i tem co p. Jung poświęcił na rogu alei rolniczo - przemysłowej i tem co p. Sulistrowski do wierzenia podał w swoim katalogu.

— Muszę cię też kiedy — rzekłem do przyjaciela — zapoznać z pewnym guzikiem.

— Guzikiem?... Dajże mi spokój z guzikami! Ja prezentuję się tylko tym, co wyrabiają maszyny parowe, nie guziki...

PRZEKŁĘTE SZCZĘŚCIE.

I.

TROCHE ŚWIATŁA.

Pan Józef i pani Helena Wilsy zaślubieni byli dopiero od pół roku. Działo im się dobrze na tym świecie, choć — nie najlepiej. Mieli trzy pokoje, w nich mebelki, takie tam, — nieosobliwe; parę obrazów oleodruków, które im ofiarował družba i starą sługę Mateuszową, która przyszła Bóg wie skąd, ale jeść gotowała niezgorzej.

Do inwentarza tego pani Helena wniosła nie wiele. Najprzód kanarka, którego wraz z klatką podarowała jej ciotka. Ciotczysko ubogie, to i prezent nie był kosztowny, — ale że jadł i śpiewał, cieszą się więc nim i powieszono w oknie jak należy.

Razem z kanarkiem wkwaterował się kuferek z bielizną, jeszcze jeden kuferek z sukienkami, pudło z kapeluszem i toaleta nie wiadomo z czem. Dorożkarz, który przywiózł to biedactwo, dostał pół rubla i był kontent, a Helunia ustawiwszy kufarki, pudełko i toaletkę na właściwych miejscach, także była kontenta, nawet bardziej niż dorożkarz.

W kilka dni po wprowadzeniu się do nowego gniazda, pomiarkowawszy, że jej czegoś brak, sprawiła sobie fartuszek z kieszeniami i napierśnikiem. Czysty to był fartuszek jak złoto i miał u dołu falbanki; młoda gosposia ubrała się w niego czempredzej i chodziła całą dobę, trzymając ręce w kieszeniach, a nazajutrz schowała go do szafy, gdzie leży po dziś dzień. Prawdę powiedziawszy, nie było do czego stroić się w fartuszek.

W tydzień potem przybył nowy frasunek w domu, w następstwie którego pani Helena zawiesiła w oknach bardzo gęste muślinowe firanki. Mąż przyznał, że dobrze zrobiła, choć nie wiedział dla czego; ale ja wiem. Miał ten pan brzydki, choć nie zupełnie grzeszny zwyczaj często całować żonę. Całował ją w pierwszym pokoju, w drugim i trzecim, na krześle, pod lustrem i przy oknie, a zawsze w sposób wyczerpujący. Naprzód w lewą rączkę, potem w prawą rączkę (albo na odwrót), potem w szyjkę z czterech stron, potem w buzię ze wszystkich stron...

Są fakty dowodzące, że panią Helenę całusy nie nudziły, ani martwiły, lecz niewątpliwem jest, że w czasie tych uroczystości odwracała głowę od okna.

Mąż przyznawał, że jest to zabawne, choć nie wiedział dlaczego odwracała głowę od okna, ale żona wiedziała, że robi to z obawy. Naprzeciw nich bowiem było inne okno, a w niem pewien żółty starzec z rzadkimi faworytami siwemi. Ile razy młodzi poczynali się całować, tyle razy staruch ukazywał się w swoim oknie, w białej szlafmicy, z pąsowym fontaziem na wierzchu i śmiał się, mrużąc oko i pokazując jeden ząb taki żółty jak on sam.

Helunia ze złości kupiła dziesięć łokci muślinu i pozasłaniała wszystkie okna. Od tej pory zamiast skrzywionej twarzy sąsiada, widziała tylko pąsowy fontaż jego szlafmicy, który trząsał się jak galareta, prawdopodobnie z wielkiej irytacji. Dobrze tak dziadziškowi, niech się nie śmieje!...

Na śmierć zapomnieliśmy dodać, że oprócz niewielkich kufrów, pudełka, toaletki i kanarka, przyniosła Helenka na nowe gospodarstwo jeszcze coś. Ale co?... Nie suszcie sobie ludzkie głowy na próżno, bo nigdy nie zgadniecie!... Oto przyniosła parę rączek drobnych, białych i pulchnych a z nimi pracowitość mrówki. Do tego zwój włosów gęstych i miękkich jak jedwab i dwoje oczu jak

pogodne niebo. Wreszcie nosek zadarty i usta koralowe i zęby drobne a białe i serce takie szczere a czyste, takie kochające i wierne, jakiego, ach! ludzie dobrzy, trudno między nami odszukać.

Pewnego dnia (miała już wtedy lat siedmnaście), dzisiejszy mąż jej a ówczesny student szkoły politechnicznej, rzekł do niej:

— Chciałbym pani coś powiedzieć...

— Niech pan powie — odparła.

— Kiedy się boję!...

— To musi być coś nie dobrego?

— Kocham panią.

Helenka otworzyła usta ze zdziwienia, a potem odpowiedziała:

— A wie pan, że... to dobrze.

— A pani mnie kocha?

— Czy ja wiem?...

— A będzie pani czekać na mnie?

— O, niezawodnie!

— Mam pani słowo. Jak skończę szkołę, pobierzemy się.

— Proszę być przyzwoitym! — zgromiła go Helunia.

Tyle tylko mówili o miłości, a we trzy lata pobrali się.

Władysław był mechanikiem, co jego żonę obchodziło nie wiele i miał opinię zdolnego i szlachetnego człowieka, a to ją obchodziło więcej. Miał przytem ładną figurę, czarną brodę i włosy, piwne oczy i piękną twarz, — co Helunię obchodziło jeszcze więcej. Wreszcie kochał ją, a ona za nim szalała,

Rezultatem takiej kombinacji zdrowia, urody i przywiązania, była wielka radość w trzech pokoikach na drugim piętrze, przez całe pięć miesięcy bez czegoś. Od kilkudziesięciu dni jednak na horyzoncie małżeńskim ukazał się punkt czarny: Władysław nie miał roboty!

Bankier Welt, przy którym Wilski w ciągu roku zarobił półtora tysiąca rubli, jakoś od dnia ślubu zaniedbał mechanika, a wreszcie zupełnie się od niego odsunął. Pozostały oszczędności, nadzieje i robota dorywcza, wszystko to jednak nie wystarczało na utrzymanie domu. Ograniczono więc wydatki, zmieniono ostatnią dwudziesto pięciorublówkę i... wydano przedostatniego rubla!...

Dzień ten był bardzo przykry dla małżonków. Władysław, unikając wzroku żony, zamknął się w swoim pokoju poto, aby robić sobie wyrzuty, że unieszczęśliwił kochającą go kobietę. Helunia znowu, widząc męża zmienionym ze smutku, sobie przypisywała kłopoty i mówiła:

— Mój Boże! gdyby on się ożenił z bogatą?... Jabyłm chyba umarła, ale na cóżem ja się zdała komu na świecie?!

Zeszłego kwartału sprawiłam sobie aż za dziesięć rubli sukienkę!... Ach! gdyby ją kto odkupił?...

Tak myślała, stąpając na palcach i oglądając swoje kwiatki. Niekiedy podchodziła pod zamknięte drzwi mężowskiego pokoju i słuchała. Ale tam było cicho. Natomiast z kuchni dolatywał łoskot przesuwanych rondli, a z okna świergotanie kanarka.

— Czego ten kanarek tak wrzeszczy?... — odezwał się nagle Władysław z odcieniem niecierpliwości w głosie.

— On już będzie cicho! — odpowiedziała Helenka, a następnie, zbliżywszy się do klatki, dodała półgłosem:

— Cicho, mój ptaszeczku, cicho!... Pan się gniewa na nas, cicho!...

Kanarek spojrział na nią najprzód jednym okiem, potem drugim, ruszył ogonem na prawo i na lewo, a potem zaświergotał jeszcze głośniejsze.

Przestraszona Helenka nakryła mu klatkę czarnym szalem i ptak uspokoił się.

— Teraz pewnie będzie spał — rzekła i przystąpiła do drzwi, mężowskich. Położywszy jednak rękę na klamce, jakby spłoszona swoją śmiałością, cofnęła się na środek pokoju i stała tak parę chwil, tłumiąc oddech w piersiach.

— Nie można mu przeszkadzać! — rzekła i, wprowadzając w czyn tę uwagę, otworzyła drzwi.

— Czyś mnie wołał, Władziu? — spytała.

— Nie.

Zbliżyła się ostrożnie do siedzącego męża i pocałowała go.

— Myślałam, żeś mnie wołał.

— Ten kanarek mnie drażni — odparł Władysław.

— Przykryłam go, już śpi. Znowu go pocałowała.

— A jeżeli będziesz czego potrzebował — mówiła dalej — to zawołaj... Jestem ciągle w drugim pokoju...

I znowu go pocałowała.

Potem popatrzyła chwilę na smutną twarz męża i wyszła pocichu, zamykając drzwi za sobą...

"Rzekł onego czasu Pan Bóg: Nie być człowiekowi samemu...

A gdy stworzył Pan z ziemi wszelki zwierz polny...

Tedy przypuścił twardy sen na Adama i zasnął; i wyjął jedno żebro jego i zbudował Pan z żebra onego, (które wyjął z Adama), niewiastę i przywiódł ją do Adama...

O, Panie! o, Panie!

II.

TROCĘ CIENI.

Pokój Władysława był obszerny i widny, jak przystało na pracownię technika. Prócz niezbędnego biurka, szesłaga i krzesła, był tam stół do rysunków, mały warsztat ślusarski i stolarski do robienia modeli, książki, plany, modele i mnóstwo narzędzi, które mają przywilej budzenia ciekawości profanów. Na wszystkim tem jednak znać było bezrobocie. Ani jeden wiórek, ani jedna szczypta opiłków nie zanieczyściły warsztatu. Tusz i karmin w miseczkach wyschły, plany pożółkły, a na rejbretach i rozpoczętych rysunkach leżała warstwa kurzu.

Władysław czytał z hydrauliki rozdział o turbinach. Gdy weszła żona, z niewymowną goryczą przypomniał sobie, że przed tygodniem żądano od niego planu turbinowego młyna, wczoraj zaś odpowiedziano mu, że młyn kto inny zbuduje.

— Miałem też po co pracować lata całe, wśród niedostatku! — szeptał, pomyślawszy, że owym lepszym od niego ktosiem, był cieśla od wiatraków, który plany z patykiem układał.

Po tej uwadze rzucił hydraulikę i wziął się do rachunku całkowego. Tu wzrok jego padł na formułę: $I'(1) = I'(2) = 1$ i otóż przypomniał sobie, że ma tylko jednego rubla w domu!

— Ja mógłbym jeść przez parę dni suchy chleb, do którego się przyzwyczaiał, — ale orla?... !..

— O mnie nie myśl, mój Władziu... Ja mogę jeść suchy chleb, nieraz mi się to przecież zdarzało...

Obejrzał się, ale w pokoju nie było nikogo. Teraz dopiero przypomniał sobie, że słowa te, przed kilkoma dniami powiedziała mu Helunia.

— Ja tam z państwem za jedno — jak państwu tak i mnie!... odpowiedziało echo wspomnień głosem Mateuszowej.

— Wielki Boże! jakież ze mnie egoista?... — pomyślał i krew uderzyła mu do twarzy.

— Z tem wszystkim, na trzy osoby jest w domu rubel!..

Odwrócił kilkanaście kart książki i trafił na formułę prawdopodobieństwa zdarzenia przyszłego ze zdarzeń przeszłych.

— Jeżeli przez czterdzieści dni nie miałem roboty, jakie jest prawdopodobieństwo, że ją jutro dostanę?

— Jedna czterdziesta pierwsza! — odpowiedziała formuła.

— Ciekawym bardzo, jakie też jest prawdopodobieństwo, że zostanę złodziejem lub samobójcą?..

Formuła milczała.

Przez okno widać było śnieg topniejący na dachach, parę napuszonych wróbli i skraj nieba. Władysław podniósł oczy na niebo i pomyślał, że dziś jest połowa marca i że nie prędzej jak w maju dostanie miejsce rysownika w fabryce, z pensją trzydziestu rubli na miesiąc, za dziesięć godzin pracy!...

Odrzucił rachunki i wziął maksymy Epikteta. Filozof niewolnik bywał często lekarzem zbolalej duszy. Władysław otworzył książkę i począł kartki przewracać.

"Wygnań swoje pragnienia i obawy — mówił mędrzec — a pozbędziesz się tyrana. "

"O, ślepy i niesprawiedliwy! Mógłbyś tylko zależeć od siebie, a chcesz zależeć od tysiąca rzeczy, które ci są obce i które oddalają cię od prawdziwego dobra!... "

Władysław nagle przestał czytać i słuchał. W drugim pokoju szeptano.

— Pani! — mówiła Mateuszowa — kobieta masło przyniosła.

— Nie weźmę dziś — odparła Helunia.

— Śliczności masło, pan takie lubi...

— Niech przyjdzie na drugi raz.

— Co tu czekać na drugi raz, ona już nie przyjdzie tak prędko! Zresztą... ja kupię za swoje, to pani mi odda. Mam przecie trzynaście rubli...

Chwila milczenia. Władysławowi ręce opadły.

— Powiedziałam Mateuszowej, że nie chcę! — odparła Helunia.

Służąca oddaliła się, mrużąc.

— Mam rubla! szepnął Władysław. Potem przypomniał sobie, że dziś jest środa i że jutro przyjdzie do nich na obiad pewien ubogi student, brat zmarłego kolegi.

"Nie pragnij, aby w świecie działo się tak jak ty chcesz, ale chciej, aby się działo tak jak się dzieje, a będziesz zawsze zadowolony."

Władysław ruszył ramionami, złożył książkę i upadł na szesłąg. Podobna filozofia dobrą była dla ludzi, którzy wypiwszy czarną kawę idą spać po smacznym obiedzie, albo dla tych, w którym cierpienie wypłeniło już wszelkie uczucia.

Leżąc na szesłagu przymknął oczy, jak człowiek, który chce przypatrzeć się wnętrzu swojego ducha i i ze zdumieniem rozmyślał, z jak małych przyczyn niekiedy wielkie powstają boleści!

— Jutro — mówił — nie będzie już w domu ani grosza. Gdybym był sam, śmiałybym się z tego, ale mam żonę... Ach! jej rezygnacya zabija mnie!... Od czterdziestu dni prosiłem, zebrałem o pracę i nie dano mi jej, dziś techników więcej niż szewców.

Wyjechać niema gdzie i niema po co. Umrzeć?... O, Boże! a któż przy nic) zostanie?... Jeżeli rzeczy zaczną sprzedawać...

A jeżeli pojutrze już obiadu nie będzie?...

— Władziu!... Władziu!. patrz!... — krzyknęła nagle Helenka, wbiegając do pokoju.

— Co to jest?...

— W twojej kamizelce znalazłam pięć rubli... Wzięłam ją do naprawy i w górnej kieszeni...

Patrz!...

Władysław usiadł na szesłagu, a żona upadła mu na szyję.

— Widzisz, jaki Pan Bóg łaskaw?... Mieliśmy tylko rubla w domu, tyś się martwił, widziałam to, i otóż mamy pieniądze. To na parę dni nam wystarczy, a potem będziesz miał robotę!

— Skąd?... — spytał mąż.

— Czy ja wiem skąd?! — odparła, pieszcząc go. Ale przecież mieć musisz, bo to już ostatnie pieniądze !

— Dziecko!

— Ciekawam bardzo skąd one się tam wzięły?

— Przypominam sobie. Zdał mi ktoś resztę, ja schowałem pięć rubli do kamizelki, a potem pomyślałem, że zgubił. Rok już tam leżą!

— No, widzisz, jak to nie trzeba się martwić. No, uśmiechnij się! Tak, dobrze... Więc nie podziękujesz żonie, że ci stare kamizelki naprawia?... Ach! ty nic dobrego... Już trzeci dzień płakać mi się chce! Nie mówisz nic do twojej żony kochanej, na kanarka się gniewasz, desperujesz po kątach. No, przeproś żonę!... Tylko prędzej!... Jeszcze raz!...

Władysław czuł, że pod wpływem tego szczebiotania a może i znalezionych pięciu rubli, spokojność mu powraca. Uśmiechnął się ze swojej rozpacz i nie mógł wierzyć prawie, że tak drobna rzecz, jak znalezienie trochę pieniędzy może przywrócić zachwianą równowagę i zniszczyć wielką burzę duchową.

— Każę już dawać obiad — mówiła Helenka. — Mamy zupełną piwną ze śmietaną, z grzankami i z

serem i jeszcze kartofle osmażane.

— Uważam, że zupeł rachujesz co najmniej za cztery potrawy?

— Ale, bo widzisz, dla ciebie kazałam jaj ugotować.

— A dla siebie?

— Ja jaj nie lubię. A zresztą... w tej chwili przyszedł mi apetyt. Każę dołożyć z parę, dla mnie i dla Mateuszowej.

Niebawem zrzędna Mateuszowa podała obiad, a Władysław zdjął szal z klatki. Kanarek zobaczywszy światło, zatrzepotał się i począł świergotać. Towarzyszyły mu wróble na dworze, krople rosy obficie spływające z dachu i wesoły śmiech Helenki.

Teraz Władysławowi nie wiadomo skąd przyszła na myśl wiosna. Przypomniał sobie, że dzieckiem jeszcze będąc, wybiegł pewnego dnia do ogrodu, po wielkim deszczu. Trawa wczoraj blada, dziś była zielona jak szmaragd, drzewa okryte wczoraj pączkami, dziś pełne były młodych listków. Na ziemi stały kałuże wody, na niebie jaśniała tęcza, a w jego duszy dziecięcej obudziło się coś, czego jeszcze nazwać nie umiał.

Wszystko to przypomniało mu się bardzo dokładnie, skutkiem czego uściskał i ucałował żonę, która mimochodem spojrzawszy przez firankę, dostrzegła w oknie po drugiej stronie, spiczastą szlafmycę z fontaziem i żółtą twarz chytrego staruszka.

Chudy starzec śmiał się jak dawniej i jeszcze mocniej przymrużał oko, lecz tym razem Helenka nie gniewała się na niego. Miłosierny Bóg tak już ten świat urządził, że młodzi mężowie cieszą się na nim pięć rublówkami, młode żony mężami, a staruszkowie radością młodych!...

III.

WIDZIADŁA;

W parę dni, małżonkowie mieli jeszcze całkowite trzy ruble, lecz widoków na robotę nie było. Mimo to cieszyli się iak dzieci i nie bez powodu. Dziś był u nich na herbacie dawny a wypróbowany przyjaciel Władysława, zarazem dróżba obojga — Józef Grodzki, który w przejeździe z pod gór Uralskich do Londynu, wstąpił na kilkanaście godzin do Warszawy.

Grodzki, z powołania inżynier, od pół roku mieszkał na granicy Azyi i robił tam fortunę. Był to blondyn niski i tusty, mówiący głośno, śmiejący się jeszcze głośniejszym, przytem energiczny, trzeźwego umysłu i z najlepszym sercem chłopak. Kochał Wilskich jak własną rodzinę i przywiózł im z odległej swojej siedziby gościńca: parę chińskich filiżanek, okruch rodzimego złota i kawał malachitu.

W tej chwili troje naszych przyjaciół siedzieli przy herbacie, a Grodzki opowiadał im swoje dzieje, które zakończył w następujący sposób:

— No, a wam jakże się powodzi?... Spodziewam się, że dobrze! Ja mam wprawdzie sześć tysięcy rubli pensyi, lecz w kraju gdzie nie wierzą w skarpetki i chustki do nosa, człowiek chcący żyć po europejsku, musi dużo wydawać. To też zaledwie uciułałem sobie tysiąc rubli i te złożyłem dzisiaj w naszym banku. Nędza!... co?...

Usłyszawszy to, Helenka podniosła na męża swoje słodkie szafirowe oczy z dziwnie żalonym wyrazem, a Władysław lekko brwi zmarszczył. Grodzki uchwycił w przelocie tę niemą rozmowę biedaków, czegoś się domyślił i rzekł:

— Z tem wszystkiem mara duży kłopot. Obstalowano u mnie projekt tartaka parowego i takiegoż młyna. Wierny zasadzie: drzyj łyko dopóki się da, przyjąłem obstalunki, zaceniłem po trzysta rubli sztukę, a pieniądze, wziąłem z góry. Dziś, za karę, będę musiał szukać technika, któryby je wykonał, — a czasu nie mam.

— Możeby Władzio?... — wtrąciła śpiesznie Helenka, oblewając się purpurowym rumieńcem.

Władysław siedział jak na szpilkach.

— "Władzio?... — odparł Grodzki. — Najchętniej oddam mu robotę, byle ją tylko raczył przyjąć. No, i cóż ty, Władysławie?..."

— Przyjmę!

— Brawo!... Tak to rozumiem, skończymy interes w dwu wyrazach. Notatki i pieniądze dam ci zaraz. Z temi słowy inżynier wydobył z kieszeni bajecznej wielkości pugilares, pełen pieniędzy, weksli i notat, wyjął stamtąd kawałek papieru zapełnionego cyframi, sześć sto-rublowych bankocetli i wszystko to położył na stole.

— Wydobyłeś nas z ciężkiego kłopotu! — zawołał Władysław, ściskając go za rękę. Poczem opowiedział mu o swoim położeniu.

— Niepoczeiwi! — wykrzyknął inżynier. Gdybyście byli do mnie choć słówko napisali, pożyczylbym wam kilkaset rubli na parę lat bez procentu!...

Po podziękowaniach i obustronnych zapewnieniach o przyjaźni, rozmowa skierowała się na inny przedmiot.

— Cóż Władysławie, jakże będzie z naszą spółką i fabryką?... — zapytał, śmiejąc się Grodzki.

— Dojrzewa w biurku! — odparł tym samym tonem Władysław.

— Trzeba pani wiedzieć — mówił inżynier zwracając się do Helenki — że mąż jej co dzień tworzył nowy projekt, a każdy filantropijny, choć zresztą bardzo rozsądny. Między innymi namawiał nas, w szkole jeszcze, abyśmy, powróciwszy do kraju i dorobiwszy się pieniędzy, założyli fabrykę

plótna...

— Na którą pan ma obecnie tysiąc rubli, a Władysław żonę — przerwała Helenka.

— I to jest kapitał — odparł Grodzki. — Otóż nasza fabryka miała, mówię pani, miała stanowczo wyrugować płótna zagraniczne i wywołać przewrót w tego rodzaju zakładach krajowych. Władysław zaprojektował nowy system wentylacyjny dla zdrowia robotników, dalej tentyemy i emeryturę znowu dla nich. Dalej czytelną dla dorosłych, bardzo znakomitą szkołę dla dzieci i pewien rodzaj Seminarium dla praktykantów.

— Marzenia!... — wtrącił ze smutkiem Władysław.

— Pozwól sobie powiedzieć — odparł Grodzki — że wolę te marzenia naszej młodzieży, od knajpiarstwa i burszyny studentów niemieckich. Powiem ci nawet więcej, że twoje marzycielskie projekty uczyły nas na obczyźnie myśleć o kraju i jego potrzebach i że one to właśnie zjednały ci serca wszystkich. Nie opuszczaj zatem rąk. Wie uda nam się fabryka płótna, to założymy kuźnię wzorową, nie uda się szkoła techniczna, to spróbujemy otworzyć porządne warsztaty. Ja wcale za wygraną nie daję. Dziś jestem na drodze do majątku i honorem ci ręczę, że skoro zbiorę kilkanaście tysięcy rubli, przypomnę ci twoje projekty.

Gadatliwemu inżynierowi świeciły się oczy gdy to mówił. Cała jego fizygnomia wyrażała energię, zapał a nadewszystko ufność we własne siły, której znekany nieco Władysław nie posiadał już w takim stopniu.

— Ile to potrzeba pieniędzy na fabrykę! — odezwała się Helenka, kręcąc głową.

— Zapewne, że wiele! Z tem wszystkim jednak mąż pani, gdyby umiał kuć żelazo na gorąco, mógł być już dawno utworzyć podobną fabrykę.

— Ja?... jakim sposobem?... — zapytał zdziwiony Władysław.

— Cha! cha! nie pamiętasz, serce?... — wykrzyknął Grodzki. Trzeba było myśleć o fabryce pół roku temu, wówczas gdy się w tobie kochała pani bankierowa Welt...

— We mnie?... bankierowa Welt?... — powtórzył jeszcze bardziej zdumiony Wilski.

— U, prostaku! o, baranku niewinny! — wołał Grodzki. — Cały świat wiedział, że szaleje za nim ta poczciwa kobiecina, a on nie wie o tem do dziś dnia. Cha! cha! cha!..

Helenka, słuchając, zapomniała o samowarze, skutkiem czego gorąca woda przelała się już przez wierzch szklanki. Drobnym ten wypadek skierował rozmowę na inny temat i pozwolił Władysławowi ukryć niespodziane, lecz wielkie zakłopotanie, jakiego w tej chwili doświadczył.

Około jedenastej wieczór Grodzki, który musiał nazajutrz rano wyjechać, pożegnał swoich przyjaciół i na zakończenie rzekł:

— Pani Heleno! znieawidzę was, jeżeli w kłopotach nie odwołacie się do mnie. Jestem człowiekiem z jednej sztuki, nie lubię ceremonii między swojemi, a kogo Kocham, to już całym sercem.

Rozrzewniona Helenka serdecznie ścisnęła go za

— No, a ty Władysławie — dodał — bierz się na ostro i rób pieniądze. Na honor! jesteś jedynym facetem w którego rękach radbym widzieć miliony, bo wiem, żebyś je puścił, ale z pożytkiem i dla ogółu i dla blizkich tobie!...

Gdy Grodzki wyszedł, Helena zajęła się sprzątaniami, Władysław zaś począł chodzić po pokoju i myśleć. W duszy jego ścierały się dwie idee: jedną z nich były obstalowane przez Józefa modele, drugą... Drugą Władysław chciał gwałtem za obręb świadomości wyrzucić.

— Kotły obstaluję u mosiężnika... — myślał.

— Bankierowa Welt kochała się w tobie — szeptał jakiś głos.

— Ciekawym ile umie będą kosztować?... mówił znowu Władysław.

— Kochała cię, czy słyszysz?... — powtórzył ten sam głos.

Władysław poszedł do swego pokoju i począł przeglądać notatki zostawione przez Grodzkiego. Nagle odwrócił głowę: zdawało mu się, że za jego krzesłem stoi jakieś widziadło, które mu nieustannie szepcze do ucha:

— Kochała cię!...

Wilski rzucił się na szesłąg, oparł głowę na rękach i utkwiał wzrok w suficie. W tej chwili moce nadziemskie opanowały jego duszę i oto co widział:

Pewnego dnia, młody, dziwnej piękności człowiek, ubrany we frak, jak przystało na suplikanta, wszedł do gabinetu bankiera Welt.

Zaakomity finansista siedział przed biurkiem na którym leżało mnóstwo otwartych książek, tudzież stosy zapisanego papieru — i — czytał. Uwaga jego była tak mocno zajęta, że dopiero po upływie dwu minut zdołał spostrzedz młodzieńca, który w prostocie ducha wywnioskował stąd, że bankier musi być wielkim człowiekiem.

Gdy Welt zbudził się ze swych głębokich rozmyślań, rzekł, uchylając haftowanej czapeczki:

— Ach! to pan Wilski?... stokrotnie przepraszam! Pozwól pan, że zatrzymam czapeczkę na głowie. Człowiek tak wiele pracuje umysłowo, że aż doświadcza strzykań. Co pan rozkaże?...

Wilski zamiast odpowiedzi podał mu list. Bankier spojrział na pieczętkę i zdjął czapeczkę.

— Wiem, to pisze mój przyjaciel, książę... Często ze sobą korespondujemy. Dobry chłopak! tylko strasznie demokratyczny...

Potem otworzył list i w miarę odczytywania, mówił:

— "Najuprzejmiej polecam łaskawym względom... " dobrze! "Najzdolniejszy uczeń na wydziale mechanicznym... " bardzo pięknie! "Wielki medal złoty... "

— Panie Wolski...

— Nazywam się Wilski.

— Panie Wilski, to musi być duży ten wielki złoty medal, który pan dostał?...

— Dostyc.

— Tak, ja to wiem!... Niech pan bez ceremonii siada, bardzo proszę.

Zaproszenie było zbyteczne, ponieważ Wilski sam już bez ceremonii usiadł. Skończywszy czytać, Welt mówił dalej:

— Po tym liście dom mój jest dla pana otwarty. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Pan będziesz łaskaw pofatygować się do nas co czwartek na herbatę, począwszy od dziś dnia, o wpół do dziesiątej wieczór.

— Czy mogę spodziewać się?... — wtrącił Wilski.

— Może się pan spodziewać najdystyngowańszego towarzystwa w salonach mojej żony.

— Miałem w tej chwili na myśli posadę techniczną.

— Ach! pan miał na myśli posadę?... — O tem jeszcze pogadamy.

Wilski pożegnał go i zabierał się do wyjścia. Nagle bankier zawołał:

— Ale, ale!... panie Wilski... Jak pan będzie pisał list do księcia, to proszę mu się pięknie kłaniać odemnie.

Tego samego dnia na herbacie poznał Władysław panie Welt. Była to kobieta w sile wieku, nie tyle piękna ile majestatyczna, a zarazem pociągająca. Śniada jej twarz miała wyraz powagi i słodczy, a czarne oczy dziwnie rozmarzały ludzi.

W ciągu wieczora pani domu kilka razy przez czas dłuższy rozmawiała z Wilskim, który, mając głowę nabitą rozmaitemi planami, mówił tylko o nich. Bankierowa słuchała go uważnie i patrzyła na niego tak jakoś szczególnie, że Władysław powróciwszy do domu, spać nie mógł.

Na drugi dzień Welt dał Wilskiemu korzystne zajęcie i uroczyście wezwał go do jak najczęstszych wizyt.

— Ona cię kochała!... — szeptał mu uporczywie głos, pod wpływem którego pewne fakty ukazywały się Władysławowi w nowym zupełnie świetle.

Na jednym z czwartkowych zebrań, gdy Wilski rozmawiał z bankierową o swem studenckiem życiu, zbliżył się do nich pewien nowiniarz i opowiedział, że jakaś dama uciekła z kochankiem.

— Kobiety dla miłości wiele robią! — zakończył dowcipniś z uśmiechem.

Pani Welt surowo spojrzała na niego, a gdy odszedł, rzekła do Władysława swym spokojnym i przejmującym głosem:

— Tak, kobiety dla miłości wiele robią, lecz mężczyźni nie umieją tego ocenić!

To powiedzawszy, wstała i nie patrząc na Wilskiego przeszła do innej grupy.

Innym razem, gdy rozwijał przed nią plan towarzystwa budowlanego, przerwała mu nagle — mówiąc:

— Czy pan z kobietami zawsze rozmawiasz tylko o inżynierii?

— To zależy — odparł — z niektórymi mówię o sztukach pięknych, co zresztą jest bardzo nudne.

— Ach, tak! — odpowiedziała. — Mów pan zresztą cokolwiek.

Przymknęła oczy, oparła głowę na fotelu i z wyrazem spokojnego zachwyty na twarzy słuchała o potrzebie asfaltowania fundamentów, o kranach wodociągowych i gazie w mieszkaniach, a nadewszystko o żelaznym belkowaniu.

Wilski był w dziwnej pozycji. Miał narzeczona, którą kochał i znał kobietę, do której ciągnęły go instynkty. Gdy rozmawiał z panią Welt, czuł, że mu w żyłach płynie coś nakszałt roztopionego ołowiu; lecz wrażenie to nigdy nie trwało przez czas dłuższy.

Niekiedy, ośmielony jej spojrzeniami, postanawiał wspomnieć coś o miłości. Przy najlżejszej jednak wzmiance tego rodzaju, wzrok bankierowej stawał się chłodny, a na ustach zarysował się wyraz pogardliwy i niechętny. Przechodził wówczas do kwestyi obojętnych i znowu wszystko było dobrze.

Z doczątku Wilski głowo tracił wobec tej zagadki, z czasem jednak oswoił się z nią i myślał:

— Jaka szkoda — że ta kobieta jest tak chłodna i myśli tylko o kwestyach finansowych i technicznych. Gdyby nie to, ludzie waryowaliby z jej przyczyny, a najpierwej sam mąż!...

I o niej to powiedział Grodzki, że szalała za Władysławem!

— To być nie może! — mruknął Wilski, otrząsając się z marzeń i powstając z szesłaga. Pani Welt jest kobietą z marmuru i... banknotów...

— A jednak kochała cię — szeptał głos. Głupstwo! — odparł z uśmiechem Władysław.

Kochała mnie a przecież jej mąż nie daje mi teraz żadnego zajęcia.

— Od jak dawna? — spytał głos.

— Od... dnia ślubu mego — odpowiedział Władysław.

— A zarazem od dnia, w którym pani Welt dowiedziawszy się o twym ślubie, ciężko zachorowała... dorzucił głos.

Zimny pot wystąpił na czoło Wilskiemu. Podeszedł do okna i przysłuchiwał się padającemu deszczowi.

Wtedy ktoś zbliżył się do niego na palcach, otoczył mu rękoma szyję, przycisnął wilgotne usta do jego ust spieczonych i rzekł nieśmiało i cicho:

— Ale ty jej nie kochasz?... Wilski oprzytomniał.

— Ciebie tylko kocham, Heluniu, ciebie i... pracę!...

— Ale mnie troszeczkę więcej, — taką małą troszeczkę?...

— Taką dużą!... — odpowiedział mąż ze śmiechem.
Mary pierzchły.

IV.

UŚMIECH SZCZĘŚCIA.

Był już początek kwietnia; śniegi znikły, a po ulicach przewiewał wiatr wiosenny. "Wróciwszy pewnego dnia z miasta, Władysław przyniósł żonie kilka listków trawy, zawiadomił ją o tem, że widziano skowronki w polu i że dziś siada do obstalunków Grodzkiego.

Do tej pory nie zajmował się niemi, miał bowiem od jednego z inżynierów miejscowych pilną robotę, nad którą kilkanaście dni i kilka nocy przepędził.

Jakoż rozpiął papier na rajsbrocie i zatemperował ołówki.

— Wiesz, Władziu — odezwała się Helenka, — że nie długo wyjmiemy okna podwójne? Ale prawda! przeszkadzam ci..., Już nic nie będę mówiła. Może ci tusz rozetrzeć?

W tej chwili wszedł do przedpokoju jakiś człowiek.

— A co to? — zapytała Helenka.

— Telegram z Krakowa do pana Władysława Wiłskiego. Proszę o pokwitowanie.

— Z Krakowa?... — rzekł nieco zdziwiony Władysław, odbierając kopertę. Daj mu tam dziesięć groszy, Heluniu.

Gdy otworzył depeszę, zdziwił się jeszcze bardziej, przeczytawszy co następuje:

"Wierny sługa ś. p. Edwarda winszuje. Pogrzeb wczoraj. Czeka na rozkazy — Kłopotowicz. "

— Co to jest? — zapytała Helenka.

— Nie rozumiem! — odparł Wilski. Przypuszczam tylko, że mój stryj umarł i że jego plenipotent zwaryował.

— Twój stryj umarł, ten bogacz?... Może ci co. zapisał?...

Władysław machnął ręką z uśmiechem.

— To się po nim nie pokaże! W ciągu całego życia dał mi trzydzieści rubli i wąpnię, aby był po śmierci hojniejszy.

— W każdym razie coś w tem jest — rzekła Helenka.

— Co ma być! — odpowiedział Władysław i usiadł do roboty.

W kwadrans potem Helenka odezwała się znowu:

— Żeby ci tak choć z dziesięć tysięcy zapisał?..

— Nie bój się, nie zapisze.

— No, pocałuj żonę.

Władysław polecenie najsumienniej wykonał, lecz roboty nie porzucił.

W godzinę przyszedł drugi telegram tej treści: "Hrabia P. daje za willę nad Renern pięćdziesiąt tysięcy reńskich. Nieboszczyk zapłacił trzydzieści tysięcy. Czeka tygodni. — Adwokat X.

— Poszaleli widocznie! — mruknął Władysław, rzucając depeszę na ziemię.

— Ależ, kochany Władziu, w tem coś jest — mówiła wzruszona Helenka. Widocznie stryj musiał ci tę willę zapisać...

— Dzieciństwo! całe życie usuwał się odemnie...

— W każdym jednak razie trzeba coś robić.

— Ja też robię rysunki dla Grodzkiego. W tej chwili przyszedł trzeci telegram:

"Kraków, dnia... Władysław Wilski, inżynier-mechanik w Warszawie. Zmarły Edward Wilski zapisał panu sto tysięcy reńskich gotówką, pięćkroć w nieruchomościach. Testament u mnie. Pogrzeb wczoraj. Czeka na polecenia. — Adwokat Y. "

— Czy to być może, Władziu?... — krzyknęła Helenka, klaszcząc w ręce.

W pokoju stał woźny z telegrafu.

— Winszuję jaśnie wielmożnemu panu dobrej nowiny! — rzekł.

Władysław dał mu złotówkę. Woźny wyszedł, skrobiąc się w głowę i mrucząc.

— Władziu! — zawołała znowu Helenka — ty musisz iść...

— Dokąd?

— Czy ja wiem dokąd?... chyba do telegrafu.

— Po co?

— Czy ja wiem po co?... O, Boże! jakież to szczęście!...

Wyszła do swego pokoiku i klękała przed obrazem. W tej chwili jednak zerwała się, wybiegła do kuchni i uściskała zdziwioną i uradowaną Mateuszową. Potem znowu uklękała i zmówiła pacierz.

Wróciwszy do pracowni zastała męża rysującego.

— Ależ daj pokój Władziu! — zawołała. — Czy może być, aby to ciebie nie obeszło?...

Doprawdy, że ja się ciebie boję!... Ile to na nasze pieniądze wyniesie?

— Prawie pół miliona rubli — odpowiedział spokojnie Wilski.

— I ty się nie cieszysz nic?.. Nic, ale to zupełnie nic?...

— Władysław położył ołówek, wziął żonę za rękę i topiąc w niej wzrok poważny, rzekł:

— Powiedz mi, Heluniu, czy od tych kilkunastu minut przybyło mi sił, zdrowia, rozumu, uczciwości?... Prawda, że nie!.. A przecież to są największe skarby.

— Zawsze jednak pół miliona...

— Jesteśmy tylko kasyerami, w rzeczywistości bowiem pieniądze te nie do nas należą. Powiedz sama, czy potrafimy je przejeść, przepić lub wydać na zabawy, a zresztą czyby to było uczciwie?...

Helenka uwiesiła mu się na szyi i okryła pocałunkami.

— O, mój mężu! — zawołała. — Nie rozumiem cię, ale widzę, żeś zupełnie inny niż wszyscy ludzie.

Nie długo potem, jakby nic nigdy nie zaszło, zmieniła kanarkowi wodę, dosypała siemienia i wzięła się do szycia koszul męzkowskich.

— To płótno — myślała — jest tak grube jak było pierwej. Dobrze mówi Władzio, że majątek nic nie zmienia

Była już zupełnie spokojną.

Wilski tymczasem wciąż rysował. Gdy zapadł zmrok począł chodzić w milczeniu po swej pracowni, potem zapalił światło i zbliżył się znowu do rajzbretu.

Teraz dostrzegł, że zrobił w planie ważną omyłkę. Rozdarł go więc i na skrawku papieru zaczął pisać jakieś proporcje i cyfry pojedyncze, z których ostatnią była: 25. 000.

— Dwadzieścia pięć tysięcy! — szepnął — to znaczy przeszło sześćdziesiąt rubli dziennie bez pracy i kłopotów!...

W czym by to umieścić? — mówił dalej. — Papiery ciągle zmieniają wartość, a przy tem pożar... złodzieje!... Banki?... Któryż bank daje bezwzględną pewność ru!... Domy?... A wojna i bombardowanie?...

"Prawdziwe szczęście — przypomniał mu Epiktet, trwa wiecznie i nie może być zniszczone. Wszystko co nie posiada tych dwu własności nie jest prawdziwym szczęściem. "

Wilski słyszał echo tych wyrazów w swej duszy, lecz nie rozumiał ich. Czuł, że w tej chwili pewne zdania są dla niego tylko pustym dźwiękiem i że ich treść pierzchła wraz z ubóstwem. Natomiast z głębin umysłu jego wynurzyły się inne zdania, dziwnym jakimś, nieznanym mu dotychczas opromienione blaskiem:

"Najwyższa zręczność — mówił La Rochefoucault. polega na tem, aby dokładnie znać

prawdziwą wartość rzeczy. "

— To pewna — szepnął Wilski — że nie znam dotychczas wartości dwudziestu pięciu tysięcy rocznego dochodu.

Było już późno. Znużona Helenka ostrożnie uchyliła drzwi.

— Ty jeszcze pracujesz, Władziu?

— Tak! — odpowiedział, nie podnosząc głowy.

— Dobranoc ci! takie masz gorące czoło.

— Jak zwykle.

— Mógłbyś dziś wcześniej się położyć, masz już przecie majątek... Dobranoc!

Omyliła się. Miliony odbierają sen.

Teraz przyszedł Władysławowi na myśl Grodzki. Wspomnienie inżyniera spotęgowało rumieńce na jego twarzy.

— Dobry chłopak — rzekł — ale strasznie szorstki. Z kolei myślał o fabryce płótna, o swojej starej ciotce, biednym rękawiczniku, który mu jakiś czas darmo obiady dawał, o ludziach niemających roboty, o projektach obrachowanych na ogólny pożytek i niewymowna gorycz napelniła mu serce. Przypomniał też sobie pewnego staruszka w piaskowym surducie, znakomitego filozofa i pesymistę, z którym się poznał w Paryżu. I przed nim Władysław często rozwijał swoje ogromne plany. Starzec słuchał go zawsze z pobłażliwym uśmiechem i w konkluzji rzekł:

— Wielkie idee, oprócz wielu złych mają jedną dobrą stronę. Oto: stanowią pewien rodzaj umysłowej wizykatoryi dla ludzi młodych i zdolnych, lecz ubogich!...

— Tak! — szepnął Władysław. — Majątek mój jest za duży na to, aby go oknem wyrzucić, a za mały na uszczęśliwienie świata. Gdybym go rozdzielił tylko między swoich współobywateli, na każdego z nich wypadłoby nie całe trzynaście groszy!...

Ostatnia ta uwaga zapieczętowała szereg medytacyj. Wilski wstał z krzesła i przeszedł się po pokoju, jak człowiek, który już wie, co mu robić wypada.

"Cnoty toną w interesie, jak rzeki w morzu, " — powiedział La Rochefoucault. Miał rację.

Władysławowi głowa pałała, pulsa biły jak młoty. Otworzył lufcik i odetchnął głęboko. Na dworze była noc i cisza, w jego pokoju dogorywała lampa.

Gdy odwrócił głowę, zdawało mu się, że wśród pomroki niknie przeciwległa ściana pracowni, odsłaniając przed jego oczyma wykwintny buduar, pełen bogatych sprzętów i upajającej woni. Na fotelu pokrytym ciemno-zielonym aksamitem, siedziała a raczej leżała kobieta z głową odrzuconą w tył, z przymkniętymi oczyma i wyrazem zachwyty na śniadej twarzy.

— Mów cokolwiek! — szeptało widmo. — Niech usłyszę głos twój...

— Ach! ach! — rozległ się jęk w pokoju Helenki.

Wilski wybiegł tam.

— Co ci jest, Heluniu?... — zawołał.

— To ty, Władziu?... Nic... śniło mi się coś, zresztą nie wiem...

— Może nasze miliony? — spytał z uśmiechem. Nie odpowiedziała nic i zasnęła znowu.

PIERWSZE KROKI.

Szatan i obłąd panują zawsze w nocy; dzień jest ojcem zdrowego sądu. Wilski z rana wstydzi! się wczorajszych przywidzeń i myślał spokojnie o obowiązkach, których nikt wprawdzie nie mógł mu narzucić, lecz które tkwiły w jego duszy.

Głos rozsądku i sumienia przypominał mu ludzi, od których doświadczył dobrodziejstw i projekty, które obecnie mógł wykonać. Wstał trzeźwy, ubrał się szybko, i wyszedł do biura telegraficznego, aby donieść o swój fortunie Grodzkiemu i wezwać go na współnika.

Do czego na współnika jeszcze nie wiedział.

W połowie drogi na ulicy usłyszał, że go ktoś woła. Obejrzał się i zobaczył karete, z której wysiadał Welt.

— Szedłeś pan do mnie! — rzekł bankier tonem niezachwianej pewności. — Winszuję! Podobne wypadki trafiają się nader rzadko.

— O czym pan mówisz?

— Rozumie się, że o pańskich milionach. Ja wiem wszystko! Traf cudowny! Kasa moja jest na pańskie usługi i dziś nawet moge panu ofiarować sto tysięcy na ośm procent. Nigdzie pan taniej nie dostaniesz.

Oszołomiony Władysław milczał.

— Naturalnie, zgadzasz się pan — mówił dalej Welt. Siądźmy do mojej karety... Musisz się pan uekwipować przyzwoicie. Zaraz panu odliczę pieniądze, a w wolnym czasie pogadamy o pańskim projekcie towarzystwa budowlanego, które mnie zachwyca! Stangret zawróć! Jechałem właśnie do pana. Trzeba służyć społeczeństwu w miarę środków, panie Wilski, to moja zasada. Musimy mieć towarzystwo budowlane!

Gdy stanęli na miejscu bankier rzekł:

— Każę przygotować rewers, a tymczasem racz pan wstąpić do mojej Amelci.

Wilski machinalnie poszedł na górę i za chwilę już był w salonie.

Czekał minutę... dwie... W połowie trzeciej ukazała się bankierowa.

Była bardzo blada i podając Władysławowi rękę, zmienionym głosem rzekła:

— Dawnośmy się nie widzieli!... Na twarz jej wybiegł rumieniec.

Nastąpiło chwilowe milczenie, które znowu przerwała pani Welt.

— Dziś dowiedziałam się o pańskim... nie wiem jak nazwać?... Ludzie nazywają to szczęściem. Jeżeli istotnie szczęście, w takim razie szczerze... serdecznie panu winszuję!

Wilski pocałował ją w rękę. Była gorąca jak ogień, lecz sztywna.

Potem mówili o rzeczach obojętnych, początkowo z pewnego rodzaju przymusem, następnie śmielej. Nagle usłyszeli na schodach głos Welta.

Pani Amelia zmieniła przedmiot rozmowy i zapytała prędko:

— Wszak wyjeżdżasz pan do Krakowa?

— Zapewne...

— Kiedyż?...

— Jeszcze dokładnie nie wiem.

— Ja chciałabym także wyjechać.

— Kiedy? — spytał znowu Wilski, czując, że mu serce bić przestaje.

Pani Amelia zawahała się.

— To jeszcze nie jest pewne — rzekła. Bankier wstępował na schody.

— W piątek wieczór... — dodała szybko stłumionym głosem.

Welt wszedł do salonu; porozmawiali chwilę razem, poczem zabrał Wilskiego do swej kancelaryi. Tam przez dobrą godzinę liczyli pieniądze, a wreszcie pożegnali się bardzo serdecznie.

— Ja, panie — rzekł bankier w końcu — jestem człowiekiem, którego do rany przyłożyć można. Ja dla projektów pańskich miałem zawsze wielką sympatyę, i gdyby nie... No, pan wiesz, jak kobiety bywają ostrożne!... Sądzę także, że nie pogniewasz się pan na Amelcie, jeżeli powiem, że ona nam najwięcej przeszkadzała w porozumieniu się. Ale wczoraj zwyciężyłem ją stanowczo! Pan jesteś człowiek pomysłowy i szczęśliwy, a to w interesach dużo znaczy...

Gdy Władysław był już we drzwiach, Welt zawołał:

— Ale!... ale!... Wiesz pan co?... Mówmy sobie ty! Między przyjaciółmi i wspólnikami nie powinno być ceremonii. To moja zasada, Władziu!

Wróciwszy do domu, Wilski zastał już kilka biletów wizytowych od przyjaciół, którzy go wczoraj jeszcze nie znali i kilka próśb od osób ubogich, które cudem chyba dowiedziały się o jego fortunie.

— Oto jest natura ludzka! — rzekł ze śmiechem.

— W każdym jednak razie wesprzesz Władziu, tych biedaków. Któż wie czy i oni już oddawna ostatniego rubla nie wydali? — odpowiedziała Helenka.

Władysław obiecał ich wesprzeć, śmiejąc się, opowiedział żonie o serdeczności "Welta, pokazał jej pieniądze i zawiadomił, że w piątek wieczór wyjechać musi do Krakowa.

— To pojutrze! — szepnęła Helenka, blednąc. Tak mi będzie smutno...

Uścisnął ją i już niż więcej nie mówili o podróży.

Następnego dnia powiedział jej o wynajęciu nowego mieszkania.

— Wziąłem na Krakowskim pięć pokoi, przedpokój i kuchnię za ośmset rubli...

— Tak nam tu dobrze było! — odpowiedziała Helenka. O!... już na nowem mieszkaniu nie spotka nas szczęście...

— Prócz tego — mówił mąż — będziemy mieli eleganckie meble, lokaja, pokojówkę i dobrą kucharkę.

— A cóż się stanie z Mateuszową?...

— Ach! prawda... Zresztą, pomyślemy o niej jeszcze.

Nadszedł dzień wyjazdu, wietrzny, pochmurny i słotny. Wilski był zadumany. Helenka wzdychała.

Oboje nie tknęli obiadu i z niepokojem oczekiwali wieczora.

Około ósmej Helenka rzekła:

— Odprawdę cię na kolej, dobrze?...

— Daj pokój, aniołku, możesz się zaziębić. O dziewiątej na podwórze zajechał powóz. Władysław powoli włożył palety i torbę podróżną. W pokoju śmiertelne panowało milczenie...

— Za parę tygodni wrócę... — rzekł stłumionym głosem.

— Wrócisz?... — szepnęła Helenka, opierając głowę na jego piersiach.

W tej chwili jakiś szorstki przedmiot dotknął ręki Wilskiego. To stara Mateuszowa całowała go.

Wybiegł śpiesznie za drzwi, lecz w połowie schodów zatrzymał się. Zdawało mu się, że go ktoś obejmuje za nogi.

Chwilę pomyślał i wrócił na górę głęboko wzruszony. Stojąca w przedpokoju Helenka upadła mu na szyję i rzewnie płakała.

— O, nie zapomnij o mnie! — mówiła, łkając. Powtórnie wyszedł, a tym razem wybiegła za nim Helenka,

— Władziu!

— Co każeś?

Znowu uwiesiła mu się na szyi, ścisnęła go namiętnie i szeptała:

— Nie zapomnisz?... wrócisz?...

Siedząc w powozie podniósł jeszcze oczy do góry i w oknie drugiego piotra zobaczył uchyloną roletę i jakiś cień.

Powóz wyjechał z podwórza.

— O, nie zapomnij o mnie....

Mgła zawisała nad ulicami, latarnie rzucały czerwony blask, dokoła rozlegały się kroki przechodniów i turkot wozów.

— Nie zapomnisz... wrócisz!... - szeptało echo,

* * *

Wilski dojechał do dworca wzruszony i rozdrażniony. Oddał pakunki tragarzowi i pobiegł wprost do salonu pierwszej klasy.

Zastał tam kilkanaście osób, same twarze obce. To uspokoiło go. Odetchnął jak człowiek, którego minęło niebezpieczeństwo i jeszcze raz pożegnał w myśli Helenkę.

W tej chwili usłyszał głos wchodzącego Welta.

— Cudownie!... więc i ty wyjeżdżasz?

— Jak widzisz.

— Wyobraź sobie, że i Amelcia jedzie. Wysyłam ją do Krakowa w pewnym interesie, który wymaga... no wiesz czego?... Tego tylko co ona ma.

Pani Welt była milcząca i nie w humorze.

Wilski wyszedł po bilet. Gdy wrócił, rzekł bankier ze śmiechem:

— Patrz co to są kobiety! Onegdaj zdecydowała się jechać, dziś grymasiła, a w tej chwili powiada, że się boi zaziębnienia, i że chętnie zostałyby do jutra.

— Może to i słusznie — odparł Wilski chłodno. Szkoda, żeś mnie nie zapoznał z interesem, byłbym ci go załatwił.

— Gdzież znowu! Ty masz głowę zaprzątniętą milionami, a tu sprawa pilna i wymaga zimnej krwi. Nie, to tylko ona dobrze załatwi!

Zadzwoniono i podróżni poczęli zajmować miejsca. Nagle Władysławowi uderzyła fala krwi do głowy: ujrzał on między fałdami powłóczystej sukni — kształtną i drobną nóżkę bankierowej...

Ma ten widok zapomniał o żonie, o wzruszeniu i o niesmaku, jakiego doznał przed chwilą.

— Siadajże, Władysławie! — krzyknął bankier. Rozległy się okrzyki pożegnania, pociąg ruszył, lecz Władysław nie uważał tego. Nie mógł tchu złapać.

— Oryginalna pozycja! — odezwała się nagle pani Welt. W tej chwili widziałam Swięgotnickiego i jestem pewna, że jutro w całej Warszawie mówić będą, że uciekła z panem, w asystencji i za upoważnieniem męża — i cóż nam to szkodzi? — spytał Wilski, topiąc w niej pałające spojrzenie.

— Panu nie wiele, mnie więcej! — odparła poważnie.

W każdym razie fakt już się stał i cokolwiek...

Nie dokończył, ujrawszy wzrok Amelii. Zarazem jednak teraz dopiero zauważył, że byli sami.

Nastało długie milczenie, w ciągu którego bankierowa obojętnie wyglądała przez okno, a Wilski... resztę przytomności utracił.

Nagle, tuż przy nogach pani Welt. upadła mu rękawiczka. Gdy się schylił, aby ją podnieść, uczył, że rękaw jego paletota obtarł się zlekka o jej bucik.

Teraz zdało mu się, że w ciele zamiast mięśni ma rozgrzane stalowe sprężyny, że mu piersi pękają, lub że go własny oddech spali. Podniósł oczy na Amelię i pomyślał, że gdyby między nią i nim ustawiono mur bagnetów, rozbiłby go jak kępę trzciny.

— Spodziewam się, że mnie pan zapoznasz ze swoją żoną?... Będę panu bardzo wdzięczna!.. — rzekła bankierowa głosem, który jak ostrze noża przeszył mu serce.

W milczeniu i gorączce czekał do rana. Gdy pociąg stanął na granicy. Wilski posłał telegram do żony.

VI.

PIEKIELNA DRABINA.

W Krakowie Władysław rozszedł się z bankierową prawie na chłodno, a następnie zajęty interesami kilka dni jej nie widział, W ciągu tego czasu zapoznał się bliżej ze stanem swego majątku, odebrał od Helenki parę listów pełnych tęsknoty i wezwań do przyjazdu i przypomniał też sobie dawnych znajomych, ludzi po większej części ubogich, dla których postanowił coś zrobić.

W końcu pierwszego tygodnia odebrał list z Warszawy i bilet z Krakowa. Poznał pismo na obu i wziął się do pierwszego.

List z Warszawy pisał ubogi student, który u Wilskich bywał na obiadach co czwartek. Młody człowiek w prostych lecz serdecznych wyrazach powinszował Władysławowi spadku i wyraził żal z tego powodu, że nie mógł go przed wyjazdem osobiście pożegnać.

— Biedaczysko! — rzekł Władysław. — Spróbuję też posłać mu pieniądze. Wiem, że się nie obrazi, gdy z nim szczerze choć listownie pogadam.

Następnie otworzył bilet, który zawierał te słowa:

"Nigdy nie spodziewałam się, abyś pan mógł skazać swoją współ-rodaczkę na śmierć z nudów. Czekam dziś z herbatą. *A bientôt.* — *A. Welt.* "

Wilski ruszył ramionami. Ponieważ zaś było dosyć wcześnie, wyszedł więc do miasta.

Błądząc machinalnie po ulicach, dostrzegł na jednej z nich sklep szewcki z wystawą, a na niej, między obfitą kolekcją różno-kolorowego obuwia — mały, czarny, węgierski butik.

Postał tu chwilę i znowu zaczął błądzić. Na twarz wystąpiły mu ciemne rumieńce, a umysł opanowały pomieszane marzenia.

I widział się w Warszawie w ciasnej izdebce na poddaszu. Pokój był zimny a on zrozpaczony i głodny.

Nagłą uchyliły się drzwi i stanął w nich jakiś człowiek niski, pękaty i uśmiechnięty z czapką w rękę. Był to sąsiad jego z poddasza, ubogi rękawicznik.

— Co pan każe? — spytał go Władysław.

— Ja nie każę, ja prosić przyszedłem — odparł gość.

— Panie! — mówił dalej — co tu między nami w bawełnę owijać. Niech mi pan zrobi jedną łaskę...

— Jaką, panie?

— Niech pan pozwoli u siebie w piecu zapalić i obiad sobie przysyłać!

— Ależ....

— Już wiem co pan powie — przerwał rękawicznik — ale to się na nic nie zda. Pan jesteś młody, uczony, możesz jeszcze mieć stanowisko na świecie i jeżeli nie mnie to dzieciom moim oddasz te obiady z procentem... No, panie!... bo nie odejdę stąd.

I z temi słowy zacny człowiek wyciągnął do Wilskiego rękę. Biedacy uściskali się i nastąpiła zgoda.

W tej chwili między tym obrazem z przeszłości, a bogaczem terażniejszości, stanęło widmo czarnego, węgierskiego bucika. Władysław ocknął się i poszedł do bankierowej.

Zastał ją w salonie z bukietem róż. Uśmiechnęła się i podając mu rękę, rzekła tonem łagodnej wymówki:

— Nie powinnam się witać z panem!

— Tłumaczą mnie zajęcia — odparł Wilski.

— Ale wytłumacz pan wtedy dopiero, jeżeli dzisiejszy wieczór mnie poświęcis. Bywam niekiedy dziwnie zmęczona, a gdybym wówczas me zobaczyła twarzy sympatycznej i nie usłyszała głosu...

... Czy ja wiem co bym zrobiła?!...

Wilski słuchał jej zdumiony i rozmarzony...

Cały wieczór mówili o kwiatach, o wiośnie i okolicach górskich, jak student z pensyonarka, półgłosem, jak w pokoju chorego.

Około jedenastej, Władysław, zabierając się już do odejścia, rzekł:

— Czy dasz mi patii jeden z tych kwiatów?

— Na co?...

— Na pamiątkę dnia dzisiejszego.

— To prawda — odparła — że wżyciu mało jest dni podobnych. A potem, urywając różo, dodała:

— Weź ją pan jako symbol naszej przyjaźni. Oczy jej były wilgotne.

Władysław wrócił do domu jak pijany, nie wiedząc co myśleć i w co wierzyć. Gdy upadł na łóżko, drżał, jak w febrze i usnął w gorączce, mrużąc przez zaciśnięte zęby:

— Bądź co bądź ona mnie kocha!... Byłbym bydlęciem, gdybym odpychał to szczęście, lub rujnował je niecierpliwością...

Na drugi dzień został przez panią Welt zaproszony na obiad. Przed wyjściem przypomniał sobie ubożego studenta i posłał mu pieniądze wraz z krótkim listem, który podług niego był bardzo przyjacielski, w istocie zaś wskazywał oziębłość i roztargnienie.

Od tej pory los jego był już zdecydowany. Do żony pisywał listy coraz rzadziej, donosząc jej o powikłaniu interesów, u bankierowej zaś bywał coraz częściej i dłużej. Wierny jednak zasadzie cierpliwości, zadawał się rozmową, uściskiem ręki i spojrzeniami, które codzień stawały się bardziej rozmarzone i namiętne.

Niekiedy zdawało mu się, że nowicjat jego trwa zbyt długo. Wówczas próbował być śmielszym, lecz pani Welt jednocześnie stawała się ozięblejszą. Władysław szalał. Bywały chwile, że chciał wracać do Warszawy, lecz postanowienia jego prędko słabły i mówił:

— Jeszcze jeden dzień... ostatni!...

Była już połowa maja. Bankier nagiął żonę do powrotu i pani Amelia coraz częściej poczęła o tem wspominać.

— Jeszcze jeden dzień tylko!... — prosił Wilski.

— Masz pan rację — odpowiedziała i znowu zostawali.

Interesy były już ukończone, dobra po nieboszczyku sprzedane, gotówka w rękach Władysława, ale on o to nie dbał, dla niego cały świat skupiał się w gabinecie bankierowej, a całe życie streszczało się w tej jednej myśli:

— Jeszcze jeden dzień!..

Milionowy spadek był złotą nicią, po której do duszy jego wkradła się straszna choroba. Wiedziało niej, rozumiał, że się z niej uleczyć potrzeba i czuł, że się uleczy, ale kiedy?...

Przekłete szczęście!

Pewnego dnia odebrał dwa listy z Warszawy. Jeden był z pieniędzmi pochodził od ubożego studenta. Młodzieniec zwracał przysłane banknoty i w słowach pełnych szacunku, ale też i wielkiego żalu, dał mu poznać, że nie prosił o jałmużnę i że jej nie przejmuje.

— Źle się stało — szepnął zmartwiony Władysław — lecz spróbujemy to odrobić.

Przekłete szczęście!

Drugi list był od żony.

Helenka donosiła, że złożyli jej wizytę bogaci krewni, których znała w dzieciństwie. Państwo ci gwałtem zapraszali ją na wieś, dodając, że ponieważ sami wyjeżdżają za granicę, ofiarują jej więc cały dom. Tak byli pewni, że ofiary ich nie odrzuci, iż zostawili w Warszawie swój powóz i służącego.

W dopisku ostrożnie nadmieniła, że i lekarze kazali jej na wieś wyjechać.

O powrocie jednak Władysława nie było żadnej wzmianki. On przecież uwagi na to nie zwrócił i nic dziwnego! Nie był Duchem Świętym, aby wiedzieć co w Warszawie mówki o jego stosunkach z bankierową.

Mimo to list ten przeraził Wilskiego.

— Helenka widocznie jest chora — myślał. — Może to co groźnego?... Muszę wracać.

Wieczorem, jak zwykle, poszedł do pani Welt. a gdy od niej wrócił, napisał list do żony. Prosił ją, aby koniecznie na wieś wyjechała i doniósł, że wkrótce sam do niej przyjedzie.

Nim zasnął, zdawało mu się, że widzi żonę swoją bladą i smutną, która z ogromnej odległości wyciąga do niego rączki szczupłe i jak alabaster przejrzyste.

— Ty wrócisz?... — mówiło echo.

— Jeżeli zobaczę Helenkę, wyrzeknę się Amelii, szepnął, a potem dodał:

— Zrobiłbym wielkie głupstwo! Obudziwszy się wysłał list, a w parę dni potem odebrał telegram, że Helenka już wyjechała na wieś.

Pobiegł do pani Welt i wesoło zawołał:

— Wracajmy!

— Czas już wielki — odpowiedziała.

I wrócili znowu razem i znowu na dawnej stopie.

— Jeszcze jeden dzień!... — myślał Władysław. Przekłęte szczęście!...

VII.

OSTATNIE SZCZEBLE.

W końcu czerwca, Welt wyjechał za granicę, zostawiając majątek pod opieką żony, a żonę pod opieką przyjaciela. Miasto trzęsło się od plotek, o których osoby interesowane, jak zwykle, najmniej wiedziały.

Helenka pisywała do męża nie wiele i rzadko. Gdyby uważniej czytywał jej listy, uleczyłby się może prędzej. Na nieszczęście nie był teraz zdolnym do tego. Płynęły miesiące, a on szalał i mizerniał, zaniedbując wszystko i wszystkich.

Pani Welt dostrzegła to i gdy raz byli sami, rzekła:

— Wyglądasz pan dziś bardzo interesująco.

— Czy nie domyślasz się pani powodu? — zapytał stłumionym głosem.

— Mój Boże! znam się wprawdzie trochę na finansowości, ale o medycynie nie mam pojęcia — odpowiedziała, patrząc na brylant swego pierścionka.

— W tym razie wystarcza znajomość najpospolitszych uczuć ludzkich!... — rzekł, przysuwając do niej krzeselko.

— Najpospolitsze uczucia ludzkie, nie zasługują na to, aby się nimi zajmować — odparła, wyniośle.

Wilski zerwał się z krzesła i w najwyższym wzburzeniu zawołał:

— Czuję, że powinienem uciec od pani!...

— A ja czuję, że powinieneś pan zostać! — szepnęła, patrząc mu figlarnie w oczy.

Władysław usiadł znowu i wziął ją za rękę.

W tej samej chwili jednak ktoś zadzwonił i wszedł do salonu.

W końcu sierpnia, kiedy miłosne uniesienia Władysława dosięgły zenitu, odebrał on od Grodzkiego z Londynu telegram tej treści:

"Z modelami zrobiłeś mi przykry zawód. Odeślij przynajmniej notatkę, którą ci zostawiłem."

Depesza ta rozgniewała Wilskiego, bez namysłu więc odpisał:

"Zwracam pieniądze, notatka gdzieś zginęła."

Na to nie odebrał już odpowiedzi.

Większą część dnia przesiadywał u bankierowej. Gdy była z nim pożerał ją wzrokiem, gdy wyszła myślał o niej, lub z rozkosznym niepokojem przysłuchiwał się szelestowi jej sukni.

Pewnego dnia, w czasie jej nieobecności, ukląkł i ucałował miejsce na dywanie, które zazwyczaj dotykały jej stopy.

Począł miewać widzenia na jawie coraz częstsze, a niekiedy symboliczne. Raz, zdawało mu się, że na skrzydłach z listów zastawnych wleciał na szczyt wysokiej skały, z której zaraz potem spadł w przepaść.

Innego dnia, jakoś we wrześniu, wracając do swego mieszkania, spotkał na schodach dawna znajomość. Był to ów litościwy sąsiad z poddasza, rękawicznik, strasznie wynędzniały i ubogo ubrany.

— Ach! to pan?... — rzekł Władysław, otwierając drzwi.

— A ja! Przyszedłem... Przyszedłem dowiedzieć się o zdrowiu jaśnie pana — odparł biedak, zdejmując czapkę.

— Dziękuję! Tak, mam się nie źle! — rzekł Wilski i zamknął drzwi za sobą.

W kilka godzin później pomyślał, że niegdyś karmiciel jego musi być w ciężkiej potrzebie.

Zaprzagnął dowiedzieć się o jego mieszkaniu i w tym celu zadzwonił na służącego. Wyciągnął nawet rękę, ale że dzwonek stał na drugim końcu biurka, dał więc pokój.

Nie było to znużenie ciała, ale coś nakształt psucia się duszy. Piorun orzeźwiłby go niewątpliwie. Miewał też chwile opamiętania. W jednej z takich chwil rzekł do siebie:

— Trzeba raz skończyć!...

Postanowienie to musiało być bardzo poważne, Wilski bowiem orzeźwił się po niem i z wyrazem stanowczości w fizyognomii, poszedł do bankierowej.

Zastał ją w karecie; wyjeżdżała właśnie do botanicznego ogrodu. Otrzymawszy zezwolenie, usiadł obok niej i pojechali razem.

Gdy byli w ogrodzie, Amelia rzekła:

— Patrz pan jak już liście więdną!

— Liście więdną, serca więdną... Tylko kiedy dla pierwszych wiosna powtarza się co rok, dla drugich jedna jest tylko wiosna i jedna jesień.

Słowa to były prorocze, on jednak nie wiedział do kogo się odnosiły.

Zajęli ławkę na małym wzgórzu, skąd cudny roztaczał się widok.

— Tu — mówiła Amelia — gnieźdzą się w maju roje słowików. Często siadałam tu i przysłuchiwałam się ich śpiewom. Ale teraz już odleciały...

Wilski oparł rękę na kolanie, głowę na rękę i milcząc, patrzył w ziemię.

— Uważam, że jesteś pan jakiś nie swój?

— Masz pani rację! — odparł, podnosząc głowę. nie jestem swój, ale...

— Ale?

— Ale... twój!...

Wziął ją za rękę; uścisnęła go lekko i patrzyła mu w oczy dobrotliwie.

Uczuł gwałtowne bicie serca, szum w uszach i... przyciągnął ją do siebie. Nie broniła się.

Wtedy otoczył ją ramieniem i przysunął swoją pałającą twarz do jej twarzy.

— Nareszcie!... — szepnął.

— Panie! — zawołała błagalnym głosem. — Zaklinam cię, wyjdźmy stąd...

Powstał już inny. Czuł siły i pewność siebie, o których od dawna zapomniał. Podał Amelii rękę, przyjęła i szła niepewnym krokiem.

Gdy siedli do karety, osunęła się w głąb i przymknęła oczy.

Konie pędziły jak wiatr, a w kilka minut potem byli już w domu.

Wbiegła prędko na schody i weszła do buduaru, a Wilski obok niej. Gdy padła na fotel, ukląkł i przypił się do jej ręki.

— Ty mnie kochasz — mówił — powiedz, że mnie kochasz. Niech choć raz dowiem się prawdy!...

W pokojach był mrok.

* * *

Wróciwszy do domu zasnął twardo i sen cofnął go o kilka miesięcy wstecz. Marzył, że się żegna z Helunią. Żona jego była dziwnie mizerna; z jej niegdyś szafirowych, a teraz pobladłych oczu płynęły łzy. Uwiesiła mu się na szyi, lekka i nieujęta jak mgła i bezdźwięcznym głosem szeptała: — Powrócisz?... ty powrócisz!

Zerwał się na równe nogi i uczuł na twarzy dwie łzy gorące. Pot zimny oblał go, ręce mu drżały.

Była dopiero czwarta rano.

Nie położył się już i sam na kominku ogień rozpał.

Siedząc przed ogniskiem, patrzył na dogorywające główne i myślał... Co myślał? Ty, Stwórco znasz niepokoje sumienia, które szarpią kły zgryzot.

Około siódmej rzekł:

Jestem już inny!...

Pewnem jest, że miliony swoje oddałby teraz za żebracze łachmany, byleby w fałdach ich znalazł spokojność.

Przekłete szczęście!

VIII.

DE PROFUNDIS.

— Tak, jestem inny! — mówił Władysław. — Gdy los zdjął ze mnie uzdę niedostatku, zawróciło mi się trochę w głowie; ale dziś wytrzeźwiałem.

Zresztą, może się i lepiej stało. Nabrałem doświadczenia, a choć straciłem trochę czasu, majątek przecież jest nietknięty!...

W tej chwili przyszła mu na myśl żona. Wyjął jej fotografię z biurka i wpatrywał się długo i rzewnie.

— Czy przebaczysz mi?...

Uśmiechnięte usta Heluni z całą łatwością wyszeptały wyraz przebaczenia, lecz niestety! uśmiech ten z innych pochodził czasów.

Wilski był wesoły jak dziecko; otworzył okno. z rozkoszą upajał się chłodnym powietrzem poranku i cieszył się widokiem złotych chmur, które wędrowały, Bóg wie skąd, może z tamtych stron gdzie Helenka mieszka obecnie?

— O, gdybym ci mógł teraz upaść do nóg, aniele mój, najczystsza duszo!.. — szepnął.

Zadzwoił, wszedł służący.

— Zamów mi ekstrapocztę na dziś wieczór, na dziewiątą — rzekł Wilski.

— Rozumiem...

— Ale. ale!... Co się stało z naszym kanarkiem?

— Zdechł, proszę jaśnie pana.

— Kup-że teraz dwa: samca i samiczkę i klatkę z gniazdem.

Służący wyszedł.

— Jerzy! — zawołał znowu Wilski, a gdy służący wrócił, dodał:

— Czy nie wiesz, co się dzieje z Mateuszową, która u nas dawniej służyła?

— Służy teraz na Piwnej ulicy; była tu nawet parę razy.

— Sprowadzisz ją do mnie i powiesz, żeby podziękowała za miejsce, bo wróci do nas.

Po chwili dodał:

— Jeszcze słowo! Gdzie mój warsztat i narzędzia ?

— Na strychu, jaśnie panie.

— Trzeba je oczyścić i ustawić w moim pokoju. Służący wyszedł, trzymając się za głowę.

— Chryste elejson! — mówił prostaczek — a to coś do niego przystąpiło?... Jeszcze i nas gotów porozpędzać.

I za chwilę podzielił się wiadomościami z kucharką i pokojówką.

Wilski tymczasem szybko ubierał się, mówiąc.

— Ucieszy się, gdy jej wszystko opowiem. O, Heluniu!... O, błogosławione miliony!...

Począł coś wesołego gwizdać, lecz nie tyle z radości, ile raczej dla przytłumienia niepokoju, który gdzieś na dnie duszy nurtował.

Gdy wyjechał do miasta, wstąpił do biura telegrafu i napisał do Grodzkiego depeszę.

"Serdecznie cię przepraszam za mimowolny zawód. Byłem chory. Przyjeżdżaj natychmiast, najlepiej odrazu z dymisją. "

Telegram ten wysłał do Londynu i Petersburga.

— Dzielnny to umysł! — mówił Władysław. Przy jego pomocy odgrzebię najpraktyczniejszy z moich planów i zacznę żyć...

... Dla ciebie, Heluniu! a przez ciebie dla innych...

Potem pojechał do uniwersytetu zasięgnąć wiadomości o ubogim studencie. Po wielu poszukiwaniach spotkał jego kolegę.

— Co się dzieje z W... ? — spytał.

— Dokładnie panu nie potrafię powiedzieć — odparł student. — Wiem tylko, że się wypisał z uniwersytetu i wyjechał na gubernerkę, gdzieś aż na Podole.

— Dlaczego się wypisał? — zawołał przerażony Władysław.

— Co pan chce! Trudno się uczyć, mając w gotowiźnie dziesięć palców.

— To pierwszy. ! — mruknął Wilski i pojechał do biura adresowego dowiedzieć się o rękawiczniku.

Dano mu trzy adresy.

Jeden z nich zaprowadził go na ulicę Ogrodową, gdzie znalazł jakiegoś nieznanego człowieka.

— Mam jeszcze dwa!

— Zamknął oczy i ciągnął na los szczęścia.

Tym razem pojechał na Pragę i dowiedział się, że adresant jest brukarzem.

Z trzecią kartką dostał się aż pod wolskie rogatki. Wszedł do parterowego drewnianego domku i znalazł w nim izbę ciasną, ciemną i wilgotną, lecz próżną.

— Gdzie jest rękawicznik, który tu mieszkał? — spytał stróża, dając mu rubla do ręki.

— Kto go tam wie, jaśnie panie! Tydzień temu jak go zlicytowali i podział się gdzieś z synkiem.

— Miał przecie żonę i troje dzieci?

— Żonę? Mieszkał tu od Ś-go Jana, alem żony nie widział, a dwoje najstarszych dzieci zmarły jeszcze w sierpniu.

— Drugi... trzeci i czwarty... — szepnął Wilski. Chciałem do Helenki pojechać z faktami, ale mi ich widać zabraknie!... O, Boże!

Nad wieczorem znalazł w biurze telegraficznym odpowiedź. Z Petersburga odpisano: "Grodzki jeszcze nie wrócił. " Z Londynu zaś: "Grodzki wyjechał. "

— Pewnie wraca morzem — pomyślał Władysław i wysłał znowu telegram do Petersburga, błagając przyjaciela, aby natychmiast przyjechał.

Tymczasem Grodzki wracał łądem i już opuścił Berlin. Depesze nie znalazły go.

Wilski od rana nie był u siebie i nic nie jadł; trucizna niepokoju starczyła mu za najlepsze potrawy. Do domu też wrócić nie miał odwagi; — wszedł więc do Saskiego ogrodu, upadł i pogrążył się w bolesnych dumaniach.

— Cztery ofiary!... — mówił. — Ja jestem winien, to prawda!... ale za co oni cierpieli i cierpią?

Zapomniał, że ludźmi, prócz praw moralnych, rządzą jeszcze prawa fizyczne. Zapomniał też, że społeczeństwo jest całością w której, gdy jedna cząstka nie pełni swoich obowiązków, giną inne.

Gdy wrócił do mieszkania, służący, który mu drzwi otworzył, patrzył na niego ze zdziwieniem.

— Czy nie było kogo? — spytał Wilski.

Był list.

Władysław chciał zapalić świece, ale rozsypał zapałki. Palce zeszywniały mu i służący musiał go wyręczyć.

List pisany przez nieznaną osobę był tej treści:

Wielmożny Panie i Dobrodzieju!

"Aczkolwiek obcy, ośmielam się wziąć pióro do ręki i parę tych wyrazów, w interesie jego zacnej i świątobliwej małżonki nakreślić. Do tej pory wyraźne życzenie tej szlachetnej i wzorowej pod każdym względem białogłowy, postanowienia moję hamowało. "

"Nie mówiąc wiele, bo to w podobnych wypadkach jest najgorsze i często prowadzi do wyrzeczenia tego, czego człowiek by nie chciał, uwiadamiam Wielmożnego Pana Dobrodzieja z wszelką ostrożnością, że też Jego najszanowniejsza małżonka, ma się wcale nie dobrze. Powiedziałbym: bardzo nie dobrze, ale nie chcę przedwcześnie trapić go wiadomościami, które i tak zbyt prędko, niestety!..."

Wilski już nie kończył. Spojrzał tylko na drugą stronę zapisanego arkusza i przekonał się, że list pochodzi od miejscowego proboszcza.

Z gorączkowym pośpiechem narzucił na siebie futro, wziął pieniądze i w tej chwili wyjechał na pocztę, gdzie zażądał czterech koni. W godzinę potem był już daleko za miastem.

Na drugi dzień około piątej wieczorem, pocztylion z ostatniej stacyi, który wiozł Władysława, odwrócił się do niego i wskazując biczyskiem na wzgórek okryty żółkniejącymi już drzewami, rzekł:

— Oto tu, jaśnie panie, folwark Boża Wola...

— Boża Wola? — powtórzył Wilski.

— Piękny majątek, jaśnie panie!... Ziemia pszenna, las niewycięty, nowy dwór, na stawie młyn...

Zwyczajnie jak u rzetelnej szlachty.

— Boża Wola!... — wyszeptał Władysław.

Przejeżdżali około ogrodu, z po za obumierających drzew którego widać było białe ściany dworu. Wilski rzucił pocztylionowi pięć rubli, wysiadł z bryczki i przeskoczył niskie sztachety.

— O to mu pilno!... — dziwił się pocztylion, trzymając czapkę w rękach.

Władysław zadyszany, nieprzytomny, przebiegł ogród i stanąwszy na szczycie wzgórka, przez szklane drzwi oplecionego winogradem ganeczku, ujrzał kilka wysokich świec, ustawionych w jednym rzędzie.

Zamknięte na klucz drzwi, przysły pod naciskiem jego ręki.

Na niskiej, okrytej dywanem sofie, w czarnej wełnianej sukience (którą znalazł tak dobrze w dniach ubóstwa!) z krzyżem w głowach i świętym obrazkiem w rączkach, otoczone zapalonemi świecami, leżały zwłoki Heluni.

Wilski usiadł na krześle, oparł załamane dłonie na kolanach i patrzył bezmyślnie na jedną ze świec, z której duże krople roztopionego wosku spływały.

W uchylonych drzwiach widać było głowy ciekawej służby, która szeptała między sobą:

— To pewno mąż?... Jużci, że mąż!...

Po upływie paru minut weszła jakaś stara kobieta, widocznie szafarka. Przeżegnała się, parę razy westchnęła i stanąwszy obok Władysława, poczęła mówić szpitalnym głosem:

— Ach! biedactwo, a takie młode i dobrane!... że też to Bóg miłosierny nie wolał śmierci na mnie stanąć dopuścić?

Robiłam ja, panie, com mogła. Dawałam jej mleka co dzień świeżego, wody żywicznej kwasu ogórkowego, okadzałam, zażegnywałam, ale wszystko na nie! Choruteńka już, niebożę, przyjechała z Warszawy!...

Mówiłam nieraz: trzeba jaśnie panu dać znać, ale ona: nie!... i nie!... A w ostatnim już tygodniu powiedziała: Moja Borkosiu! wynieście mnie na górkę, stamtąd lepiej widać!...

I po całych dniach, mówię panu, nic — tylko słuchała, czy gdzie bryczka nie zatrajkocze, czy kto drzwiami nie skrzypnie. Ale, że nikt nie jechał, ani wchodził, to mówiła po cichu: Oj! już ja go widać nigdy nie zobaczę... nigdy!...

W ostatnim dniu kazała sobie dać papier i ołówek. Myślałam, że będzie list pisać, gołąbka moja, ale gdzie zaś!... Pisała tylko: Władzie... Władzio... mój Władzio!... Jaż nigdy nie wróci!

Ale, prawda! jaśnie pan po podróży. Może pan jajecznicy pozwoli, bo tak na razie nie ma nie z mięsa.

Wyszła z pokoju i już za drzwiami kończyła:

— A światłość wiekuista niechaj - jej świeci!...

Władysław wstał z krzesła, popatrzył na żółta jak wosk twarz zmarłej, na ciemne jak glina powieki i ściskając ją za chłodne i zeszywniałe ręczki, szepnął:

— Helunia, to ja!..

Zdawało mu się, że widzi żonę swoją w oknie górnego pokoju, nasłuchującą turkotu bryczki.

— Heluniu! to ja... — powtórzył. — Już jestem!... spojrzij na mnie...

— O, już go nigdy nie zobaczę!... nigdy!... — mówiło widmo.

— Ja przecież jestem, spojrzij na mnie, Heluniu!... — jęknął Wilski.

— Tak długo czekam i nie doczekam nigdy!... szlochało widmo, rozplywając się we mgle.

Na drugi dzień proboszcz i gromadka ludzi odprowadzała czarną trumienkę na wiejski cmentarz. W połowie drogi orszak ten spotkał bryczkę pocztową, z której wyskoczył Grodzki i stanął obok postępującego za trumną Władysława.

Przez cały czas Wilski był prawie nieprzytomny. Nie patrzył na nikogo i milczał.

Na cmentarzu, jakiś głos odezwał się;

— Otwórzcie trumnę, może ją jeszcze zechce zobaczyć.

Władysław zdawał się nie słyszeć tego. Nie słyszał też ciężkiego łoskotu brył ziemi walącej się na trumnę, ani żalonych dźwięków w pieśni: "Witaj Królowo nieba i Matko litości!" Gdy już wszyscy towarzyszący pogrzebowi rozeszli się, Grodzki dotknął ramienia Władysława i rzekł:

— Chodź ze mną...

— Jestem przeklęty! — odpowiedział Wilski,

— Jesteś tylko chory. Chodź ze mną.

— Czekala mnie, czy ty słyszysz?... Czekala i czekać będzie w tym strasznym grobie, ale już nie zobaczy mnie nigdy... nigdy!...

Upadł z jękiem na ziemię, rozkrzyżował ramiona i w konwulsyjnym uścisku objął świeżą mogiłę.

PRZY KSIĘŻYCU.

Słońce zachodzi; a jak dogasający ogień chwilami jaśniej błyska, tak, przed nocą. puls życia uderza śpieszniejszym tentnem.

Krzaki, zwykle ciche, zagotowały się pożegnalnym gwarem ptaków; każdy śpiewa królowi dnia — dobranoc, i każdy chce okazać się gorliwszym od innych. Z gościńca podniósł się złoty tuman kurzawy, słyhać turkot wozów, niecierpliwy ryk bydła i przeciągłe nawoływania pastuchów. Z pól płynie dumka wracających od roboty dziewczuch; w jaskrawych strojach wyglądają one jak białe i pąsowe makówki, co nagle ożyły i biegną za znikającym światłem.

Przed chatami tłoczą się zwierzęta i ludzie, skrzypią żurawie studzien, i pluszcze woda nalewana do koryt. W aleach spacerowego ogrodu słyhać toczenie się dziecinnych wózków, wesoły szczebiot dzieci, śmiech nianiek i rozmowy letnich mieszkańców wsi, którzy, śpieszą do domów, ukryć się przed wieczornym chłodem.

Słońce dotknęło horyzontu i ziemskie odgłosy zamilkły; jeszcze słyhać szmer drzew, pochylających przed światłodawcą zielone konary. Łąki, lasy i pola oblały się żywszemi barwami i u stóp odchodzącego ojca rozlewają napiękniesze wonie. On, pieszcząc się z niemi, zasypał niebo i ziemię złotem, później otulił je w purpurę i wreszcie — zasłonił błękitem.

Cienie drzew rozciągnęły się na trawie, świat zmęczony ułożył się do snu, a nad nim czuwały: mrok i milczenie, ledwie zamacone cichym lotem nietoperza, który mknie bez szelestu, jakby lękał się obudzić śpiących. Nawet gadatliwe muchy i komary wiatr zapędził do ciemnych kątów i zanim sam zdrzemnął się w polu, jeszcze spragnione liście pokropił świeżą rosą.

Kiedy pogasły światła w chatach, na wschodzie, białe jak puch obłoki zaczęły posrebrzać się i rzędnać. To księżyc nieśmiało wyrzał ku ziemi, a spostrzegłszy na skraju nieba rąbek czerwonych blasków, pomyślał, że słońce jeszcze nie odeszło i — skrył się za popielatą chmurę.

— Pójdź!... pójdź!... — zawołał do niego puszczyk z parku.

Księżyc po raz drugi spojrział, lecz znowu cofnął się. Zdawało mu się, że na ziemi jest jeszcze za jasno.

— Pódź! pójdź! — powtórzył głos z gęstwiny.

Wówczas księżyc odgarnął obłoki i ukazał się na błękitnym tle nieba pełny i jasny, jak tarcza polerowanego srebra.

Teraz budziło się tajemnicze życie nocy. Z pod drzew i chałup wypełzły czarne cienie i poczęły kłamać przed ziemią, że księżyc świeci lepiej niż słońce. Wałący się mur poczerwieniał fałszywym rumieńcem; sław nabrał metalowego połysku, a pożółkłe ścierniska oblekły się zielonawą barwą i udawały trawę.

Słyhać też głosy, ale nie takie jak w dzień — inne. Tu jękliwie zwołują się żaby, które z przed oczu słońca rozgania bocian. Tam, cienki strumień wody nuci na stawidłach monotonną i żalną melodyę, przy której blada mgła tańczy na oparzeliskach. Owdzie, zarozumiałe koniki polne chwala się, że są ładniejsze od skowronków.

Czasem wytarzany w błocie żuk, grubym głosem wyśmiewa się z motyli; niekiedy szczeknie pies, którego zbudził przechodzień, albo rozpaczliwie zakwili pochwycony przez łasicę ptaszek...

Zapatrzony i zasluchany, poszedłem do starego parku, który zdawał się być stolicą tych widziadeł i odgłosów. Alem niedługo przypatrywał się cudownym sprawom nocy. W alejach -rozległy się okrzyki, śmiech i gonitwy towarzystwa dam, panienek i paniczów, którzy z dobrodziejstw

księżycowego światła korzystali tak wesoło, że wobec nich — cała natura ucichła. Wszędzie było ich. pełno: w klombach, na trawnikach, w alejach głównych i bocznych. Dla ukrycia się przed tą burzą, radości, trzeba było wybrać najrzadziej odwiedzaną ścieżkę.

Księżyc powoli toczył się ku zenitowi, a razem z nim posuwały się cienie drzew, zakrywając jedne, odsłaniając inne miejsca. W czasie takiej zmiany dekoracji spostrzegłem, że i tu nie jestem sam. Na pruchniejącej ławie siedział stary, niski i gruby człowiek z zadartą głową, rękami rozkrzyżowanymi na poręczy i -- patrzył w księżyc. A tak był zatopiony w swem widzeniu, iż nawet nie słyszał, że koło mego przeszedłem.

Wnet jednak obudzono go z marzeń. Wesołe towarzystwo odkryło tę ścieżkę i pędem poczęło biec ku ławce. Jednocześnie któryś z paniczów krzyknął ostrym dyszkantem:

— Bon jour, monsieur François!... Stary człowiek wyprostował się.

— Ah!... bon jour... Cóż państwa aż tu sprowadziło?... —mówił, skupiając rozproszone myśli.

W towarzystwie zaczęto śmiać się.

— Chcieliśmy zobaczyć, z kim pan ma schadzkę...

— Ładnie, monsieur François, robić tak tajemnicze wycieczki!...

— Pan François marzy...

— Nie, monsieur François poetyzuje na cześć panny Fifi...

— Kto jest panna Fifi!

— To ta złośnica Szwajcarka, która nie opuszcza żadnej mszy, ani rautu...

Tak mówili, wciąż śmiejąc się i wymijając monsieur François, który stał zawstydzony. Cofnąłem się za drzewo.

— A któż jest monsieur François? — zapytała jedna z panienek, najgłośniejszego panicza.

— To mój guwerner! — odpowiedział z akcentem ironii panicz, a potem dodał:

Dziwak, nudny jak lukrecya i skąpy jak lichy. Bardzo jestem kontent, że rozstaniemy się z nim od wakacyj.

Z temi słowy skręcili w inną aleję.

Monsieur François znałem z widzenia, a ponieważ stał wciąż na miejscu, jakby niepewny co robić, zbliżyłem się do niego i powitałem.

— Piękna noc — rzekłem.

— A tak...

— Szkoda tylko, że w parku trochę za wesoło.

— Im zawsze wesoło — szepnął guwerner.

Niechętnie machnął ręką i usiadłszy na ławce, znowu patrzył w księżyc.

— Nie rozumiem — odezwał się — jak mogą lubić księżyc ludzie szczęśliwi? To patron tułaczów, symbol nieukozonej tęsknoty i śmierci. Cieszyć się przy jego blasku, na jedno wychodzi, co tańcować przy katafalku.

Dziwną wydała mi się ta melancholia w człowieku, którego własny uczeń nazywał przed chwilą skąpcem. Wszak księżyc jest podobny do ogromnego talara — pomyślałem — i już za to samo powinienby cieszyć się sympatyą monsieur François?...

Guwerner znowu rozkrzyżował ręce na poręczy i po długiej pauzie, zaczął mówić, jakby marząc głośno.

— Księżyc, to smutna gwiazda dla, tych, którzy go znają, a straszna dla tych, którym wplątał się w życie.

Na te słowa wzburzyły się we mnie wszystkie wiadomości astronomiczne.

— Zdaje się — rzekłem — że dla księżycyca nie jesteś pan sprawiedliwy. Co zaś do jego wpływu

na ludzkie życie, to wiesz pan zapewne lepiej odemnie, że czasy astrologii minęły...

— Tak pan powiadasz? — odparł, spoglądając na mnie przez ramię.

Jego drwiący ton zaciekał mnie.

— Powtarzam to, com czytał — śpiesznie odpowiedziałem. Ale będę panu wdzięczny, jeżeli nauczysz mnie czegoś nieznanego pod tym względem. Stary guwerner udobruchał się i zaczął na nowo.

— Nie dziwię, się pańskiej opozycji. Dla ludzi, od niepamiętnych czasów, niebo wydawało się przybytkiem spokoju i szczęścia. Tam widzimy niewzruszony porządek, stamtąd nigdy nie doleciało nas echo skargi, tam na pozór kwitnie wiekuiste życie. Istotnie, czym są planety? Mieszkaniami, jak nasza ziemia, gdzie widać atmosferę, obłoki, wody, lądy, a nawet pory roku — jak u nas. Czem są gwiazdy? Słońcami, z których każde rozlewa ciepło, blask, może nawet radość?...

Niebo to ogród pełen nieśmiertelnych kwiatów. Przykre więc ogarnia człowieka rozczarowanie, gdy dowie się, że wśród gwiazd kipiących światłem i życiem, w dodatku najbliższej ziemi, wałęsa się olbrzymie cielsko trupa, który miliony lat oczekuje pogrzebu i nie może się go doczekać. To nasz księżyc, o ten sam...

I wskazał ręką na jasną tarczę, która zdawała się uśmiechać smutno.

— Trup?... — szepnąłem. — Chyba za silny to wyraz.

— Za słaby! — przerwał guwerner. — Spójrzysz pan na światło księżycy — silne i zielonawe, jak zgnilizna, Przypatrz się ogólnym zarysom jego kształtu, co zobaczysz?... Puste oczodoły, zakłęśnięty nos, usta bez warg i zębów...

A jednak i taka powierzchowność mogłaby wydać się piękną w porównaniu z tem. co teleskop odkrył na księżycu. W najdzikszych okolicach podbiegunowych, w najbardziej osławionych jaskiniach ziemskich, nie spotkasz tak odrażających widoków, jakie przedstawia księżyc.

Spójrzysz na którąkolwiek z jego okolic. Co znajdziesz? Pustynię, bez śladu trawy, nawet pleśni, zasypaną rumowiskami, podziurawioną czeluściami wygasłych wulkanów. Zechcesz z niej uciec? — nie puszcza cię łańcuchy gór, sięgających ośmiu wiorst wysokości. Jedne z nich są jak olbrzymie sople lodu, inne jak pierścienie, inne jak prostopadłe ściany. A wszystko to spękane, połamane, podruzgotane i nad wszelki wyraz posępne.

Gwałtem odrywasz się od tych widoków i wznosisz oczy ku niebu, myśląc, że jego szafir ukoji ci znękaną duszę. Daremne wysiłki, tam niema ukojenia! Z powodu braku powietrza niebo jest czarniejsze od kiru, na tle którego pali się słońce, jak pożar i gwiazdy, jak grobowe pochodnie.

Nie szukaj tam gry kolorów. Słońce wschodzi bez zorzy, płonie czternaście dni bez przerwy, a potem znowu na czternaście dni pogrąża się w czarną otchłań. Sam jego blask służy tylko do uwydatnienia okropności widoków. Niema tam perspektywy powietrznej, dzikie kształty występują ostro, pełno jest złudzeń i zdumiewających kontrastów. Ludzkie oko traci wszelką miarę, odległości skracają się i wydłużają w sposób niemożliwy. Przedmioty jaskrawe wyskakują naprzód, blade cofają się w tył, a stąd każdy twój krok, każda zmiana w położeniu słońca wśród tej martwej natury wywołuje pozorny ruch, istny taniec upiorów.

Niema tam półcieni. Z jednej strony skały jest upał nie do wytrzymania i powódź oślepiających blasków, z drugiej, zamiast cienia — noc czarna jak smoła i zimno przechodzące wszelkie pojęcie.

Inna cudowna własność życia — dźwięk, również tam nie istnieje. Gdyby zawałiła się góra, uczułbyś tylko wstrząśnienie, ale nie usłyszałbyś nawet takiego szmeru, jaki u nas wydaje przelatujący komar. Ale góry tam nie wałęsa się; co kiedy miało rozsypać się i upaść, już upadło i dziś panuje taka cisza, że przy niej bicie pulsu w skroniach wydawałoby się człowiekowi podobnym do bicia piorunów, nie gdzieś na zewnątrz, tylko w nim samym.

Słowem, księżyc — to państwo śmierci, ale w formie tak złowroziej, jaką ledwie możemy odgadnąć. U nas, po śmierci zaczyna się rozkład, czyli nowe życie: tara wcale niema rozkładu. Gdyby od nas na księżyc przeniesiono zwierzęta- i rośliny, zmarłyby w ten sposób, że — natychmiast wyschłyby. Ale ich kształty i niektóre barwy, nie ulegając zmianie, po tysiącach lat zostałyby tem, czem w pierwszej chwili: widmami zwierząt i roślin.

W bocznej alei przesunęło się dwoje ludzi, rozmawiających półgłosem:

— Śliczny księżyc!... Czy pan nie lubi księżycyca?

— Wolę oczy pani przy jego blasku.

— A w dzień?... Odpowiedzi nie dosłyszałem.

Guwerner popatrzył na nich, pokiwał głową i mówił dalej:

— A jednak księżyc dawniej żył. Posiadał wodę, atmosferę, niewątpliwie jakieś istoty rozwijające się i czujące. Lecz — umarł. A wiesz pan z jakiego powodu? — z tęsknoty...

Był on niegdyś częścią ziemi, jej synem i — oderwał się od niej, jak ja... od Francyi. Przez długi czas mogło mu się wydawać, że wróci. Ale nie wrócił i — z żalu umarł...

Wszystkie jego ruchy, to ciągle szamotanie się z siłą postyczną czy odśrodkową. On rwie się do ziemi, a niezasypiająca moc złego losu wciąż spycha go z drogi. Czasami niezmiernym wysiłkiem zbliży się do macierzystej planety, ale wróg nieubłagany wnet go zwycięża i odsuwa jeszcze dalej.

Tak bywa i z ludźmi!

Odetchnął i mówił:

— Dla ogółu, ruchy księżycyca nie odznaczają się niczem osobliwym. Ujęto je w formuły matematyczne i to wystarcza. Gdybyś pan jednak wiedział, jaki dramat tkwi — choćby w prostych odmianach księżycowego światła?... Ale chcąc go odczuć, trzeba być takim jak księżyc tułaczem.

Podobne zmiany lunacyi, jakie my widzimy na księżycu, księżyc mógłby spostrzegać na ziemi. I pomyśl pan, co za dziwny związek istnieje między temi zjawiskami...

Kiedy księżyc widzi ziemię w formie pełnej i wciąż rosnącej tarczy, myśli, że zbliża się do niej. Wtedy ukojony nadzieją zasypia i nie świeci, a my mówimy, że jest nów.

W tydzień później, ziemia ukazuje mu się jako pół tarczy. Wtedy zaniepokojony księżyc zaczyna otwierać oko i patrzy: co będzie dalej?

Jeszcze później, ziemia już nie odbija słonecznych promieni w strono księżycyca i staje się dla niego niewidzialną. Wówczas przerażony księżyc myśląc, że całkiem oderwał się od ziemi, otwiera całe oko i śledzi międzyplanetarne otchłanie. W kilka dni dostrzega mały skrawek światła i znowu nieco spokojniejszy, stopniowo przymyka zmęczoną źrenicę, aż do zupełnego zaśnięcia.

Tak, panie — dodał guwerner. — Na niebie i ziemi istnienie waha się między rozpaczą, nadzieją i krótkim odpoczynkiem. Ale szczęścia nigdy nie osiąga...

Wyznaję, że zastanowił mnie ten szczególny wykład astronomii, w którym fantastyczne przywidzenia pomieszały się z dokładnymi wiadomościami. Uderzyła mnie też pewna sprzeczność.

— Drogi panie — odezwałem się. — Powiedziałeś, że księżyc umarł, a jednak obecne zmiany lunacyi tłumaczysz tęsknotą księżycyca do ziemi. Jak to pogodzić"?

Pokiwał głową i odparł:

— Bo widzisz pan i zapamiętaj to sobie, że na świecie "wszystko umiera wyjąwszy — tęsknoty. " Czuję, że i ja, gdybym umarł tu, między wami, tęskniłbym nawet w grobie. Zdaje mi się, że kości moje wyszłyby z ziemi i patrzyły tam...

Wskazał ręką na zachód. Pojąłem, że stary guwerner dotknął jakiejs rany swego serca i zamilkłem.

On poruszył się na ławce, jakby chcąc mnie pożegnać. Widocznie jednak rozmyślił się i nagle

rzekł tonem pytającym:

— Pan wie, jak dawno nie byłem we Francji?.. Trzydzieści lat. Trzydzieści lat nie widziałem swego kraju... — dodał zmienionym głosem.

Teraz domyślasz się pan, dlaczego zajmuje mnie wieczne tułactwo księżycy i skąd go tak dobrze rozumiem. Nie wiem zresztą, czy od tęskni; ale to pewna, że ja... za moją ziemią...

Wymówił to prawie szeptem i odwrócił się odemnie. Długa chwila upłynęła, zanim uspokoił się o tyle, że mógł opowiadać dalej.

— Opowiem panu — rzekł — dzieje, chwilami nieprawdopodobne, a jednak dosyć zwyczajne. Dowiesz się, w jaki sposób martwy świadek naszych nocy, księżyc, kojarzył się z memi nieszczęściami i jak wygląda siła odśrodkowa w życiu ludzkim.

Zapalił cygaro i mówił.

— Z upodobania i ukształcenia jestem pedagogiem. Jeszcze będąc w szkołach, kiedy moi koledzy, w czasie rekreacji, bawili się w wojsko lub w teatr, ja uczyłem czytać dzieci naszych służących. Skończywszy zaś uniwersytet, po prostu utonąłem w pracy nauczycielskiej.

Na nieszczęście miałem dwie wady. Jedną był brak protekcji, skutkiem czego nie awansowałem, drugą, żyłka reformatorska. Chciałem poprawić wady ówczesnej pedagogiki i — zyskałem silnych nieprzyjaciół. Nie wiedziałem jeszcze, że kto chce zrobić karierę, nie powinien szukać, ale dogadzać panującemu smakowi.

Bądź jak bądź, po kilku latach walk i pracy moje urzędowe i prywatne stosunki stały się nieznośnymi. Rozdrażniony i rozżalony, wziąłem dymisyę jako nauczyciel i wyjechałem do Anglii. Jest temu lat trzydzieści.

Dodam tu nawiasowo, że, kiedym opuszczał Paryż, jadąc nocnym pociągiem, świeciła na niebie pełnia. Ponieważ były kobiety, więc naturalnie dużo rozmawiano o księżycu. Damy twierdziły, że jest to gwiazda zakochanych, jakiś wiejski dzierzawca nazywał go słońcem cyganów i złodziei, a pewien starzec, który dotychczas nie wielki udział przyjmował w rozmowie, odezwał się nagle:

— A ja państwu powiadam, że księżyc to planeta tułaczów. Kto urodzi się pod jego znakiem, nie znajdzie spokojnego kąta na ziemi, a nie wiadomo, czy i po śmierci nie zostanie upiorem...

Wszyscy śmieli się z tych sentencji, wypowiedzianych kaznodziejskim tonem; ale mnie dreszcz przeszedł.

Nic dziwnego. Dobrowolna emigracja z kraiu zrobiła mnie drażliwym w tej kwestyi.

Dla nas, francuzów, Anglia jest szkołą publicznego życia. Jadąc tura, planowałem sobie, że dokończę mego ukształcenia, znajdę sympatyę, jakiej nie miałem w kraju, że wreszcie zdobędę mająteczek i powróciwszy do Francji, założę pensjonat, w którym sam będę panem.

Istotnie Anglia nie zawiodła moich nadziei. Przemieszkałem w niej lat dziesięć, a czas ten był najszcześniejszy w mojem życiu. Dojrzałem umysłowo, zdobyłem szacunek ludzi rozumnych, a nawet zebrałem pewien fundusz. Nie krępując się w wydatkach, odłożyłem tysiąc funtów szterlingów.

Przyjaciele moi zachęcali mnie, ażeby tam założył szkołę; ofiarowali mi nawet pomoc. Ale odmówiłem. Chciałem podzielić się z ziomkami doświadczeniem nabytem w Anglii, a co ważniejsze poczułem tęsknotę do kraju. Dopóki pracowałem, lata upływały mi jak dni; lecz gdy już pomyślał o powrocie do Francji, minuty wydawały mi się za długie. W ciągu tygodnia zebrałem moje pieniądze i siadłem na statek odjeżdżający do Brestu.

Był to piękny wieczór październikowy, a na niebie świecił księżyc w pełni. Patrzyłem na niego z zachwytem, przypominając sobie wyjazd z Paryża i lata tułactwa, które — jutro miały skończyć się dla mnie!...

Gdy w rozmowie zwierzyłem się przed kapitanem statku z moich sympatyj do księżycy, który

nazwałem najpiękniejszą planetą, — wzruszył ramionami i odparł:

— W gruncie rzeczy jest to planeta najsmutniejsza, bo już martwa.

I zaczął opisywać księżycowe krajobrazy, mniej więcej tak, jak ja panu o nich opowiadałem.

Zrobiło to na mnie przykre wrażenie, lecz nie straciłem otuchy. Czyliż ten martwy księżyc, patron tułaczów, nie odprowadzał mnie do Anglii? A przecie tam byłem szczęśliwy.

W sześć godzin po podniesieniu kotwic zerwała się burza, trwająca kilka dni. Statek nasz, wymknąwszy się z kanału, wyjechał na pełny ocean i z szybkością ptaka leciał na południe, wzdłuż brzegów Francji. W okolicach Roschelli zbliżyliśmy się do brzegów, ale o wylądowaniu nie było mowy. Znowu wypłynęliśmy na ocean, piorunem okrążyliśmy Finister i — niedaleko Lizbony — rozbiliśmy się...

W tym samym czasie podobny los spotkał kilkadziesiąt innych statków.

Zdarzenia tego nie zapomnę do końca życia. Kiedym usłyszał trzask ścian okrętowych i szum wody wdzierającej się do wnętrza, ukląknę pod masztem i minio sceptycyzmu poleciłem duszę Bogu. Nagle pokład przechylił się i — potężna fala zmyła runie w morze. Machinalnie płynąc, w odzieniu ciężkim jak ołów, uczułem, że jakaś martwiejąca ręka chwyta mnie za nogi... Później trafiłem na belkę, przy której ktoś ujął mnie za kark i zepchnął w wodę... Potem zobaczyłem wysoko, jakby na górze, łódź ratunkową i — straciłem przytomność.

Kiedym ocknął się, pierwszym przedmiotem jaki spostrzegłem, był — biały kapelusz siostry miłosierdzia, która poiła mnie mocnym winem. Z ruchu jej ust domyśliłem się, że mówi do mnie; ale nie słyszałem wyrazów, tylko jakiś szum. Chciałem odezwać się, lecz nie mogłem poruszyć szczękami; chciałem podnieść rękę, ale zabrakło mi siły.

Takie były pierwsze wrażenia. Powoli, wzmocniwszy się, dowiedziałem się, że od trzech tygodni leżę w lizbońskim szpitalu. Gdy mi podano lustro, zobaczyłem, że jestem podobny do szkieletu i że mam łysą głowę.

— A gdzie moje pieniądze? — zapytałem, z trudnością wymawiając wyrazy.

Zakonnica potrząsnęła głową, patrząc na mnie z politowaniem.

— Nie ma żadnych pieniędzy — odparła.

— Więc mnie okradziono?...

— Nie okradziono pana, ale przez kilka godzin byłeś w morzu... Morze zjada nawet okręty!...

Nigdy nie byłem chciwym, ale dowiedziawszy się o tej stracie, zapłakałem jak dziecko. W tej chwili uczułem, że mi utonęło dziesięć lat życia...

— Z czym wrócę do Francji? — myślałem. Czy mam jak żebrak wyciągać rękę do tych samych ludzi, których opuściłem przed laty?...

Nie obchodził mnie już ani własny pensjonat, ani reformy w wychowaniu. Teraz chciałem mieć pieniądze na to tylko, ażeby spokojnie i zdala od ludzi żyć we Francji. Były to pragnienia człowieka, który stracił energię i zestarzał się w chorobie.

Leżąc na szpitalnym łóżku, marzyłem tylko o tem, aby co rychlej dostać jakąś pracę, zakopać się w niej na kilka lat, zbierać grosz do grosza, a potem wrócić do ojczyzny. Zdawało mi się, że oddaliłem się od niej na całe wieki.

Z naszego statku niewielu ocalało; tem gorliwiej zajęto się pozostałymi. Kilka osób odesłano do Francji, kilku dano posady na miejscu, a mnie, gdym wyzdrowiał, pewien bogaty włoch, spekulant z Tunisu, zaproponował w swym domu posadę nauczyciela. Przyjąłem bez wahania; z równą obojętnością jechałbym do Australii, nawet do Laponii.

W Tunisie przebyłem lat sześć, wśród ciężkiej pracy. Wychowałem memu gospodarzowi dwu synów i córkę, a prócz tego udzielałem lekcyj w kilku innych domach europejskich. Dzieci były

pojętne, ale zaniedbane i leniwe. Całe dni pasując się z ich kapryсами i nieuwagą, czułem, że przestaję być pedagogiem entuzystą, a robię się rzemieślnikiem.

Swoją drogą w ciągu pięciu lat odłożyłem przeszło dziesięć tysięcy franków i oddałem je memu gospodarzowi, który posiadał niesłychane szczęście w obrotach pieniężnych. Sumka moja w jego rękach szybko rosła; obliczałem, że na wyjazd będę miał z piętnaście tysięcy.

Znowu gorąco zatęskniłem do Francji i już za kilka miesięcy postanowiłem wracać, gdy w tem... Mój gospodarz zbankrutował!...

W parę dni wyrzucono nas z pałacu, zabrano sprzęty, powozy i konie, a mój gospodarz musiał na rybackim statku uciekać do Genui.

Kiedym go w nocy odprowadzał do brzegu, padł mi w objęcia, szlochał' i zaklinał się na świętych i sakramenty, że mi wszystko zwróci co do centima.

— Przyjedź pan tylko do Genui. Mam tam rodzinę i wierzycieli, i zaspokoję cię. Ciebie jednego mam na sumieniu, muszę cię spłacić!

W godzinę później statek odbił od brzegu. Jego żagle błyszcząły jak srebro. Odwróciłem głowę. i zobaczyłem — księżyc w pełni...

Tknęło mnie niedobre przeczucie. No i co pan powiesz?... — zawołał stary guwerner. W parę tygodni byłem w Genui, ale już nigdy nie zobaczył ani mego chlebodawcy, ani pieniędzy!

— Księżyc temu nie winien — wtrąciłem — choć była pełnia.

— I ja tak myślę — odparł. Musisz pan jednak uznać, że księżyc tym razem przyświecał wielkiemu złodziejowi. Szkaradna gwiazda!...

Cygaro oddawna mu zgasło, więc zapalił je powtórnie i znowu opowiadał.

— W Genui zetknąłem się z pewną polską rodziną i z nią przyjechałem do waszego kraju, gdzie mieszkam lat trzynaście. Ludzie tutejsi są dobrzy. nawet zdolni, choć niestety nie lubią pracować, a naturalnie i nie szanują cudzej pracy. Ich bożkiem jest zabawa, dla której wszystko poświęcają. Za to naukę traktują jak macochę, a nauczycieli jak kamerdynerów.

Ale mniejsza o nich. Wracam do mego losu.

Przed sześcioma laty, jedna z waszych zamożnych rodzin, u której byłem nauczycielem, otrzymała wielki spadek i, rozumie się, na jego cześć wybrała się do Paryża.

Jechałem i ja z nimi. A trudno opisać, com czuł, zbliżając się do ojczyzny od dwudziestu czterech lat niewidzianej.

Podróż ciągnęła się parę miesięcy, zwiedzaliśmy bowiem wszystko, co leżało i nie leżało na drodze; Berlin, Wiedeń, Monachium, Drezno... Moi państwo wszędzie zatrzymywali się i bawili cudownie; ja, pochłonięty jedną myślą, zaledwie pamiętani, co widziałem.

Nareszcie — dowlekliśmy się prawie do Strasburga. Lecz, kiedy już dosięgaliśmy granicy, zatrzymała nas depesza z Warszawy. Adwokat donosił niemu panu, że jego spadek został zakwestyonowany i wzywał go natychmiast do powrotu!...

Tego samego dnia już nocowaliśmy w Kolonii; pani bowiem zaśląbła i musiała odpocząć.

Tak boleśnie pozbawiony nadziei zobaczenia Francji, wpadłem w rozpacz. Chciałem sam wracać i poprosiłem mego chlebodawcę, ażeby mi wypłacił należność. Gdym mu wytłumaczył pobudki tego kroku, szczerze mnie żałował; oświadczył jednak, że dopiero w Warszawie będzie mnie mógł zaspokoić, gdyż w tej chwili czuje brak pieniędzy.

Zdesperowany wyszedłem na ulicę i znowu zobaczyłem — księżyc w pełni, szyderczo spoglądający na runie z po za olbrzymiej katedry...

Wtedy pierwszy raz przyszło mi do głowy okrutne przypuszczenie: czy ja nie jestem, jak ten księżyc, skazany na wiekiwie tułactwo?... Jak on okrąża ziemię, czyliż ja nie okrążam Francji? Czy

nie zbliżałem się do niej z północy, zachodu, południa, a teraz ze wschodu i — zawsze napróżno?... A ile razy myślałem, że choć dotknę nogą ojczystej ziemi, tyle razy, zdaje się, prawie niemożliwy zbieg wypadków odrzucał mnie od niej, nie pozwalając nawet spojrzeć zblizka...

Wiem, że moje przesady co do księżycy wyglądają na obłąd albo dzieciństwo. Ale panie, przesąd jest zielskiem, które wyrasta z nieszczęścia. Czy nawet może nie być przesądnym człowiek, który trzy razy w tak straszny sposób doświadczył na sobie potęgi losowych wypadków?.. A czym zresztą jest każde prawo, jeżeli nie ciągłym powtarzaniem się faktów, w gruncie rzeczy niezrozumiałych?...

Za miesiąc — mówił guwerner — kończą się moje terażniejsze obowiązki. Ciężką pracą i drobiazgową oszczędnością, nieledwie zaparciem się, zebrałem kilka tysięcy rubli. Jest to niewiele. Szczęściem, dzisiejszy mój pan obiecał mi dać dwa tysiące rubli gratyfikacji, jeżeli... Jeżeli syn jego do ostatka będzie ze mnie kontent!... Pojmujesz pan, ile kaprysów, ile upokorzeń znosić muszę, dla uzyskania tych pieniędzy, które dla mnie stanowią przyszłość, bo już czuję brak sił, jestem zgębiony i wyczerpany...

A jednak byłoby to niczem, gdybym, pośród wszystkich goryczy, miał pewność, że... nareszcie wrócę do kraju...

— Jestem przekonany, że tak będzie — odezwałem się.

Guwerner smutnie potrząsnął głową i odparł:

— Jesteś przekonany, bo nie wiesz, co to jest być zwyciężonym. Ludzie młodzi mają tak niewielkie doświadczenie, a tak obfite zapasy nadziei, miłości, pragnień, zresztą — wiary w siebie, że nawet nie pojmują niezwalczonej siły losu. Mnie możesz pan uważać za mazgaja, który nigdy nie umiał oprzeć się zewnętrznym okolicznościom; pomyśl jednak, ilu ludzi znanych z energii łamały kapryśne wypadki? Lecz i tego dowodu nie trzeba. Spójrz na księżyc, pomyśl, ile on waży setek milionów centnarów, pomyśl, że nieustannie dąży do ziemi i pomimo to nie spada, bo w każdej chwili zbija go z drogi tajemnicza potęga. Dla księżycy zwie się ona — siłą rzutu, dla człowieka — nieszczęściem; ale skutki są jednakowe — tułactwo!..

Kto rai zaręczy, że ja nie jestem igraszką jakiejś niezbadanej siły odśrodkowej? Wszakże jej potęgi doświadczam od lat trzydziestu. Kto mi da nadzieję, że wrócę do ojczyzny?... Alboż nie mogę w ciągu kilku tygodni umrzeć, czy niezdolęźnieć? Ale i tego nawet nie trzeba. Mogę po prostu znowu stracić pieniądze, a choćby tylko nie dostać gratyfikacji, a wtedy co?... Miałabym wstyd wracać na łaskawy chleb do kraju, który opuściłem w sile wieku, który mi wszystko dał, niczego w zamian nie żądając?...

Pracować dłużej w takich warunkach nie potrafię. We Francji odzyskałbym energię, ukołwysz tęsknotę. Ale tu!...

Czuję, że jestem jak pociąg, który dojeżdża do stacyi. Potrzebuję nowych zapasów siły, a tej n was nie znajduję.

Przez łączkę oblaną światłem księżycy przesunęło się znowu — dwoje i doleciał nas urywek rozmowy:

— A na dobranoc?...

— Dostanie pan tę różę.

— I tyle?..

— Czy nie dosyć?...

— Przynajmniej niech ją pani dotknie ustami.

— Nie wolno.

— Nie wolno, to znaczy — nie chcę?

— Nie wolno, znaczy — tylko — nie wolno... I znikli jak duchy.

Guwerner podniósł się z ławki i ciężkim krokiem szedł ku domowi.

W końcu alei rozległ się odgłos prędkiego biegu kilku osób i wołanie:

— Monsieur François! monsieur François!.. Nagle dopędził nas wychowanek guwenera w towarzystwie dwu innych paniczów.

— Monsieur François, niech mi pan zrobi jedną łaskę... — rzekł chłopiec tonem pieszczotliwym. I uwiesiwszy się staremu na szyi, wywijał nogami w powietrzu.

— Dziesięć łask zrobię ci za taką prośbę! — odparł z uśmiechem guwerner. Czegóż sobie życzysz tak gorąco?

Chłopak zaczął szeptać, głosem przerywanym ze zmęczenia:

— Widzi pan, tam, na balkonie, pannę Fifi?... Już pół godziny siedzi w białym szlafroku z podpartą brodą i — wzdycha!... Sam słyszałem, że wzdycha... Z pewnością jest zakochana...

— Dajże jej spokój z zakochaniem! Prędzej ją zęby bolą — odparł guwerner.

— To wszystko jedno — przerwał chłopiec — bo... wie pan, co mi na myśl przyszło?... Oto, żeby pan przebrał się za trubadura i - zaśpiewał jej serenadę...

Guwerner odsunął go lekko.

— Pan nie chce?... - zdziwił się chłopak.

— Nie.

— Pan mi odmawia? - zawołał malec z gniewem.

Stary spojrzął na mnie i pokiwał głową. Odsunąłem się od nich.

— Jeżeli tak, więc - dziękuję panu! - mówił zirytowany chłopak. Obiecałem, że pan będzie śpiewał serenadę... Całe towarzystwo czeka, a pan mi odmawia... Jestem skompromitowany!... - dodał prawie szlochając.

Na drodze ukazała się wysoka dama w płomienistej sukni i purpurowym szalu.

— Maman!... il ne veut pas śpiewać serenady... — zawołał chłopak, biegnąc naprzeciw niej.

— A mówiłam ci - rzekła dama - ażebyś nie dawał słowa w imieniu osób, których nie jesteś pewny? Szkoda, że monsieur prawie na pożegnanie robi tak wielką przykrość Luciowi!

Czułem, że w tej chwili dwa tysiące rubli gratyfikacyi wiszą na włosku...

— Co go mój honor obchodzi! — wzdychał malec. Gdybym powiedział, że zabiję się w jego oczach, jeszczeby nie śpiewał.

— Więc nie da się pan ubłagać? - spytała dama.

— Lucio przesadza! - odezwał się guwerner. Zresztą - jakże tu śpiewać serenadę, jeżeli niema gitary?... - dodał tonem żartu.

Chłopak wysunął się naprzód.

— Są skrzypce - rzekł. Może pan grać na nich, jak na gitarze.

— A płaszcz?... a kapelusz?... - pytał zmięszany guwerner.

— Jest wszystko i zaraz pana ubierzemy! - mówił chłopiec, znowu chwytając go za szyję. Ach jaki pan dobry!... ach jak to będzie zabawnie!... Pomrzemy ze śmiechu...

Objął go wpół rękoma i szybko biegnąc, ciągnął w stronę gęstego kłądu.

W kilka minut z po za krzaków wysunął się trubadur. Niski, gruby, w szerokim kapeluszu i połyskującej pelerynie, wyglądał w nocy jak strach na sowy.

Ostrożnie zakradł się pod balkon i stanął, oświetlony promieniami księżycy, naprzeciw dumającej panny Fifi. Usłyszałem cichy brzęk strun skrzypcowych, a potem jakąś wenecką serenadę śpiewaną głosem fałszywym i zmęczonym.

Biało ubrana kobieta wychyliła się z balkonu, widocznie nie rozumiejąc, co to znaczy? Lecz poznawszy guwenera, krzyknęła:

— Stary błazen!...

Trubadur umilkł i szybko skrył się w cieniu balkonu. W sąsiednich kłębach rozległ się ogromny śmiech.

— Cha! cha! cha!... śmiało się kilkanaście różnych głosów, nad którymi górował zanoszący się dyszkant panicza. Cha! cha! cha!...

Już panna Fifi cofnęła się z balkonu, a guwerner znikł, jakby wpadł pod ziemię, a oni jeszcze śmieli się sopranami, tenorami i dyszkantem. Aż śpiący na gałęzi, obudził się ptak i przestraszony, najeżywszy pióra, zaświergotał.

Potem śmiech zamienił się w wesołą rozmowę, potem wielokrotnie powtórzono słówko: dobranoc!— i nareszcie wszystko umilkło. Zbudzony ptak mocniej objął palcami gałązkę i znowu zasnął. I śniło mu się w główce schowanej pod skrzydło, że jest, jak niegdyś, małym ptaszkiem i że śpi w gnieździe, otulony gorącą piersią matki.

Było już po północy. Księżyc dosięgnął zenitu, a nad balkonem, pod którym guwerner śpiewał serenadę, stał obłok szczególnej formy. Zdawało mi się, że zamiast kłębów pary widzę olbrzymią mapę Francji, jaśniejącą blaskami.

Od tej nocy guwerner tak mnie unikał, że opuściłem wieś, nie mogąc spotkać go ani razu.

Później zapomniałem o nim. Lecz w kilka miesięcy, na nowy rok, otrzymałem z Paryża upominek w formie biletu z zabawnym rysunkiem.

Był tam mały, nagi chłopiec grający na gitarze, pod balkonem równie małej i nie lepiej ubranej dziewczynki.

Na odwrotnej stronie, u dołu, przeczytałem nazwisko: François X...

Domyśliłem się, że stary guwerner nareszcie wrócił do Francji. Serenada była ostatniem nieszczęściem, jakie sprowadził na niego księżyc w pełni.

MILKNAĆCE GŁOSY.

Wróciwszy cało z piątej kampanii w życiu, pułkownik w końcu roku 1871 wziął dymisyę i osiadł w Lyonie. Liczył sobie dopiero 65 lat i wyglądał tak czerstwo, że przyjaciele namawiali go, aby się ożenił. Ale pułkownik nie chciał się żenić. Mówił, że wprawdzie ma jeszcze mocne nogi, lecz że go już znudziła adwokacka Francja, więc myśli wrócić do swoich. Z babą, zaś miałby w drodze dużo kłopotu.

Chciał jechać natychmiast; zaczął nawet szukać kupca na swój domek z ogródkiem. Tymczasem przybyło do Lyonu trzech rodaków i kolegów pułkownika z najpierwszej kampanii. Starzy odnaleźli się łatwo, jeszcze łatwiej odnowili znajomość i odtąd chodzili sobie we czterech. Chcąc pić razem czarną kawę w polskiej kawiarence, musieli razem jadać obiad w jednej restauracyi. Potem każdy mógł iść, gdzie go oczy poniosą, byle wieczorem stanął na czas do wista. Ponieważ jednak trafiały się spóźnienia, więc dla porządku, pilnowali się wzajemnie i — cały dzień chodzili razem, czasami po dwóch, czasem gęsiego, a zwykle rzędem.

Głównem zajęciem ich była rozmowa o dawnych kampaniach i o polityce bieżącej. W ciągu roku starzy odkryli wszystkie błędy Kossuta, Mac-Mahona, Bazaina i dawniejszych wodzów. W roku zaś następnym poukładali tak szczęśliwie plany wojen, że gdyby je wykonano, świat wyglądałby całkiem inaczej niż obecnie.

W trzecim roku jeden z nich umarł. Opłakali go jak brata, lecz w miesiąc po pogrzebie zadecydowali, że w polityce nieboszczyka tkwił wielki błąd: bo Bismarck, choć Niemiec, jest jednak genialnym człowiekiem i nie wiadomo, na co się jeszcze może przydać.

W czwartym roku umarł im drugi kamrat, całkiem niespodzianie. Pułkownik aż położył się do łóżka ze zmartwienia i od tej pory, % pozostałym kolegą nie grywał w wista, tylko w maryasza. Starzy mniej teraz rozmawiali ze sobą, ale za to czytali więcej gazet. Rozejrzawszy się zaś i skombinowawszy to, co pisały dzienniki angielskie, z tem, co niekiedy bywało w niemieckich., doszli do wniosku, że Bismarck wcale nie jest taki zły, jak się wydaje, lecz musi być ostrożny...

— W polityce, kochany kapitanie, mówił pułkownik - najpierwszą cnotą jest ostrożność. To rzecz daremna!...

— Zawsze byłem tego zdania, kochany pułkowniku, - odparł kapitan. - I nawet, jeżeli sobie przypominasz, często broniłem Bismareka...

— No - częściej mówiłeś, że to gałgan.

— Ja pułkowniku?... To nieboszczyk Kudelski. a głównie Domejko, Panie świeć ich duszy!...

Potem dodał:

— Prawda, że dobrzy z nich oficerowie, ale - do polityki żaden nie miał głowy, choć obaj są już na boskim sądzie.

Nareszcie pewnej zimy umarł i kapitan.

Pułkownik na razie nie okazał żalu; zajął się pogrzebem i sprawił taki, jaki należał się oficerowi dwóch armii. Nie uronił ani jednej łzy; ale gdy nad grobem rozległy się salwy piechoty żegnającej kolegę, starzec nagle zachwiał się i padł, jak gdyby wszystkie strzały skierowano w jego piersi.

Ledwie go otrzeźwili. Przez kilka minut odpoczywał, potem, bez niczyjej pomocy, wsiadł do fiakra i kazał się odwieść do domu.

Na drugi dzień w miejscowych dziennikach ukazało się ogłoszenie o sprzedaży domu pułkownika. Kupiec znalazł się prędko, a w tydzień później starzec gotował się do pożegnania gościnnej Francyi

na zawsze.

— Nie żal ci też pułkownikowi opuszczać nas? — spytał go rejent, u którego robiono akt sprzedaży.

— Żal i nie żal, — odparł starzec. — Żal — boście szlachetny naród i warto za was krew przelewać. A nie żal - bo się u was dużo zmieniło.. Gadacie tylko o handlu, pieniądzach, kuchni, zabawach...

Wróć ja lepiej do moich śniegów... Tam są inni ludzie, moi ludzie... Oni rozumieją mnie, ja ich. A tu, u was, jest mi już strasznie pusto...

Rejent pokiwał głową, ale widząc gorączkę starca, nie wdawał się w perswazyę. Zrozumiał on, że człowieka czasami porywa burza tęsknoty i niesie go jak liść, który, gdyby umiał myśleć, możeby i myślał, e wraca na swoje dawne drzewo i że znowu do niego przy rośnie.

Pułkownik udał się do Paryża, ułożył się o wypłacanie mu emerytury, przedstawił w ambasadzie swoje dokumenty i uzyskał paszport. Spotkał wielu przyjaciół, którzy namawiali go, ażeby odpoczął choć do lata. Ale napróżno. Starca, od chwili gdy powiedział sobie, iż wraca do kraju, ogarnął taki niepokój, że poprostu — nie mógł sobie znaleźć miejsca.

W rozmowie był nieuważny, w towarzystwie cierpki. Gdy dla rozerwania się wziął jaki dziennik, zdawało mu się, że jest drukowany po polsku. Wszędzie na coś czekał, jakby lada chwila miał ukazać się ktoś jeszcze nieznanym, ale - od dawna wyglądany. Na bulwarach, po nad tysiącem świateł i gwarnem mrowiskiem ludzi, widywał ciche równiny śniegiem pokryte, na horyzoncie czarne lasy, gdzieniegdzie małe domy ze słomianymi dachami, albo stare krzyże przy drogach.

Miał jakby dwie dusze. Jedną wywiózł z kraju, druga wyrosła w nim na obczyźnie i samowładnie rządziła przez lat czterdzieści kilka. Lecz nagle obudził się ów młody duch z całym zasobem wspomnień i pragnień. Było mu źle w Lyonie, źle w Paryżu, źle w teatrze, źle w pociągu. W dzień przeszkadzało myśleć, a w nocy — zdawało się pułkownikowi, że ktoś rzuca nim po łóżku, wygania go z pokoju, że w nim szłocha i krzyczy rozzwierającym głosem:

— Odwieź ranie tam, do moich!..

Starzec opuścił Paryż, z wieloma osobami nie pożegnawszy się nawet i dniem i nocą jechał do kraju. Wyprostowana figura i charakterystyczne ruchy zwróciły uwagę Niemców, którzy przypatrując się śniadej, suchej twarzy, jego podciętym białym wąsom i białej muszce na brodzie, odgadywali, że to musi być jakiś generał a bodaj czy nie marszałek francuski.

— Pewnie, jedzie z misją do Petersburga!... szeptali Niemcy.

A że starzec wciąż wyglądał oknem, domyślali się, że bada niemieckie koleje i — wróżyli wojnę na obu frontach.

Do granicy pociąg przyjechał nad ranem. Formalności paszportowe zabrały kilka godzin czasu. Jedni pasażerowie jedli, inni drzemali. Pułkownik nie mógł ani jeść, ani spać; wyszedł na spacer za stację.

Szedł wzdłuż toru drogi żelaznej, może wiorstę a może i dalej. Zaczęło świtać. Na wschodzie ukazał się jasny pasek, który stopniowo wzrastał, aż całe niebo przybrało barwę zielonego szkła, poplamionego szaremi, białymi i bladnoróżowymi obłokami.

Po dusznej atmosferze bufetu, chłodny wiatr orzeźwił starca, ale — nie uspokoił go. Pułkownikowi zdawało się, że gdy raz stanie na otwartym polu, na swoim polu, w jego piersi nie wytrzyma tęsknota; wyrwie się i gdzieś odleci, jak gołąb wypuszczony z klatki. Lecz stało się inaczej: zamiast ukojenia, uczył zdziwienie. Horyzont, niegdyś taki szeroki, wydał mu się ciasnym. Lasów nie widać, tylko tu i owdzie sterczą dymiące kominy fabryki. Nie widać ani chat, ani ogrodów przy nich, tylko posępne, ceglane domy na śnieżnych wydmach. Nawet wiatr, zamiast szumieć między gałązkami wierzby, tłukł się o nieskończenie długi szereg słupów, albo, w telegraficznych

dzwonekch płakał jak zabłąkana sierota.

To już nie ta ziemia, którą przed pół wiekiem opuścił!..

Na dworcu zadzwoniono. Pułkownik ledwie zdążył zająć miejsce w wagonie — i pociąg ruszył.

Przez całą drogę starzec rozglądał się, chcąc choć jakąś niejaką nitkę nawiązać między rzeczywistością i wspomnieniami. Daremna praca. Inny kraj leży na dnie duszy, inny przed oczyma. Chłopi bez sukman, żydzi bez lisich czapek, domy bez drzew, ziemia bez lasów. Nie był nawet pewny, czy ptaki nie straciły głosu.

Do Warszawy przyjechał już późno wieczór i umieścił się w drugorzędnym hotelu, który z pozoru przypominał dawne "zajazdy". Lecz i tu spotkało go rozczarowanie. Zamiast prostych sprzętów, obitych włosieniem albo skórą, jakie bywały za jego czasów, zastał modne meble, obrazy kobiet z półświatka, popsute elektryczne dzwonki i służbę w poplamionych frakach. Nie był to już stary "zajazd", ale zagraniczny hotelik w złym gatunku.

Przespawszy noc jako tako, pułkownik od rana wyszedł na miasto. Wziął dorożkę i kazał obwozić się po wszystkich znanych niegdyś ulicach. Niepojęte zmiany... Znikły wysokie, w białe i czerwone pasy malowane, słupy latarniowe, znikły dworki i rozległe ogrody a miejsce ich zajęły szeregi ogromnych kamienic, zbudowanych po większej części bez ładu i smaku. Nawet tam, gdzie za jego czasów polowano na dzikie kaczki, stało dziś miasto duże, ruchliwe, ale — jakieś inne...

Ludzi zupełnie nie poznawał, ani z ubiorów, ani z fizygnomii. Co dziwniejsza: chwilami raziło go to, że nie słyszy gwaru francuskich rozmów, do których przez pół wieku nawykło ucho!

Po tej przejażdżce uczył pustkę jeszcze większą niż we Francji i postanowił wejść w towarzystwo ludzi.

Miał tu znajomych, między różnymi osobami, które spotykał w Paryżu albo u wód.

Zanotował kilka nazwisk i poprosił hotelowego szwajcara o wyszukanie adresów. Na drugi dzień, przyniesiono mu tylko jeden adres, człowieka dość majątnego, z którym przed dziesięcioma laty poznał się w Vichy.

Pułkownik natychmiast udał się do niego i szczęściem zastał w domu.

Gospodarz na razie nie poznał go, a poznawszy, zmieszał się. Gorączkowo ściskając gościa, troskliwie począł go wypytywać: czy nie miał kłopotów z paszportem? a gdy uspokoił się co do tej kwestyi, zapytał: jak też długo myśli bawić w Waszawie?

— Chciałbym tu osiedlić się, o ile, naturalnie, uda mi się zawiązać stosunki — odparł pułkownik.

— O!... stosunki u nas zawiązują się łatwo. Znajdzie tu pan może nawet i swego kolegę...

— Któż to?... — przerwał mu prędko starzec.

— Jest to także były oficer francuski. Biedaczysko!... przyjechał bez grosza i ledwo znalazł jakąś lichą posadę... Dziś nie może odżałować, że opuścił Francję. Och!... u nas bardzo trudno o zajęcie, tysiące młodzieży szuka go napróżno...

— No — ja tego nie potrzebuję — odparł gość, śmiejąc się pierwszy raz od paru miesięcy. Mam trochę gotówki i emeryturę pułkownika.

Uśmiech tak widać ozdobił marsowatą twarz starca, że gospodarz, poprzednio dość chłodny, nagle wpadł w entuzjazm. Porwał gościa w objęcia, kilkanaście razy nazwał go pułkownikiem, przypomniał mu mnóstwo przyjemnych chwil spędzonych razem w Vichy, przedstawił mu całą swoją rodzinę i zaklinał na wszystkie świętości, ażeby raczył uważać ten dom jak własny i ażeby jutro wieczorem zaszczyił go swoją wizytą.

— Będzie u nas parę osób — mówił zachwycony gospodarz — które z przyjemnością złożą hołd bohaterowi...

— Emerytowi!... — poprawił go pułkownik. Pomimo tak szczególnego przyjęcia, pułkownik

przyszedł na wieczór. W przedpokoju przyjął go sam gospodarz, ledwie nie zdjął mu kaloszy i z wielkim szumem wprowadził do salonu.

Był to wieczór tańczący, więc starzec znalazł od razu kilkadziesiąt osób. Porobił prędko znajomości z damami, z których jedna zapewniała go, że pamięta kampanię włoską, choć mogła znać na palcach węgierską, — druga dziwiła się, że opuścił "ten piękny Paryż" a najmłodsza zapytała nieśmiało: czy pan pułkownik nie tańczy już nawet kadryla?...

Ponieważ przeszło siedmdziesięcioletni weteran, już nie tańczył, więc, gdy odezwała się muzyka, pomimo całego szacunku — zapomniała o nim. Żołnierz z pod Solferino i Gravelotte, musiał ustąpić bohaterom walca i kontredansa, tak samo jak we Francji.

Wyszedł do dalszych salonów; tam grano w karty. Gościnnie gospodarz ofiarował się w tej chwili zebrać mu towarzystwo do wista z dwu radców i jednego prezesa; ale starzec podziękował, może przez pamięć dla swoich ostatnich kolegów od wista.

Więc i tu przestano się nim zajmować, z czego pułkownik był kontent, mogąc przypatrzeć się ludziom.

Przysłuchiwał się rozmowom. W jednym kącie mówiono o karnawale, w drugim o giełdowych kursach, w trzecim o płci pięknej, w czwartym o polityce, a mianowicie o tem, że nas niemcy nieodwołalnie zjedzą.

Do tej grupy przyłączył się pułkownik, ale rozmawiał nie długo. Przechodząc od kwestyi do kwestyi, usłyszał w końcu, że realna polityka powinna traktować wojnę jak interes przemysłowy i że tylko taki szarlatan, jak Napoleon III mógł wojować za cudze sprawy, dla idei.

Toż samo niejednokrotnie słyszał we Francji — pocóż więc ją opuścił?...

Starzec cichaczem wymknął się z balu i wrócił do swego zajazdu. Położywszy się do łóżka począł marzyć, trochę we śnie, trochę na jawie. Gdy znużony tracił chwilami świadomość, zdawało mu się, że przestał być człowiekiem, lecz, że jest krzyżem na zapadającym się grobie, w którym spoczęli jego dawni kamraci. Gdy zaś ocknął się, szeptał:

— Po com ja tu wrócił?...

I uczył tęsknotę za Francją.

Na drugi dzień przypadała niedziela. Starzec wstał późno i ubierał się powoli, namyślając się, kiedy wracać do Francji: dziś czy jutro?... Tu był już obcym dla wszystkich i wszyscy dla niego.

Miał numer na dole. Gdy około dziesiątej podniósł roletę, spostrzegł, że przed jego oknem, chodzi, tam i napowrót, jakiś ubogi odziany człowiek z małym chłopcem.

Był silny mróz, więc ubogi człowiek, dla rozgrzania się, tupał nogami w chodnik, uderzał się w ramiona, albo rozcierał zsiniałe z zimna ręce dziecka, które miało nieco przydługiego surduta, słomiany kapelusz, nieobtarty nos i uszy podwiązane brudną chustką.

Ponieważ, chodzący po podwórzu często spoglądał w okno pułkownika, starzec zwrócił na niego uwagę i spytał kelnera: co za jeden jest ten człowiek?

Kelner uśmiechnął się i odparł:

— To szewc!... Mieszka tu u nas pod strychem i chce swojemu chłopcu pokazać pana pułkownika...

— Mnie pokazać?... A skądże on wie, kto ja jestem?...

— Dowiedział się od służby...

Starzec zamyślił się, a tymczasem ubogi człowiek wciąż dreptał za jego oknem, albo rozcierał zmarznięte ręczyny dziecku.

Pułkownik miał iść na śniadanie do miasta. Ubrał się więc spieszniej i, zaciekawiony, wyszedł na podwórze.

Na jego widok człowiek z dzieckiem stanął jak wryty. Wykręcił czapkę na bakier, zmarszczył brwi, wyprężył się i zacisnął pięści, co wyglądało tak, jak gdyby chciał rzucić się na pułkownika, ale według jego pojęć znaczyło oddanie honorów.

Ponieważ jego syn chuchał sobie przez ten czas w rękę, więc, dla rozbudzenia uwagi, uderzył chłopca pięścią w kark, a sam wciąż patrzył na starca jak na wilka, myśląc, że postępuje według najściślejszych reguł wojskowej etykiety.

Starzec — zatrzymał się. Chciał coś przemówić do ubogo ubranego człowieka, ale brakło mu wyrazów, a przytem — było na podwórzu trochę ludzi. Więc tylko spojrzeli sobie w oczy, i pułkownik zwolna poszedł w stronę ulicy.

Wtedy szewc odezwał się do dziecka:

— Wojtuś!...

— Abo co?

— Będziesz hyclu taki?...

— Co nie mara być, oj! jej!... — odparło dziecko z zawałanym nosem.

— Pamiętaj, żebyś był, bobym ci zęby powybił, choć urośniesz!...

Tymczasem pułkownik poszedł na śniadanie, ale — jadł niewiele, bo śpieszył się. Potem wybiegł do miasta i wkrótce — wynajął sobie prywatne mieszkanie.

Brzydkie kamienice i nowi ludzie już go nie razili. A gdy wypadkiem mijał ulicę Karową i z niej spojrzał na Wisłę, zobaczył znowu taki rozległy horyzont jak niegdyś, takie same lasy i uczuł ten orzeźwiający powiew, którego mu brakowało przez pół wieku.

— Zostanę tu! — pomyślał.

STARA BAJKA.

Kiedy ś. p. sędzia Furdasiński przeniósł się tam, gdzie, wedle słów proboszcza, miał pobierać wiekuiście czynsze z kapitału swoich cnót i zasług, na Furdasówce nie było ani grosza długu.

Nie podobało się to jednak synowi i dziedzicowi zmarłego, który zawsze mawiał, że w tych czasach tylko żydzi i mechesy nie mają długów — i — hipoteka zaczęła się obciążać.

Zresztą młody pan Furdasiński był poczciwy chłopak. Wstawał o szóstej i, jako rolnik z krwi i kości, hasał konno po polach do ósmej. Nieraz w tych wycieczkach upatrzył sobie ładną dziewczynę, której w najbliższe święto kupował gorset i chustkę, a nawet czasem, po upływie roku, dawał jej krowę i paręset złotych gotówką.

O ósmej pił śniadanie, potem uczył swego szpaka gadać lub gwizdać, koło południa jadł drugie śniadanie, po śniadaniu trochę drzemał, o czwartej spożywał obiad, a po obiedzie, albo znowu uczył szpaka i rozmawiał z ekonomem, albo jechał do sąsiadów na partyjkę. Regularny tryb życia łamał się parę razy na rok, mianowicie w czasie karnawału i w czasie wyścigów; wtedy bowiem pan Furdasiński zabierał karetę, cztery konie, furmana, lokaja i chłopca i jechał na cały miesiąc do Warszawy.

Niekiedy po upływie miesiąca dwór sam wracał na wieś. Był to znak, że pan Furdasiński udaje się za granicę.

Marszałek Mazajło-Skrobejko, najbliższy sąsiad, który miał trzy dorosłe córki, przez przyjaźń dla ś. p. sędziego często upominał dziedzica, radząc mu, aby się jaknajrychlej żenił.

— Myślę o tem — odparł pan Furdasiński. — Właśnie kupiłem meble.

Marszałek spojrział z pod oka na fotele obite amarantowym aksamitem i na fortepian Beehsteina, okryty warstwą kurzu i rzekł:

— No tak, meble!... Ale niepotrzebnie karmisz tyle służby w domu.

— A cóż, mam ich wygnąć? Przecież na nas, na obywatelstwie ciąży obowiązek dostarczania ludziem pracy, ażeby nie kradli.

— Te wędrówki do Paryża także na nic — mówił marszałek.

— Co też marszałek baje! Cóżbym ja był 7. a polak, żebym choć raz na kilka lat nie zajrzał do Paryża?... Paryż to jak Warszawa i Kraków.

— Wiedeńska wystawa także zjadła sporo grosza...

— Obywatel u nas nie może być tylko rolnikiem — odpowiadał pan Furdasiński. — Musimy badać przemysł.

— No, ale Monaco...

— Wszystko na świecie trzeba poznać! — przerwał mu młody dziedzic i zbliżywszy się do okna, w którym wisiała klatka ze szpakiem, zagwizdał walca Straussa.

Pojętny ptak pochwycił natychmiast melodye, lecz urwawszy ją w połowie, odśpiewał kilka taktów "Rachelo kiedy Pan"... a zakończył "Gdyby rannym słońkiem".

Ponieważ młody dziedzic nie zmieniał trybu życia, więc majątek topniał z godną podziwu szybkością. Nawet marszałek stracił serce do syna swego przyjaciela i oświadczył publicznie, że nigdy nie miał zamiaru przyjąć go za swego zięcia, a jeżeli wstępował do Furdasówki, to tylko przez pamięć dla ś. p. sędziego. Przytem robił coraz surowsze wymówki młodemu panu i co kilka zdań powtarzał:

— Dyabli wzięli Furdasówkę!...

Przyszła nareszcie chwila, że pan Furdasiński nie obsiał pól, nie zapłacił procentów

wierzycielom, ani rat w Towarzystwie kredytowem. Cugowe konie schudły, służba rozbiegła się, sąsiedzi zerwali stosunki, a młody dziedzic — nie miał mięsa na obiad.

Otyły marszałek usłyszawszy o tem, dostał małego ataku apopleksyi. Tydzień leżał w łóżku, wreszcie pojechał do pana Furdasińskiego z ostatnią wizytą.

Właśnie dziedzic uczył swego szpaka ani "*La donna e mobile*", kiedy zasapany marszałek wbiegł do salonu i rzuciwszy się na kanapę zaczął:

— Cóż to, subhastują cię?...

— Podobno.

Marszałek wzruszył ramionami i podniósł oczy do nieba.

— A ileż ci zostanie w majątku, jeżeli wolno spytać?... — rzekł.

— Ze dwadzieścia tysięcy rubli...

— Te te te!... Towarzystwa masz dziesięć tysięcy. Długów hipotecznych...

— Parę tysięcy rubli.

— Parę?... — spytał oburzony marszałek. — Jest przeszło piętnaście tysięcy rubli zapisanych... A rewersy?

— No, tych śmieci będzie może na kilkaset rubli.

— Kilkaset? — krzyknął marszałek. — Wszyscy żydzi lamentują, żeś bankrut i że im nie zapłacisz!... Posłuchaj — dodał, usiłując zapanować nad sobą. — Przez pamięć dla ś. p. ojca obrachowałem twoje długi i wartość majątku, nie wyłączając powozów i mebli. Otóż mówię ci — nie masz nie!... Grosza stąd nie wyniesiesz, jeszcze ci masa długów zostanie, bo za te grunta dadzą najwyżej po dwa tysiące rubli za włókę... Czeka cię nędza...

— Wszystko na świecie trzeba poznać! — odrzekł spokojnie pan Furdasinski.

Marszałek podniósł się z łoskotem.

— Władku — rzekł — czy przez pamięć dla twego ś. p. ojca mogę co zrobić dla ciebie?

— Owszem — odpowiedział. — Może pan zechce przyjąć odemnie na pamiątkę ten fortepian. Pyszny!... koncertowy Bechsztajn, ani razu na nim nie grałem...

Twarz marszałka zrobiła się fioletową. Zacisnął pięści i wrzasnął:

— Smar... Smaku nie masz acan

Wybiegł z pokoju, a za chwilę przyszedł furman po czapkę, której wzburzony pan zapomniał.

Od tej chwili aż do dnia licytacji pan Furdasinski był już sam, jak palec. Nie tracąc jednak humoru, chodził po pokoju i palił fajkę, a jego szpak gwizdał kawałki rozmaitych melodyj, albo wołał:

— Dyabli wzięli Furdasówkę!...

Pan Furdasiński oburzył się.

— Wołaj — rzekł do szpaka — ośle jakiś, to, czegom ja cię uczył: złodzieje! żydy!...

— Dyabli wzięli Furdasówkę.... — odpowiedział szpak, pilnie przypatrując się swemu panu. Był pewien, że mówi dobrze.

Licytacja majątku przyniosła cały szereg niespodzianek. Naprzód majątek poszedł nie po 2000, ale po 2500 rubli włóka, skutkiem czego, dołączywszy sprzedaż mebli i zbytecznej garderoby, pan Furdasiński nie tylko co do grosza spłacił najmniejsze nawet długi, ale jeszcze sam wziął do ręki około tysiąca rubli gotówką. Powtóre majątek kupił chłop z tej samej wsi, Kuba Grzyb, i od razu na stół położył 38. 000 rs.

Widząc, że chłop z siwymi włosami, nastroszonymi jak szopa, wydobywa z kobielei sturublowe bankocetle, pan Furdasiński odezwał się:

— I wy, Kubo, naprawdę kupujecie folwark? Stary zdjął czapkę i pochylił mu się do nóg.

— Patrzyłby mi się — rzekł — folwerek choćby za pięćdziesiąt tysięcy, bo mam kupę hołoty, ale, za pozwoleniem jaśnie pana, wezmę i len, bo zawdyk lepi coby się swoje zostało przy swoich. Nowe pomiary to ta będą jeszcze nieprędko, więc trza kupić, kiej się nadarza okazyja.

— I sami będziecie gospodarowali?... — spytał pan Furdasiński.

— Stary znowu schylił mu się do kolan, aż siwemi lokami dotknął ziemi.

— A bo ja głupi, jaśnie panie — odparł — rwać się do tego, czemu jaśnie pan nie wydołał?... Ja tam, już do wezwania boskiego zostano chłopem, a na ten folwerek sprowadzam se wokumona aż z pod Kalisza, tego Bydgoskiego, co go jeszcze jaśnie wociec za czasu pańszczyzny miał pisarzem prowentowym.

— A cóż to bliżej nie mieliście kogo?

— Dopraszam się łaski jaśnie pana, to było tak — mówił chłop. — Jak ino żydy wzięły gadać, co Furdasówkę zlicytują, to zaraz mój najstarszy zakładał se, żeby jaśnie pana uprosić na rządcego...

— No, ja nie... — przerwał Furdasiński rumieniąc się.

— Właśnie też tak rzekła moja baba, że jaśnie panu nijako być u chłopu w obowiązku, a jeszcze ja se pomyślałem, że kiedy on nieboże na swoim nie mógł wydołać, to mu na cudzem będzie gorzej...

Pan Furdasiński zaczął przestępował z nogi na

— Więc wtedy — mówił chłop — rzekłem: bast! i zaraz se pomyślałem o Bydłoskim.

— Żeście o nim nie zapomnieli? — wtrącił były dziedzic — boć on u nas nie mieszka już ze dwadzieścia lat.

— U, ja jego dobrze pamiętam — rzekł chłop — bo on przecie nas bijał. I tak było, że raz jaśnie wociec kazał nam kilku wyasygnować po dziesięć witek za to, żeśmy trochę zaniedbali sianokos.

I kiedy na mnie przyszła kolej, Bydłowski prawi: naści chłopie dziesięć letkich witek za pańskie siano, co zgniło. A tera, ino se wciąż ligaj, dołożę ci piętnaście mocnych, za twoje zgnite siano. Ha! mówię, panie pisarzu, co prawda, to prawda, zepsułem se siano przez jarmark. A on jak mi nie sypnie... Aż, z przeproszeniem jaśnie pana, w nosie mnie zakręciło...

Zara se wtedy zmiarkowałem, że to człek sprawiedliwy — kończył chłop. — I rzekłem teraz do baby: Bydłowski będzie u nas gospodarował, bo już wtedy on dbał o nasze, kiedyśmy jeszcze sami nie dbali...

Wysłuchawszy z oznakami niecierpliwości rozwlekłej mowy chłopu, pan Furdasiński cofnął się do dworu. Chodził po pokoju, dumając i paląc fajkę, a szpak od czasu do czasu wrzeszczał:

— Dyabli wzięli Furdasówkę!...

Pan Furdasiński z początku tylko chrząkał a w końcu gniewnie zawołał:

— Dobrze zrobili, że wzięli!

Istotnie czuł tu jakąś duszność, może dlatego, że właśnie zbliżała się pora letnich wycieczek, a może z innych powodów.

Nad wieczorem zobaczył przez okno nastroszona, siwizną Grzyba.

Stary chłop cierpliwie stał przed gankiem, trzymając czapkę w rękę. Pan Furdasiński prędko wyszedł do niego.

— A czego to chcecie, Kubo? — spytał. Chłopu trzęsła się głowa. Nagle podbiegł do byłego dziedzica i objął go za nogi.

— Ostańcie z nami, jaśnie panie — mówił stary. — Chleba nam tu nie zabraknie, a pud woru oddam wam do śmierci.

Pana Furdasińskiego tak zamdliło w sercu, jakby przed śniadaniem. Zaczął mrugać, ale cofnął się do ganku i odparł:

— Nie mogę... Nie wypada...

— Zaznacie wiele biedy na świecie — mówił stary.

— Wszystko trzeba poznać...

Stary podbiegł ku wrotom i machając czapką, wołał:

— Dzieci, żono a chodźta zwawo, bo ranie nie słucha!...

Wtedy przed ganek wypadła gromada starszych i młodszych chłopów i kobiet, wielkim głosem zaklinając jaśnie pana, ażeby został.

Rzewnie zapłakał pan Furdasiński, ale zarazem oświadczył, że jeszcze dziś chce jechać do kolei.

— Chowajcie mi tu szpaka — prosił — dopóki miejsca nie znajdę.. Potem go odeszlecie...

Grzyb poznał, że pan zaciął się.

— Ha! — rzekł — kiedy tak, to jedźcie, jaśnie panie. Ale, jeżeli wam bieda dokuczy, jak Bóg w niebie, dajcie mi znać. Zawdyk my, choć chłopci, wam najbliżsi...

Gdy zeszły na niebie gwiazdy, najstarszy syn Grzyba zajechał przededwór porządnym wasągiem.

Pan Furdasiński wyniósł nieduży tłumoczek i z zapalonem cygarem siadł na wóz. Szpak zbudzony światłem ocknął się i krzyknął:

— Dyabli wzięli Furdasówkę!...

Małe lecz silne koniki w parcianej uprzęży ruszyły z miejsca. Pana nie miał już kto żegnać, tylko głodne od paru dni psy podwórzowe, skamłając, podskakiwały do wozu; lecz od gościńca wróciły znowu do dworu, pilnować reszty dobytku. Myślały, że i dzisiaj ich pan wyjechał tylko na partyjkę w sąsiedztwo...

Szlachcic siedział ostro na wozie, w sławuckiej burce, w granatowej czapce z daszkiem na bakier, czerstwy, wyprostowany. Czasami, gdy wyrżał na drogę, która ginęła we mgle nocnej, chwycił go za gardło jakby strach i żal. Ale wtedy mocno odchrząknął, głębiej zaciągnął się dymem cygara i mruczał:

— Wszystko na świecie trzeba poznać.

W Warszawie stanął w Europejskim hotelu, sprawił nowy garnitur i starał się odświeżyć zeszloroczne znajomości. Spostrzegłszy jednak po tygodniu, że wydał kilkaset rubli i stracił serca swoich wyniósł się do hotelu Saskiego. Po paru tygodniach wyprowadził się na Dziekanę, a stamtąd aż na Nowolipki, widząc z przerażeniem, że pieniądze uciekają, mu jak woda ze spaczoney konewki.

Dużo też myślał o przyszłości. Z początku miał zamiar ożenić się z córką jakiego milionera, kupić parę domów i — mieszkać za granica. Potem zdecydował się przyjąć jakąś posadę, choćby dyrektora kolei albo cukrowni. Lecz w tydzień później już zdziwiłby się, gdyby kto chciał utrzymywać, że jemu, Furdasińskieruu, żadną miarą nie wypada zostać plenipotentem lub rządcą jakiego majątku. Zaś w kilka dni zgodziłby się i na posadę kasyera lub sekretarza przy jakiejś miejskiej instytucji.

W końcu, z resztek pieniędzy zostało mu niecałe trzysta rubli. Mieszkał już w brudnym zajeździe na Nowolipkach, jadał pięćdziesięciogroszowe obiady i odłożył dwa ostatnie sturublowe banknoty do oddzielnego przedziału w pugilaresie, przysięgając, że tych nie wyda.

Jednocześnie dał do *Kuryera* ogłoszenie "o obywatelu ziemskim w sile wieku i kawalerze, który posiada kaucyę i poszukuje odpowiedniego zajęcia" i — pilnie zaczął śledzić część dzienników zatytułowaną: "posady i prace".

Gdy, oprócz dwu owych sturublowek na kaucyę, miał niecałe dziesięć rubli majątku, wpadło mu w oczy ogłoszenie:

"Do biura informacyi potrzebny inkasent z kaucyą. Pierwszeństwo mają kawalerowie, znający prowincye".

Pan Furdasiński zarumienił się z radości. Była to posada widocznie dla niego, gdyż jakkolwiek

nie wiedział dobrze, co znaczy inkasent? lecz był kawalerem i znał prowincye... Ba! znał Paryż...

Ponieważ ogłoszenie to przeczytał będąc w cukierni; więc kazał zaraz podać, zamiast czystej herbaty, filiżankę kawy i kieliszek *abricotiny*; wypił to duszkiem i pobiegł pod wskazany adres. Idąc, kupił jeszcze cygar po 20 kopiejek, ale tylko pięć sztuk, dla oszczędności.

W kantorze znalazł parę czarno lakierowanych stołów, na których leżały stosy aktów, kasę ogniotrwałą i obok niej, na ścianie, kilka pęków kartek zapisanych liczbami. Wszystkiego pilnował człowiek, który siedząc na fotelu skórą obitym, czyścił sobie paznogie.

Na widok pana Furdasińskiego, człowiek z kantoru zerwał się na równe nogi. Był to jegomość dziwnie ruchliwy, z nadzwyczaj bystrej oczyma, źle uczesany, niedbale ubrany, ale bardzo grzeczny.

— Czem szanownemu panu mogę służyć? — zapytał, nisko kłaniając się i podsuwając panu Furdasińskiemu fotel, jedyny sprzęt, na którym można było usiąść.

Szlachcic zmięszął się i rzekł prawie pokornie, choć chciał nadrobić miną:

— Czytałem ogłoszenie o... tym inkasencie...

— Ach! tak — przerwał gospodarz i prędko usiadłszy na fotelu, zaczął znowu skrobać paznogie. Po chwili zaś, z pod oka patrząc na suplikanta, zaczął pytać:

— Jakie pan ma kwalifikacyi?

— Miałem wieś Furdasówkę...

— Fiu! — gwiznął gospodarz. — Ale ja się pytam o kwalifikacje naukowe?

— Byłem w gimnazyum... Także za granicą... Umieć nieźle mówię po francusku — dodał nieco głośniejszym głosem pan Furdasiński.

— Fiu!... a jaką kaucyę pan ma?

— Dwieście rubli...

— Mało. U mnie panie robią się interesy na setki tysięcy rubli. Można mieć duże dochody, ale — potrzeba złożyć kaucyę. Nieraz będziesz pan musiał podnieść z banku jakieś kilkanaście tysięcy... Muszę mieć pewność.

Pan Furdasiński, znękany przez widmo nadciągającej biedy, stał jak uczeń na egzaminie.

— Widzi pan -rzekł zawstydzony — chwilowo nie mogę...

— Aha!... no!... — przerwał właściciel kantoru. — Pańskie szczęście, że mi się podobasz. Siadaj więc i napisz swoje *curriculum vitae*, wymieniając osoby, które pana znają. Ale poważne osoby!...

Wstał z fotelu i przysunął niedbale panu Furdasińskiemu papier i kałamarz, w którym atrament zgęstniał jak smoła, zapewne z ciągłego użycia.

— Ale, ale — dodał — ja teraz muszę odnieść pewną sumę do banku handlowego i na półgodziny zostawię kantor pod pańską opieką. Woźny ma dziś pogrzeb...

Otworzył z ogromnym trzaskiem kasę ogniotrwałą i począł z niej wydobywać koperty, napełnione różnokolorowemi wartościami, mrużąc:

— Bank polski 3, 000... jutro o dziesiątej... Bank dyskontowy 2, 800 jutro... O! jest bank handlowy...

Nagie zwrócił się do pana Furdasińskiego.

— Nie możesz mi pan zmienić 250 guldenów na ruble?

— A ileż to trzeba? — odparł zapytany gryząc pióro.

— Dwieście rubli z czemś... Zresztą daj pan tym czasem dwieście.

Pan Furdasiński wydobył dwie ostatnie tęczówki, a właściciel kantoru, odwróciwszy się do kasy, liczył guldeny.

— Pięćdziesiąt... sto... sto pięćdziesiąt... Zmienisz pan to u wekslarza obok. Ale... A po ile pan

weźmiesz za guldena? — rzekł nagle. — I lekko wysunawszy z ręki panu Furdasińskiemu sturublówki, z szybkością magika schował je do swej koperty.

— Czy ja wiem, ile mi dadzą — odparł pan Furdasiński.

— Wyborny inkasent! — zaśmiał się właściciel kantom. — Tym sposobem straciłbyś pan pół kopiejki na rublu, czyli rubla, na dwusta — i — po kilku podobnych operacjach stopniałaby kaucya. Bo ja za pańskie omyłki płacić nie mysie.

No — dodał — ale na pierwszy raz mniejsza o to. Sam, jak będę wracał, wymienię panu u wekslarza guldeny. Teraz niech pan szybko pisze swoje *curriculum vitae*, a gdyby przyszedł jakiś interesant, proszę powiedzieć, że wrócę z banku dopiero za pół godziny.

Zamknął kasę, ogromną kopertę wziął pod pachę i wybiegł.

Pan Furdasiński zaczął pisać:

"Urodziłem się w Furdasówce... "

Przekreślił i zaczął na nowo:

"Przyszedłem na świat w majątku dziedzicznym Furdasówka... "

I Więcej nie umiał dodać ani wyrazu. Wziął więc pióro w zęby i zamyślony oparł głowę na rękach.

W tej chwili gwałtownie otworzyły się drzwi.

— Ha! mam cię oszuzcie'....

Pan Furdasinski zerwał się na równe nogi i stanął oko w oko z jakimś zaperzonym człowiekiem, który trzymał potężny kij w garści, widocznie gotując się do zadania nim ciosu.

Obaj panowie patrzyli na siebie przez kilka sekund zdziwieni.

— Przepraszam! — bąknął gwałtowny przybysz — ale... Gdzie jest ten oszust?...

— Jaki oszust?!..

— Ten... ten dyrektor kantoru,.. Dyrektor!... Hultaj, który kradnie uczciwym ludziom kaucye i fałszuje weksle...

— On kradnie kaucye? — spytał przerażony pan Furdasinski.

— Czy może i pana naciągnął? — spytał naodwrot, popędliwy nieznajomy.

— W tej chwili wziął odemnie dwieście rubli...

— Cha! cha!... zaśmiał się przybysz. — To on tu już nie wróci. Ale ja znajdę go w knajpie...

I wybiegł wywijając kijem w sposób znaczący.

Pan Furdasinski stał odurzony. Był już nędzarzem, miał niecałe dziesięć rubli... Nim jednak zdążył zebrać myśli, wbrew przewidywaniom człowieka z dużym kijem, ukazał się — właściciel kantoru. Uśmiechnięty, nucił coś pod nosem.

— Cóż *cvriculum vitae* skończone? — zapytał pana Furdasińskiego. — Musisz pan zaraz objąć swoje obowiązki i posiedzieć tu do trzeciej, gdyż wypadł mi nagły interes do hipoteki.

— A moje dwieście rubli? — rzekł ostro pan Furdasiński.

— Pójdą na kaucyę — odparł najspokojniej dyrektor kantoru. •

— Bóg zapłać! — odparł pan Furdasiński. — Był tu dopiero ktoś u pana także po kaucyę... Szuka pana po całym mieście i nazywa oszustem... Oddaj mi pan moje dwieście rubli, to ostatni grosz...

Dyrektor oburzył się.

— Słowo honoru daję, że to jakiś intrygant chce mi oficjalistę zbałamucić. Ale nie wierz pan tym plotkom!... Słowo honoru...

— Żądani moich dwustu rubli — mówił do głębi wstrząśnięty pan Furdasiński. — Jeżeli mi nie oddasz zawołam policji...

Dyrektor odrazu zmienił ton.

— Fiu! kochanku — zawołał — toś i ty taki dobry jak inni. Masz niby to poczciwą minę, a grozisz policyja?... A gdzie dowód, żeś mi dał pieniądze?... Jeżeli ja jestem łotrem, który nie zasługuje na ufność, to trzeba mieć kwit...

— Ja nie mówię, że panu nie ufam... — przerwał pan Furdasiński, łamiąc sobie palce w bezsilnym gniewie.

— A, jeżeli mi pan ufasz, więc oddam ci pieniądze za parę dni...

— Chcę, zaraz!...

— Nie ma głupich.

— Zrobię panu awanturę... pójdę do prokuratora!... — wołał pan Furdasiński, nie wiedząc już co mówi.

— Kochany panie — odparł dyrektor chłodno. — Mnie już robili awantury, nazywali oszustem, skarżyli... To dla mnie chleb codzienny. Alf. jeżeli ty chcesz awantury ze mną, więc dobrze. Nie oddam ci pieniędzy, dopóki nie pokażesz kwitu, żeś je wziął, a jak będziesz robił wrzaski, każę cię zaprowadzić do cyrkułu.

Panu Furdasińskiemu zaczęło mącić się w głowie. Dyrektor tymczasem usiadł na fotelu i, wydobywszy z kieszeni pilniczek, zaczął znowu skrobać paznogie.

Wszelako osobliwy ten kantor był domem niespodzianek. W tej bowiem chwili weszła tu sędziwa kobieta, z włosami białymi jak mleko i niezwykle piękną twarzą. Gdyby nie zaczerwione od płaczu powieki i usta drgające jakimś wielkim żalem, możnaby myśleć, że to nie osoba żyjąca, ale ubrany czarno posąg Nioby.

Staruszka ruchem pełnym godności skinęła głową panu Furdasińskiemu i szybko zbliżyła się do dyrektora, który zerwawszy się z fotelu stał zmięszany.

Dama, z trudnością hamując wybuch płaczu, mówiła do dyrektora:

— Coś ty znowu. robił, nieszczęsne dziecko?... Przed godziną wpadł do mnie jakiś awanturnik i lżył cię... tak straszniei wyrazami, że... zemdlalam z bólu...

I chwytając go za rękę. dodała błagalnym tonem:

— Gzy to może być prawda, dziecko, co on mówił?... Tu coś dzieje się, o czym ja muszę się dowiedzieć, chociaż... bodajbym pierwej była w grobie...

Płakała cicho, zasłaniając chustką usta; Dyrektor ze czcią posadził ją na fotelu i otarł pot, który mu wystąpił na czoło. Był prawie tak blady, jak staruszka. Zwrócił się na chwilę do pana Furdasińskiego i szepnął:

— Wyjdź pan stąd...

Pan Furdasiński nie ruszył się. Widmo nędzy zrobiło go brutalem.

Staruszka mówiła półgłosem:

— Tamten... awanturnik... twierdzi, żeś wziął od niego jakąś kaucyę... Krzyczał, żeś ty... o mój Boże!...

— Kochana mamó — odparł dyrektor — czy mama nie rozumie, że to są figle moich współzawodników?... Podkopują mi kredyt i burzą domowy spokój...

— Pokazywał mi twój kwit — szepnęła matka.

— No, wielka rzecz! Więc oddam mu pieniądze za pół roku, bo taki jest termin na zwrot kaucyi. Był to niesumienny oficyalista, którego musiałem oddalić.

— Oddajże mu dziś choć trochę. Dyrektor zawahał się.

— Zresztą — rzekł niecierpliwie — dam mu jakieś *a conto* w tych dniach.

— To może i mnie odda pan dwieście rubli? odezwał się pan Furdasiński.

Staruszka zatrzęsała się i, ze wstrętem odwracając głowę od nieznanego sobie człowieka, zapytała

gwałtownie syna;

— Dziecko, co to jest?... Go on mówi?...

Ale cyniczny właściciel kantoru tym razem milczał. Głowa zwisała mu na piersi i opadły ręce. Pan Furdasiński pochwycił:

— Ostatnie dwieście rubli wziął odemnie syn pani i mówi, że ich nie odda, bo... nie mam jego kwitu!...

Staruszcze łzy obeschły.

— Dziecko — zapytała — czy to prawda? Dyrektor ukradkiem rzucił groźne spojrzenie na pana Furdasińskiego, ale milczał. Był bardzo zmieniony.

Staruszka wstała z fotelu i głosem spokojnym a stanowczym, rzekła:

— Trzeba zaspokoić tego pana.

— Nie mam pieniędzy — szepnął syn.

— Więc daj mu rewers i płać ratami, ale spłać go... Spłać ich wszystkich, bo...

Nie dokończyła, i nie spojrzawszy na syna, wyszła z kantoru.

Była chwila ciszy. Przerwał ją dyrektor, chwytając gniewnie za papier i pióro. Napisał kwit i podał go panu Furdasińskiemu.

— Masz pan — rzekł — kwitną twoje dwieście rubli. Nikt ci nie da dziś za to ani grosza, ale ja go spłacę, po pięć rubli tygodniowo, począwszy od listopada. Teraz... sam nie mam nic...

Ale — dodał, topiąc w nim spojrzenie drapieżnego ptaka — domu pan nie nachodź... matki mi nie dręcz... Bo przysięgam ci, będziesz tego żałował!...

Wskazał mu drzwi i mruknął:

— Pierwsza rata w listopadzie...

Pan Furdasiński wyszedł odurzony. Nie wiedząc dlaczego był pewny swoich dwustu rubli, ale — w ratach tygodniowych i dopiero w listopadzie. Teraz, przy końcu września był nędzarzem.

Na myśl o tem ciarki go przeszły: nie tracąc jednak humoru, rzekł do siebie na cały głos:

— Wszystko na świecie trzeba poznać!...

Aż obejrzały się dwie idące przed nim ładne panienki.

Jeszcze kilka dni mieszkał na Nalewkach. Rano i wieczór pijał herbatę w swoim zajeździe, a na obiad kupował w mieście kilka bułek i serdelków. W tej epoce można go było spotkać w saskim ogrodzie, gdzie, chodząc po głównych alejach, z kwiatkiem w dziurce od guzika, napozór przypatrywał się swoim kolorowanym kamaszom i nucił kilka wyrazów z aryi "Łaski!" ale duszę miał pełną rozpaczy.

Jednego dnia gospodarz zajazdu podał mu rachunek. Należało się siedm rubli. Pan Furdasiński z miną Rotszylda zapłacił pięć rubli, a na dwa kazał zaczekać, gdyż obecnie nie ma drobnych. Żyd zgodził się bez trudności, wiedząc, że ma w swej mocy tłumoczek i paszport lokatora.

Pan Furdasiński wyszedł na miasto. Maszerował krokiem austriackiego porucznika; ustępując damom, wyginał się w sposób pełen wdzięku; obracał w rękę laseczkę jak Kupido. Ale w głowie nie mógł powiązać dwu myśli. Chwilami zdawało mu się, że tara już nic niema, tylko rozlegają się echa huczącego miasta. Czasami rzucał się nagle w bok, jakby chcąc gdzieś uciec, bo przywidziało mu się, że za nim chodzi wielki wstyd, przebrany za zwykłego człowieka.

On, który przed trzema miesiącami spłacił wierzycielom 38, 000 rubli, dziś niema czem spłacić dwu rubli za hotel!... Z całej ojcowskiej fortuny został mu tłumoczek w zastawie u żyda i — dwie dziesiątki gotówką.

Chcąc mieć jeszcze drobniejszą monetę, wszedł do sklepiku i rzekł:

— Chciałbym kupić bulkę... dla pieska... może mi pani wyda dwugroszniakami.

Sklepiarka, wydawszy mu pożądane dwugroszniaki, pomyślała, że elegant ten musi mieć dobro serce, bo gdy mówił o bułce, to się jakby zachłystnął, pewnie z wielkiej litości nad pieskiem.

Jedną noc przepędził spacerując po głównych ulicach miasta. W dzień drzemał parę godzin rozparty jak książkę na ławce w saskim ogrodzie, zjadł swoją bułkę i, z miną bardzo wspaniałą, kazał sobie podać kufel wody ze studni, ale — nic nie zapłacił. Drugą, noc przepędził również na spacerze a o wschodzie słońca zasnął tak twardo na ławę. w alejach jerozolimskich, że go ledwie obudził milicjant, śmiejąc się z tego: "co pan tak wiele wypił... "

Potem już stracił rachubę czasu, trapiła go bowiem senność i gorączka, przy której nawet zapomniał, że mu się jeść chce.

Chwilami, kiedy z zadartą głową, w pomiętym kapelusiku na bakier i z miną wielkiego zarozumialca, przechodził między tłumem ładnych kobiet i ludzi sytych, zajmujących legalne mieszkania, budziła się w nim świadomość losu. Wówczas zręcznie obracał między palcami czarną laseczkę, ozdobioną biustem gołej panny i mrucał:

— Wszystko na świecie trzeba poznać!... Nareszcie, pewnego wieczora, idąc Nowym Światem do placu Aleksandra, ażeby stamtąd wrócić Nowym Światem na Krakowskie Przedmieście, uczuł, że — trzeba umrzeć. Nie było to uczucie przykre, ale takie, jakiego człowiek doświadcza naówczas, kiedy nagle zechce mu się iść do teatru albo na spacer. W paroksyzmach gorączki zdawało mu się, że jest małym chłopcem i że, jako taki, tęskni już za swoją matką i ojcem.

Wymijając boczną ulicę usłyszał jakiś łoskot, dzwonienie i poświstywanie i — całkiem nieprzytomny, wyobrażał sobie, że to śmierć daje mu znać o sobie. Byłby nawet przysiągł, że jakieś głosy potężne i niecierpliwe wołają prędko:

— Tu jestem... Tu jestem... Tu jestem!.. Skręcił w lewo i biegł ulicą na dół, a nogi mu się plątały. Z granatowego nieba wychylały się do niego figlarne gwiazdy.

Nagle pociemniało ran w oczach, uderzył o coś głową i — już nic nie widział.

Był dzień kiedy się ocknął. Leżał na tapczanie w obszernej izbie, po której chodzili ludzie o surowych twarzach, z zawiniętymi rękawami, usmoleni jak kominiarze. Tapczan i ściany izby drżały, w powietrzu rozlegał się huk, dzwonienie, poświstywanie i hałaśliwe głosy, wołające:

— Tu jestem... Tu jestem...

Do pana Furdasińskiego zbliżył się mężczyzna nieusmolony i w surducie. Wziął go za puls, popatrzył bystro w oczy i kazał mu połknąć kieliszek lekarstwa, które wyglądało na bardzo mocną wódkę. .

Chory oprzytomniał, a wówczas surdutowy jegomość rzekł:

— Zdaje tui się, że pan Furdasiński?

— Tak.

— Pan byłeś w szkołach w Piotrkowie?

— Tak.

— No, to jesteśmy szkolni koledzy. Ale musiałeś pan przynajmniej tydzień nie jeść. Co to znaczy?...

Chory przypomniał sobie wszystko. Usiadł na tapczanie i schwywszy jegomościa za rękę, szepnął:

— Jestem w bardzo złym położeniu... Szukani zajęcia...

— Znajdziemy. Jakiego pan chcesz?...

— Stróżem zostanę...

— No, nie. Zostaniesz pan. na początek, magazynierem w tej fabryce. Tymczasem pójdiesz pan do szpitala.

W parę tygodni później pan Furdasiński zajmował już nową posadę. Obeznał się z obowiązkami bardzo prędko i — otrzymał trzydzieści rubli pensyi miesięcznej. Zaraz napisał na wieś po swego szpaka, którego mu odesłano, a przy okazji i fajkę na krótkim cybuszku, której zapomniał we dworze.

Pierwszego listopada stawił się w jego izdebce dyrektor kantoru informacyjnego. Doniósł mu, że już zupełnie zbankrutował i — wypłacił pierwszą ratę w kwocie pięciu rubli.

Odtąd odnosił mu należność co tydzień i wkrótce tak polubił pana Furdasińskiego, że mu raz powiedział:

— Wiesz pan co. Ciśnij do licha fabryko i — uformujmy spółkę. Ja mam zdolności do interesów, a pan taką pocziwą minę, że się na nią każdy złapie...

A gdy pan Furdasiński milczał, ex-dyrektor, gwałtownie ściskając go za rękę, zawołał tonem głębokiej wiary:

— Pomyśl pan o tem... Przysięgam ci, że okpimy całą Europę!...

Ale pan Furdasiński nie zgodził się na zawiązanie spółki z niezwykłym przedsiębiorcą. Biega więc po fabryce od szóstej rano do dziesiątej wieczór, a gdy znajdzie kwadrans wolnego czasu, wymyka się do izdebki. Tam, z wielkiem zadowoleniem pali swoją fajkę na krótkim cybuszku i przypatruje się szpakowi, który zagwizdawszy kilka wyjątków z oper, wrzeszczy:

Dyabli wzięli Furdasówkę !...

— Cha! cha! — śmieje się jego pan — ale nas zostawili!...

PLEŚŃ ŚWIATA.

Zdarzyło mi się być w Puławach z pewnym botanikiem. Siadaliśmy przy Sybilli na ławce, pod olbrzymim kamieniem, porośłym mchami czy pleśnią, które od kilku lat badał mój uczony towarzysz.

Zapytałem: co ciekawego znajduje w przyglądaniu się nieregularnym plamom szarym, popielatym, zielonym, żółtym lub rudym?

Popatrzył na mnie z nieufnością, lecz przekonawszy się, że ma przed sobą profana, począł objaśniać:

— Te plamy, które pan widzisz, nie są wcale martwym brudem, lecz — zbiorem istot żyjących. Niewidzialne dla gołego oka rodzą się one, wykonywają ruchy, których nie możemy dostrzedz, zawierają związki małżeńskie, wydają potomstwo i wreszcie giną.

Co godniejsza uwagi: tworzą one jakby społeczeństwa, które tu widzisz w postaci różnobarwnych plam. — uprawiają pod sobą grunta dla następnych pokoleń, — rozrastają się, kolonizują niezajęte miejscowości, nawet toczą między sobą walki.

Ta popielata plama, duża jak dłoń, była przed dwoma laty nie większa od czterogroszniaka. To małe, siwe piętno przed rokiem nie istniało i pochodzi od tej wielkiej plamy, która zajmuje szczyt kamienia.

Te znowu dwie: żółta i ruda walczą ze sobą.

Niegdyś żółta była bardzo rozległą, lecz powoli sąsiadka wyparła ją i zajęła jej miejsce. A spojrzysz na zieloną — jak siwa sąsiadka zapuszcza w nią zagony, ile na zielonym tle widać szarych pasków, punktów i kęp?... ____.

— To coś jak między ludźmi — wtrąciłem.

— No, nie — odparł botanik. Społeczeństwom tym brakuje języka, sztuk, nauk, świadomości, uczuć; słowem — brakuje im dusz i serc, które my ludzie posiadamy. Wszystko się tu dzieje na oślep, mechanicznie, bez sympatii i bez antypatii.

W kilka lat później znalazłem się obok tego samego kamienia w nocy i, przy świetle księżyca, przypatrywałem się zmianom jakie zaszły w formach i rozmiarach różnych pleśni.

W tem ktoś mnie trącił. Był to mój botanik. Prosiłem go, ażeby usiadł; ale on stanął przedemną w ten sposób, że zasłonił księżyc i coś szepnął bezdźwięcznym głosem.

Sybilla, ławka i kamień znikły. Uczułem dokoła siebie mdłą jasność i niezmierną pustkę. Gdym zaś odwrócił głowę na bok, ujrzałem niby szkolny globus, błyszczący słabym światłem, tak wielki, jak ów kamień, obok którego byliśmy przed chwilą.

Globus zwolna obracał się, ukazując coraz to nowe okolice. Oto ląd azjatycki z małym półwyspem Europą; oto Afryka, obie Ameryki...

Wpatrzywszy się lepiej, dostrzegłem na zamieszkałych lądach takie same plamy szare, siwe, zielone, żółte i rude jak na kamieniu. Składały się one z mnóstwa nikłych punkcików, napozór nieruchomych, w istocie ruszających się bardzo leniwie: pojedynczy punkt posuwał się co najwyżej o dwuminutowy łuk w ciągu godziny i to nie w linii prostej, lecz jakby wahając się około właściwego sobie środka ruchu.

Punkty łączyły się, rozdzielały, ginęły, występowały na powierzchnię globu; lecz wszystkie te zjawiska nie zasługiwały na szczególną uwagę. Poważny charakter miały dopiero ruchy całych plam, które zmniejszały się lub rosły, ukazywały się na nowych miejscach, przesiąkały się nawzajem lub wypierały z zajmowanych stanowisk.

Głob tymczasem wciąż krążył i zdawało mi się, że wykonał setki tysięcy obrotów.

— Czy to ma być historia ludzkości? — spytałem stojącego przy mnie botanika.

Skinął głową na znak potwierdzenia.

— Dobrze — ale gdzie są sztuki, wiedza?... Uśmiechnął się smutnie.

— Gdzie świadomość, miłość, nienawiść, pragnienia?...

— Cha! cha! cha!... — śmiał się cicho.

— Słowem — gdzie tu są ludzkie dusze i serca?..

— Cha! cha! cha!... Zachowanie się jego oburzyło mnie.

— Kto ty jesteś?... — zapytałem.

W tej chwili znalazłem się napowrót w ogrodzie, obok kamienia, którego niekształtne plamy kąpały się w blaskach księżyca.

Towarzysz mój znikł, ale go już poznał po szyderstwie i melancholii.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Przygotowano na podstawie bookini.pl